

CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-8600



3-4

(104-105) 2021

O Stanisławie Lemie piszą Danuta Nespiak i Antoni Wilgusiewicz ♦ Stanisław Dziedzic o katedrze ormiańskiej we Lwowie ♦ Rafał Żebrowski o domu Herbertów w Brzuchowicach ♦ Sławomir Gowin opowiada o Maryli Wolskiej ♦ Franciszek Haber o ulicy Zielonej we Lwowie ♦ Proza: Paweł D. Zalewski o swej lwowskiej rodzinie cukierników

Niech zabrzmia kolędy!...

Niepostrzeżenie mija kolejny trudny rok pandemiczny, rok 2021. Było wiele smutkiem przepojonych rozstań. Plany i nadzieje pierzchały po kątach... W ostatnim czasie przez covidę odeszła nasza redakcyjna koleżanka, pani Ania Madej – podpora redakcji. Będzie jej brakowało. Pozostanie jednak w naszej pamięci. I choć pandemia nie odpuszcza, staramy się normalnie funkcjonować. Nowe władze TMLiKPW, zarówno na szczeblu centralnym, jak i w Krakowie, to nowe otwarcie w działalności Towarzystwa. Życzymy sukcesów!

Przy wigilijnym stole, w gronie najbliższych, w ciepłym świetle choinkowych świec, powitajmy nadzieję, jaka pojawia się zawsze wraz z kolejną rocznicą narodzin małego Jezusa. Łamiąc się opłatkiem, będziemy wzajem życzyć sobie zdrowia, pomysłowości, błogosławieństw Bożych... W końcu zabrzmia kolędy, a o północy pójdziemy pewnie na tradycyjną pasterkę... Dołączam się, wraz z całą redakcją, do życzeń... Towarzyszymy Państwu już prawie trzydzieści lat! Trwajcie zatem w zdrowiu i szczęściu nie tylko w Nowym 2022 Roku! I oczywiście nie zaprzestańcie czytania kwartalnika „Cracovia Leopoldis”! Do siego Roku!

Janusz M. Paluch



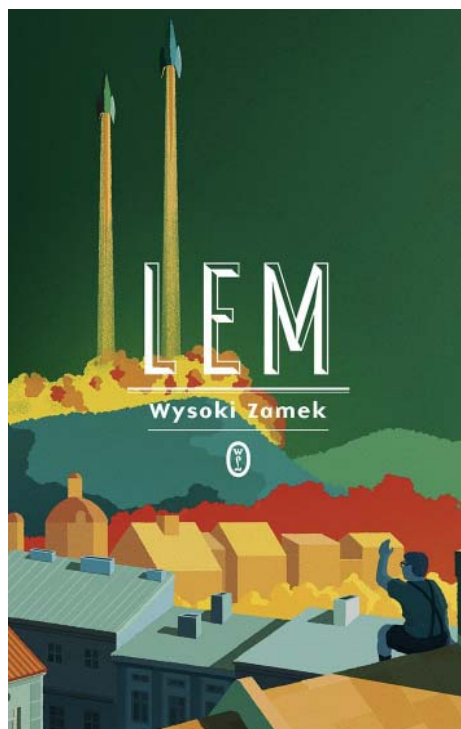
Antoni Wilgusiewicz

Obraz Lwowa we wspomnieniach Stanisława Lema

W SETNĄ ROCZNICĘ URODZIN PISARZA

Rok 2021 jest obchodzony jako Rok Stanisława Lema, dla uczczenia przypadającej w dniu 12 września setnej rocznicy urodzin pisarza, znanego na całym świecie wybitnego twórcy literatury określanej dziś jako science-fiction, ale także filozofa, futurologa, publicysty. Lem urodził się i spędził lata dzieciństwa oraz wczesnej młodości we Lwowie, któremu poświęcił jedną tylko, bardzo odbiegającą od reszty jego twórczości, ale ważną książkę: *Wysoki Zamek*¹. W skróconej wersji wspomnienia w niej zawarte powtórzył – po niemal 40 latach – we wstępie do *Encyklopedii Kresów* z 2004 roku, zatytułowanym *W krainie pamięć*². W tym artykule zamierzam dokonać analizy obu utworów, aby przedstawić syntetyczny obraz Lwowa jako krainy dzieciństwa pisarza, a także porównać go z innymi utworami autobiograficznymi o podobnej tematyce. Warto dodać, że wydawca dzieł Stanisława Lema, krakowskie Wydawnictwo Literackie, opublikowało w 1975 roku książkę pod tytułem *Wysoki Zamek. Wiersze młodzieńcze*, łącząc w dość sztuczny sposób prozę z poezją. Wiersze te powstały w pierwszych latach powojennych, ale ich tematyka w żaden sposób nie odnosi się do lat spędzonych we Lwowie³.

Autobiografia – bezpośrednio (np. pamiętnik) lub zakamuflowana w postaci utworów ukazujących losy fikcyjnych bohaterów – to często występująca w polskiej (oraz



Okładka książki Stanisława Lema, „Wysoki Zamek”

światowej) literaturze forma ekspresji literackiej. Może ona odnosić się do całego życia autora, może też utrwałać jego wspomnienia z dzieciństwa, także młodości, a zwłaszcza lat szkolnych. Klasycznym utworem tego typu są *Szyfrowe prace* Stefana Żeromskiego. Popularne niegdyś wśród czytelników w różnym wieku były *Wspomnienia niebieskiego mundurka* Wiktora Gomulickiego; w obu utworach, opowiadających o losach fikcyjnych bohaterów, autorzy obficie wykorzystali własne doświadczenia z lat spędzonych w carskiej szkole. Podobny charakter nosi powieść Michała Pawlikowskiego *Dzieciństwo i młodość Tadeusza Irteńskiego*,

¹ Tekst utworu wg wydania: Stanisław Lem, *Wysoki Zamek*, posłowie Jerzy Jarzębowski, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2020.

² *Encyklopedia Kresów*, słowo wstępne Stanisław Lem, Wydawnictwo Kluszczyński, Kraków 2004.

³ Stanisław Lem, *Wysoki Zamek. Wiersze młodzieńcze*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1975.



Lwów, ul. Brajerowska 4, rodzinne mieszkanie Stanisława Lema znajdujące się na drugim piętrze. Fot. Antoni Wilgusiewicz

której akcja rozgrywa się na Kresach Północno-Wschodnich, dzisiejszej Białorusi. We Lwowie z kolei toczy się akcja takich opowieści z lat szkolnych, jak *Zielone lata* Kornela Makuszyńskiego (czasy galicyjskie) oraz *Zielone czasy* Aleksandra Baumgardtena, *Dom pod żelaznym lwem* Witolda Szolgini i *Autopamflet* Jana Gerharda (czasy międzywojenne). Wymienione opowieści lwowskie – ostatnia zupełnie zresztą różna w charakterze od poprzednich – łączy fakt narracji prowadzonej w pierwszej osobie, tak jak w książce Stanisława Lema.

Wśród wspomnień z lat dziecięcych spędzonych we Lwowie – mieście wielokulturowym – można wymienić także *Souvenirs. Autobiographische Prosa* (wyd. München 1985) znanego w literaturze światowej (a także w seksuologii) pisarza austriackiego Leopolda Sacher-Masocha, które obficie cytuje Larry Wolf w wydanej niedawno w języku polskim książce *Idea Galicji. Historia i fantazja w kulturze politycznej Habsburgów*.

Wątki wspomnień szkolnych występują również w poezji, na przykład w wierszach lwowianina Zbigniewa Herberta. Najbardziej znanym jego utworem o tej tematyce jest *Pan od przyrody*.

Duża część wymienionych utworów ma swoją akcję w szkole – opisuje budynek szkolny i jego wnętrze, nauczycieli, uczniów, wzajemne stosunki między nimi itp. Ja jednak zamierzam zająć się obrazem miasta, którego szkoła – w oczach uczniów – była bardzo ważnym, obok domu rodzinnego, elementem. Miasta, które było godne tego, by powrócić do niego pamięcią po wielu latach.

W odniesieniu do tekstu *Wysokiego Zamku* Stanisława Lema postawiłem następujące pytania:

- jakie obiekty topograficzne międzywojennego Lwowa autor zapamiętał i wymienia?
- jak ma się obraz Lwowa zapamiętanego z perspektywy ponad 20 lat od opuszczenia miasta do rzeczywistości historycznej?
- jakie są psychologiczne uwarunkowania obrazu zapamiętanego i przypominanego w tekście książki Lwowa?
- porównanie obrazu Lwowa przedstawianego przez Lema z innymi, powstałymi w podobny sposób.

O potrzebie takiego ujęcia tematu decyduje nie tylko chęć ukazania ważnego aspektu biografii i twórczości wybitnego pisarza w roku jego setnych urodzin⁴, ale też nieznamość Lwowa w naszym społeczeństwie, spowodowana totalnym milczeniem na jego temat w latach PRL⁵. Wystarczy powiedzieć, że w postłowie do przywołanego wydania Jerzy Jarzębowski pisze o Wałach Chrobrego zamiast o Wałach Hetmańskich, najwyraźniej myśląc Lwów ze Szczecinem! Używa zresztą także – co Lemowi nie przyszłoby do głowy – współczesnego określenia ukraińskiego Opera zamiast Teatr Wielki⁶.

Punktem wyjścia dla topografii Lwowa przedstawionej przez Lema jest jego dom rodzinny przy ulicy Brajerowskiej 4, a właściwie obszerne, 6-pokojowe mieszkanie na II piętrze tego domu (mieściło ono także

⁴ Patrz www.roklema.pl

⁵ Tak np. w książce Jana Gerharda *Autopamflet* nazwa miasta nie pada ani razu, mimo ponad 400 stron akcji dziejącej się w większości na jego ulicach i pełnej nazw topograficznych, niezostawiających co do tego wątpliwości! Zob. Jan Gerhard. *Autopamflet*. Wydawnictwo Czytelnik, Warszawa 1972.

⁶ *Wysoki Zamek*, przywołane wydanie, s. 219.

gabinet lekarski jego ojca, Samuela Lehma, znanego laryngologa)⁷.

Jako małe dziecko Lem znał najbliższe ulice – a więc Kazimierzowską z ponurym gmachem więzienia Brygidek z jednej strony i dalej ulicę Bernsteina w dzielnicy żydowskiej, z drugiej ulicę Mickiewicza – prowadziła w stronę cerkwi św. Jura, a po jej przekroczeniu ulicę Marszałkowską z gmachem Uniwersytetu i Ogrodem Jezuickim naprzeciw niego. Za gmachem Uniwersytetu była ulica Kościuszki, gdzie mieszkał jego wuj Fryderyk. W stronę wschodnią prowadziła Gródecka, w którą przechodziła Kazimierzowska – za nią była Aleja Focha, z dworcem kolejowym, odwiedzanym przy okazji wyjazdu na wakacje. O ile gimnazjum poświęca autor wiele uwagi, o tyle praktycznie nie wspomina o czteroletniej nauce w szkole powszechnej dla chłopców imienia Żółkiewskiego – nie wymienia też sąsiedniej (równoległej do Brajerowskiej) ulicy, przy której się ona mieściła (ul. Krasickich). Piesze wyprawy w stronę centrum kończyły się w tym czasie najdalej przy placu Smolki, gdzie mieścił się sklep z owocami Orensteina. Tutaj też, na rogu Jagiellońskiej, było kino Marysieńka, gdzie uczęszczał wraz z matką na pokazy kina niemego, którego nie rozumiał i nudził się na nim.

W dalsze okolice udawano się dorożką – tramwaj był zbyt mało elegancki dla zamożnej rodziny, a samochodom ojciec Stanisława nie ufał. Dotyczyło to najczęściej Rogatki Stryjskiej, gdzie odwiedzano restaurację z ogródkiem pana Ruckiego.

Horizont przestrzenny Stanisława poszerzył się znacznie w roku 1932, kiedy rozpoczął on naukę w II Gimnazjum imienia Karola Szajnochy. Szkoła ta położona była w dość znacznej odległości od domu rodzinnego; trzeba było przejść do niej najpierw odcinek od domu do Wałów Hetmańskich, a następnie całe Stare Miasto aż do Podwała, gdzie mieściła się szkoła. Droga ta, wielokrotnie przemierzana, dobrze zapadła Lemowi w pamięć, toteż wymienia on w książce kolejno mijane ulice: Moniuszki, Szopena, Podlewskiego, plac Smolki, Jagiel-

lońską, Legionów, plac św. Ducha, a potem Rynek z fontanną Neptuna i Ratusz z kamiennymi lwami. W końcu wchodził w ulicę Ruską i skręcał w Podwałę, gdzie pod nr 2 mieściła się szkoła.

W centrum Lwowa z lat dziecińczych Stanisław zapamiętał przede wszystkim obiekty łączące się z jego ulubionymi słodyczami – cukiernia Zalewskiego na Akademickiej, druga cukiernia na tej ulicy, trzecia w Pasażu Mikolascha i kolejna, Jugosławia, obok Teatru Wielkiego. Z odwiedzin z rodziną w teatrze też zresztą zapamiętał najlepiej przepyszne „sztangielki z szynką”, które ojciec kupował w bufecie. W drodze do szkoły odwiedzał kiosk Kawurasa przy placu św. Ducha, gdzie – w miarę posiadanego kieszonkowego – kupował chałwę. Tu mieściła się też kawiarnia Wiedeńska z zegarem elektrycznym, gdzie sprawdzał aktualny czas idąc do szkoły.

Dla dziecka, którym był Stanisław, interesujące obiekty stanowiły: sklep z zabawkami Klastena obok hotelu George'a, a także biuro Cunard Line, „ze wspaniałymi dwumetrowymi modelami statków tej linii transoceanicznej, które budziły mój zachwyt doskonałością miniaturyzacji”⁸ (naprzeciw Poczty Głównej). Nieco dalej od centrum odwiedzał tereny Parku Stryjskiego i przyległych Targów Wschodnich ze słynną Wieżą Baczewskiego (reklama tej firmy produkującej alkohole), Panoramą Raclawicką oraz „wesołym miasteczkiem”. Odwiedzał także kąpielisko Żelazna Woda.

W latach gimnazjalnych obiekt zainteresowania i odwiedzin uczniów – samodzielnie lub pod opieką nauczyciela – stanowił pobliski Wysoki Zamek z kopcem Unii Lubelskiej, na który kursował tramwaj ulicą Teatyńską. Ten środek lokomocji był jednak zbyt kosztowny dla uczniów. Odwiedzali oni także inne wzgórza, w które obfituje Lwów, a więc Kajzerwald, Górę Piaskową oraz położoną bliżej domu Lema Górę Kortumową. Atrakcją stanowiły dla lwowian – nie tylko młodych – wyścigi samochodowe organizowane dorocznie na pętli ulic Kadeckiej i Pelczyńskiej.

W końcowej części wspomnień autor wymienia także miejsca martyrologii ludności

⁷ W tekście użyte są wyłącznie nazwy ulic i innych obiektów topograficznych Lwowa obowiązujące w roku 1938 (tzw. Plan Horbaya). Obecne nazwy ukraińskie podane są w aneksie.

⁸ *W krainie pamięci. W: Encyklopedia Kresów...*, s. 5.

Lwowa – przede wszystkim żydowskiej – takie jak opustoszała dzielnica żydowska (ulica Słoneczna z bocznymi) i dalej na północ tereny getta, Zniesienie, Piaski, Janów (prawdopodobnie ma na myśli Obóz Janowski), a także Łąckiego (lwowianie rozumieli przez to więzienie przy ulicy Łąckiego, drugie obok Brygidek miejsce zagłady ludności miasta).

Poza Lwów autor wychodzi w zasadzie tylko w ostatnim rozdziale, gdzie opisuje obóz Przystosowania Wojskowego w Delatynie nad Prutem na Huculszczyźnie. Kończy książkę słowami: „A pociąg wjeżdżał właśnie na perony, pod ogromną kopułę Dworca Głównego, gdzie czekali stęsknieni rodzice”⁹.

Po lekturze obrazu Lwowa przedstawionego przez Lema rodzi się pytanie – na ile obraz ten jest realistyczny, zgodny ze stanem historycznym miasta w latach 20. i 30. XX wieku, a na ile wytworem wyobraźni pisarza. *Wysoki Zamek* nie jest wszak książką naukową czy popularnonaukową, nie jest przewodnikiem po dawnym Lwowie. Celem jego nie było pokazanie Polakom w latach sześćdziesiątych utraconego na mocy postanowień jałtańskich miasta, lecz osobistych doświadczeń autora, okresu jego życia w dzieciństwie i wczesnej młodości.

Obraz ich nie musi być wcale realistyczny. Wystarczy sięgnąć do *Sklepów cynamonowych* Brunona Schulza, których akcja rozgrywa się w rodzinnym mieście pisarza, galicyjskim Drohobyczu. Autor opisuje w tym zbiorze opowiadań swoje dzieciństwo; jest znany jego dom rodzinny przy Rynku nr 1, jego droga do szkoły prowadząca ulicą Mickiewicza, pobliski kościół parafialny św. Bartłomieja z potężną dzwonnica, a następnie nieco dalej położone gimnazjum, w którym Bruno zaczął naukę w roku szkolnym 1902/1903. Wszystkie te szczegóły w formie realistycznej znamy jednak dopiero z biografii pisarza¹⁰. Jako żywo, na planie miasta z żadnej epoki – galicyjskiej, polskiej, sowieckiej czy obecnej ukraińskiej nie znajdziemy legendarnej ulicy Krokodyli, gdzie każda kobieta była kokotą, a dorożki jeździły bez woźniców, bo ci mieli ciekawsze

zajęcie¹¹. Występujące w tekście nazwy, jak ulica Stryjska czy rzeka Tyśmienica, nad którą leży miasto, nie pozostawiają wątpliwości, że chodzi o Drohobycz, ale odbyć spacer po mieście według wskazówek autora jest niemożliwością.

Z podobną sytuacją, jeśli chodzi o Lwów, mamy do czynienia w poezji Zbigniewa Herberta.

Wiersz *Moje miasto*¹² (fragment)

śniło mi się że idę
z domu rodziców do szkoły
wiem przecież którędy idę

po lewej sklep Paszandy
trzecie gimnazjum księgarnie
widać nawet przez szybę
głowę starego Bodeka

chcę skręcić do katedry
widok się nagle urywa
nie ma dalszego ciągu
po prostu nie można iść dalej
a przecież dobrze wiem
to nie jest ślepa ulica
ocean lotnej pamięci
podmywa kruszy obrazy
w końcu zostanie kamień
na którym mnie urodzono
co noc
staję boso
przed zatrzaśniętą bramą
mego miasta

Punktem wyjścia dla autora jest jedna z ulic Lwowa (w tym wypadku chodzi o nie nazwaną w wierszu ulicę Batorego), ale jak udowodniono z pewnością autor nie mógł tędy iść z domu rodziców do szkoły. Podobnie jak w prozie Schulza wspomnienie rodzinnego miasta (w wypadku Herberta utraconego, w wypadku Schulza miasta, w którym wciąż mieszkał już jako dorosły) jest odrealnionym obrazem odległego

⁹ *Wysoki Zamek*, przywołane wydanie, s. 212.

¹⁰ Anna Kaszuba-Dębska, *Bruno. Epoka genialna*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2020, s. 133–142.

¹¹ <https://wolnelektury.pl/media/book/pdf/sklepy-cynamonowe-ulica-krokodyli.pdf>

¹² <https://polska-poezja.com/zbigniew-herbert/moje-miasto/>

dzieciństwa, podporządkowanym określonym celom artystycznym postawionym sobie przez autora.

W wypadku prozy Lema obraz rodzinnego miasta jest – inaczej niż u poprzednich autorów – bardzo realistyczny, choć nie w pełni obiektywny (o czym będzie mowa w dalszym ciągu analizy).

Wojciech Orliński w swojej biografii Lema słusznie zauważa, że Lwów – odmiennie niż wiele innych miast na czele z Warszawą czy Wrocławiem – bardzo niewiele zmienił się w miarę upływającego czasu (chodzi oczywiście o śródmieście). „Można się poruszać na podstawie planu miasta sprzed stu lat: większość budynków stoi tam, gdzie stała”¹³. Powoduje to, że prawdziwość danych topograficznych podawanych przez Lema można sprawdzić nie tylko na planach czy w przedwojennych przewodnikach po mieście, ale naocznie, spacerując po nim. Zmieniły się oczywiście witryny sklepów, szyldy, niektóre lokale uzyskały inne przeznaczenie (tak np. miejsce kina Marysieńka zajął ukraiński teatr *Woskresienie*, a miejsce kiosku Kawurasa ze słodyczami – kiosk z napojami i papierosami); legendarny pasaż Mikolascha od czasów II wojny pozostaje w ruinie po bombardowaniu, ale jest to ten sam Lwów, którego ulicami kilkunastoletni Staszek Lem chodził do gimnazjum przy ulicy Podwale (nawet część nazw ulic pozostała bez zmiany). Istnieje przede wszystkim dom rodzinny Lema przy ulicy Brajerowskiej (podobnie zresztą jak domy innych wybitnych artystów polskich urodzonych we Lwowie – Zbigniewa Herberta i Wojciecha Kilara), a także budynek II Gimnazjum (nadal pełni funkcję szkoły). Zmieniły się natomiast pomniki mijane przez Staszka – w miejsce kamiennego Smolki pojawił się Święty Jerzy, zabójca smoka, a w miejsce króla Jana Sobieskiego (przewiezionego do Gdańska) – Taras Szewczen-



Budynek II Gimnazjum im. Karola Szajnochy.
Fot. Antoni Wilgusiewicz.

ko; Neptun i Diana na Rynku stoją jednak jak niegdyś w tym samym miejscu.

Bardzo trudno jest znaleźć w książce Lema nazwy i fakty niezgodne z prawdą historyczną. Można tu wymienić wypadek akrobata Muchy (Stefana Polińskiego), który chodząc po linii między budynkami spadł z niej ponosząc śmierć. Według Lema miało to miejsce przy ulicy Legionów (dodaje: bodajże)¹⁴, podczas gdy było to przy ulicy Akademickiej. Niejasny jest fragment drogi Staszka do szkoły od placu św. Ducha na Rynek. Wojciech Orliński twierdzi, że prowadziła ona przez Pasaż Andriollego¹⁵, ale równie dobrze mogła to być droga przez ulicę Rutowskiego (Teatralną) do Kilińskiego i w lewo w stronę katedry. Z tekstu Lema można sądzić, że na wprost przez pasaż szedł w wypadku zakupu chałwy w kiosku Kawurasa (wyjście na Rynek przy kamienicy nr 29). W przeciwnym razie Staszek szedł bardziej w prawo, obok kawiarni Wiedeńska (istnieje do dziś pod tą nazwą), a wtedy dochodził do ulicy Kilińskiego, wychodząc wprost na posąg Neptuna i dalej prosto obok Ratusza do ulicy Ruskiej¹⁶.

Obraz Lwowa nakreślony przez Lema jest z pewnością realistyczny, ale czy pełny i obiektywny? Sam autor otwarcie przyznaje, że nie. Był przecież dzieckiem, gimnazjalistą odbywającym przez Lwów codzienną drogę do szkoły. „Stąd porównanie do myszy, która orientując się doskonale w otoczeniu, na

¹³ Wojciech Orliński, *Lem. Życie nie z tej ziemi*, Wydawnictwo Czarne, Wydawnictwo Agora, Wołowiec 2017, s. 25.

¹⁴ *Wysoki Zamek...*, s. 51.

¹⁵ Wojciech Orliński, op. cit., s. 25.

¹⁶ *Wysoki Zamek...*, s. 85–86.

pewno nie jest zdolna do jego estetycznej oceny – podobnie jak ja nie byłem, lwowski gimnazjalista. Niewątpliwie mijałem pomniki architektury, katedrę ormiańską, stare kamieniczki Rynku, ze słynną Czarną Kamienicą na czele, lecz nic o tym nie wiem¹⁷. Istotnie, tak było, tym bardziej, że idąc do szkoły, nie mijał katedry ormiańskiej, lecz łańciską. Kościoły zresztą znajdują we wspomnieniach Lema całkowicie marginalne miejsce, obok katedry ormiańskiej pojawia się tylko nazwa cerkwi św. Jura i kościoła św. Elżbiety. Trudno powiedzieć, czy rodzina jego uczęszczała do jakiejś świątyni – jako spolonizowani Żydzi nie byli z pewnością członkami gminy żydowskiej, ale też Stanisław nigdy nie określał się jako katolik czy nawet ogólnie chrześcijanin. Jeśli chodzi o jeden z najważniejszych obiektów Lwowa, Cmentarz Łyczakowski, jego nazwa pada dopiero w późnym tekście Lema. „Widywałem na Cmentarzu Łyczakowskim nagrobki naszych wielkich poetów i pisarzy, których – o ile wiem – obcy nie zniszczyli¹⁸. Nie wiadomo, czy fakt tych odwiedzin autor pominął w tekście pisany w PRL, czy też wręcz przeciwnie – dodał go w epoce, kiedy takie odwiedziny stały się czymś niezwykle istotnym dla Polaków. W każdym razie nie orientował się zbyt dobrze w historii miasta, tłumacząc nazwę Wysoki Zamek faktem istnienia także Niskiego, położonego w mieście, po którym nie pozostał nawet ślad – wiedzą zdobyta dopiero po 30. latach¹⁹. Podobnie otwór po kuli pochodzący z walk polsko-ukraińskich 1918 roku, które w rejonie ulicy Brajerowskiej były bardzo intensywne, niewiele mu mówił. Jako piętnastolatek był świadkiem walk z policją podczas pogrzebu zastrzelonego przez nią bezrobotnego Władysława Kozaka, którego określa jako kozaka, sądząc widocznie, że chodziło o przynależność narodową²⁰. Operował potocznymi nazwami obiektów bliskich mu i odwiedzanych, jak Ogród Jezuicki (oficjalna nazwa w tym czasie Park Kościuszki), Park Stryjski (Park Kilińskiego), Uniwersytet Jana Kazimierza (dawny Sejm Galicyjski) czy Teatr Wielki (wcześniej Miej-

ski – w odróżnieniu od Teatru hr. Skarbka), nazwy oficjalne przytaczając dopiero w tekście pisany po latach, kiedy pamięć wspomagał wydawnictwami wówczas już szeroko dostępnymi na polskim rynku.

Charakterystyczny jest szeroki i dokładny opis cukierni Zalewskiego przy Akademickiej, a w zasadzie jej wystawy, która zresztą opisywana jest w niemal wszystkich wspomnieniach lwowskich tego okresu. Co ciekawe, Wojciech Orliński, sceptycznie nastawiony do zachwyków Lema nad lwowskimi wystawami, stwierdza, że kiedy przyjechał do Lwowa, uwierzył pisarzowi, choć po tychże wystawach nie było już śladu²¹. W tym prawdopodobnie tkwi fenomen Miasta Lwowa.

Istotne jest też, że w książce Lema pokazane jest tylko centrum miasta oraz tereny, które można określić jako rekreacyjne, a więc z jednej strony Wysoki Zamek i przyległe wzgórze, z drugiej Park Stryjski i tereny Targów Wschodnich z ich obiektami, takimi jak Panorama Raclawicka czy pobliskie kąpielisko Żelazna Woda. Nie istnieją – z prostego powodu: nie były autorowi znane, bo przez niego nieodwiedzane – legendarne lwowskie przedmieścia, takie jak Łyczaków, Kleparów, Zamarstynów. Również miejsca martyrologii wymienia w zasadzie tylko z nazwy, tłumacząc to – zupełnie zrozumiale z punktu widzenia psychologicznego – chęcią zachowania dobrych, dla niego związanych z polskością Lwowa wspomnień o mieście²².

Jak obraz Lwowa zawarty w *Wysokim Zamku* sytuje się na tle podobnych wspomnień z lat szkolnych spędzonych w tym mieście?

W dotyczącej czasów galicyjskich powieści Kornela Makuszyńskiego opisów miasta jest niewiele. W zasadzie poza gimnazjum szerzej opisany jest tylko teatr, a był to wówczas Teatr Skarbkowski, gdyż Teatr Wielki jeszcze nie istniał²³. Również we wzorowanej na niej, przynajmniej pod względem tytułu, książce Aleksandra Baumgardena autor koncentruje się głównie na przygotowaniach uczniów IX Gimnazjum przy ulicy Cho-

¹⁷ Tamże, s. 85.

¹⁸ *W krainie pamięci...*, s. 5.

¹⁹ *Wysoki Zamek...*, s. 92.

²⁰ Tamże, s. 197–200.

²¹ Wojciech Orliński. op. cit. s. 24.

²² *W krainie pamięci...*, s. 5.

²³ Kornel Makuszyński, *Bezgrzeszne lata*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1972, s. 62 i nn.

cimskiej. Szerszy opis wydarzeń poza nim dotyczy boiska Pogoni przy ulicy Stryjskiej, a także już nie teatru, a kina, a mianowicie chętnie odwiedzanej Uciechy w Pasażu Mikolascha²⁴.

Znacznie więcej opisów miasta, a przynajmniej nazw topograficznych, znajdziemy w kolejnych, wymienionych na wstępie książkach. Witold Szolginia spędzał swoje szkolne lata na Łyczakowie, gdzie mieszkał w „Domu pod żelaznym lwem” – stąd tytuł jego książki. Tu też uczęszczał do szkoły, najpierw powszechnej, a potem do VI Gimnazjum im. Stanisława Staszica. Jego wspomnienia oddają przede wszystkim klimat ówczesnego Łyczakowa, z jego ulicami skupionymi wokół głównej arterii wiodącej na wschód, w stronę Rogatki Łyczakowskiej – ulicy Łyczakowskiej. Rzadziej pojawiał się w śródmieściu Lwowa; jedna z takich wypraw odbyła się w przeddzień św. Mikołaja. W jej opisie znajdujemy wiele obiektów przy Rynku, placu Mariackim, ulicy Akademickiej zwanej corsem. Szczególny zachwyty autora budzi kościół Bernardynów, który jako przyszły architekt podziwiał i malował wiele razy. Kończy wędrówkę przy pomniku Aleksandra Fredry, dziś stojącym na Rynku wrocławskim²⁵. Ponowny opis wyprawy do śródmieścia dotyczy 1 września, dnia wybuchu wojny, ale spacer po nim odbywał się już w zupełnie odmiennym nastroju. Książka kończy się słowami: „Za horyzontu zaczyna naję wypelzać na nie rozmazane płoworude obłoki, podbite jaskrawą czarwienią chylącego się ku zachodowi słońca. Pewnie idzie na odmianę”²⁶. W wydanej w 1971 roku książce autor nie mógł inaczej określić nadchodzących od wschodu sowieckich czołgów, niosących zagładę polskiego Lwowa, który znał i kochał.

Zupełnie inna w charakterze jest powieść Jana Gerharda (wł. nazwisko Wiktor Bardach). Urodzony w tym samym roku co Lem, mieszkał także niedaleko od niego i uczył się w tej samej szkole powszechnej imienia Żółkiewskiego – poświęca jej w powieści sporo uwagi. Po czterech latach dostał

się do gimnazjum, które nazywa fikcyjnym imieniem Księcia Józefa (w istocie było to III Gimnazjum im. Króla Stefana Batorego). Odtwarza także (przynajmniej częściowo) drogę do szkoły – przez Park Kościuszki, ulicę Słowackiego, Ossolińskich, potem albo ulicę Chorążczyzny albo Frydrychów do placu Akademickiego²⁷. Stamtąd niedaleko już na ulicę Batorego, gdzie mieściła się szkoła. Znajdziemy tu także opisy kilku innych tras, jak na Strzelnicę na Kleparowie od kościoła św. Anny w górę ulicy Kleparowskiej obok Domu Weteranów, czy też spacer z dziewczyną od teatru przez Kazimierzowską, Krasickich na Mickiewicza i dalej wzdłuż Parku Kościuszki w stronę cerkwi św. Jura²⁸. Znajdziemy w książce nazwy innych ulic (jak Piekarska, którą udawały się pogrzeby na Cmentarz Łyczakowski) czy obiektów uczęszczanych szczególnie przez młodzież, jak owe corso na Akademickiej i górne corso na Sapiehy, a także Kajzerwald. Wszystko to, przy znajomości biografii pisarza, pozwala zestawić dość spójny obraz jego młodości we Lwowie, choć – jak wspomniano na początku – nazwa miasta nie pada tu w ogóle.

Jak pisze Jerzy Jarzębowski w postępie do *Wysokiego Zamku*, książka ta jest „z pewnością jednym z piękniejszych i bogatszych portretów międzywojennego Lwowa, jaki istnieje w naszej literaturze, a jej tytuł – w tym kontekście czytany – wieńczy po prostu obraz miasta – tak samo jak ono samo zwieńczone jest zamkową górą”²⁹. W świetle zdania z książki „Tym, czym dla chrześcijanina niebo, był dla każdego z nas Wysoki Zamek”³⁰ z pewnością należy się z tą opinią zgodzić. I choć zamiarem autora nie było tylko odtworzenie obrazu Lwowa czasu dzieciństwa, ale przede wszystkim sięgnięcie w głąb samego siebie, by lepiej zrozumieć własną osobowość, własną twórczość, to miłośnikom Lwowa dał piękną możliwość przechadzki nie tylko przez stronicę książki, ale i w rzeczywistości swoimi śladami sprzed niemal stu lat.

²⁴ Aleksander Baumgarten, *Zielone czasy*, Wydawnictwo Śląsk, Katowice 1968.

²⁵ Witold Szolginia, *Dom pod żelaznym lwem*, Instytut Wydawniczy Pax, Warszawa 1971, s. 90–98.

²⁶ Tamże, s. 294.

²⁷ Jan Gerhard, *Autopamflet*, Czytelnik, Warszawa 1972, s. 195–196.

²⁸ Tamże, s. 322.

²⁹ *Wysoki Zamek...*, s. 219.

³⁰ Tamże, s. 91.

Lwów w optyce Stanisława Lema

Urodził się 12. września 1921 roku we Lwowie przy ul. Brajerowskiej w secesyjnej kamienicy, która była własnością jego rodziców – wziętego lekarza Samuela Lehma i jego żony Sabiny. Lem – erudyta, mistrz prozy fantastyczno-naukowej, prorok postępu cywilizacyjnego, absolwent Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Jagiellońskiego, bardziej filozofujący agnostyk niż ateista – był uczniem państwowego Gimnazjum im. Karola Szajnochy we Lwowie, gdzie w czerwcu 1939 zdał maturę.

Stanisław Lem był dosyć powściągliwy, gdy opisywał swoje *curriculum vitae* z okresu niemieckiej i sowieckiej okupacji Lwowa, która znajduje się w jego publicystyce literackiej – felietonach, esejach, wywiadach. Więcej szczegółów biograficznych zawiera wywiad-rozmowa Lema z korespondentem Dziennika Kijowskiego Eugeniuszem Tuzow-Lubanskim. W czasie okupacji niemieckiej Lem pracował jako monter w garażach wojskowych. – *Dostarczałem dla ruchu oporu amunicję, proch artyleryjski. Miałem stałe kontakty z polskim podziemiem* – poinformował Lubanskiego¹. Oznajmił, że Lwów jest dla niego niezamienialny, bo przedwojenna Polska była inna – ... *i mnie się wtedy wydawało, że tak będzie wiecznie, Lwów jest częścią mnie, a ja częścią Lwowa* – wspominał w tej rozmowie, która odbyła się w maju 1996 roku. Miał kontakty ze Lwowem i niedawno dał zezwolenie lwowskiemu wydawnictwu KAMENIAR na wydanie *Wysokiego Zamku* nieodpłatnie, bo nie można było przekazywać z Ukrainy żadnych honorariów.

W pisarskim dorobku Lema *Wysoki Zamek* jest pozycją specjalną. Tematem książki nie jest opowieść o Lwowie, lecz osoba autora – jego lwowskie dzieciństwo i lata

gimnazjalne. Pierwsze wydanie *Wysokiego Zamku* w 1966 r. objęte było w zasadzie nakazem cenzury i złamaniem pewnego tabu. Tytuł książki uwodził i Lem, który był lwowskim ekspatriantem w Krakowie, otrzymał sporo listów od lwowian osiedlonych na tzw. Ziemiach Zachodnich. Swoje lwowskie dzieciństwo odtworzył wiernie, opisując szczegółowo zasoby materialne i kulturalne rodzinnego domu. W ogromnej bogatej bibliotece leżał dyplom lekarski ojca ... *zaczynający się wzniośle od ogromnych drukiem rozstrzelanych słów SUMMIS AUSPICII IMPERATORIS AC REGIS FRANCISCI IOSEPHI... przedstawiał wielką pieczęć Uniwersytetu Lwowskiego* – wspominał jego syn². W szczegółowym opisie 6-pokojowego mieszkania w cieniu relacji była matka ... *bo zawsze bardziej Ignąłem do ojca*³.

Wymieniał takie drobiazgi, jak stojącego na biurku ojca mechanicznego ptaszka w pudełku wykładanym masą perłową nabytego na Targach Wschodnich we Lwowie⁴. Poza domem tematem wspomnień było gimnazjum – jego mury, atmosfera i ludzie. Kolegów miał wielu, ale żadnego przyjaciela. Wymienił ich z imienia, rzadko z nazwiskiem. Przy obowiązkowym granatowym mundurku nosili rogatywki z żółtym otokiem i we Lwowie nazywali ich kanarkami. Z profesorów przy kilku nazwiskach podał trochę więcej informacji – łacinników Rappaporta i Auerbacha, matematyka Zaryckiego – Ukrainca, którego córka zamieszana była w sprawę zabójstwa Ministra Spraw Wewnętrznych Bronisława Pierackiego we Lwowie w 1934 r. Sam Lwów w *Wysokim Zamku* jawi się jako naturalne tło krajobrazu czasów dzieciństwa i pierwszej młodości bez żadnych odniesień do historii miasta. Były spacerzy z ojcem po parku Stryjskim, precle w ogrodzie Jezucikim, okolice ul. Brajerowskiej, Mickiewicza,

¹ E. Tuzow-Lubanski, *Spotkanie ze Stanisławem Lemem*, „Przegląd Polski”. Dodatek literacko-społeczny „Nowego Dziennika”, Nowy Jork, 9.05.1996 r.

² S. Lem, *Wysoki Zamek*, Warszawa 1996, s. 32.

³ S. Bereś, *Rozmowy ze Stanisławem Lemem*, Kraków 1987, s. 8.

⁴ S. Lem, *iw.*, s. 23.

plac Smolki, wiele razy Panorama Raclawicka, Rynek i Czarna Kamienica, cukiernia Zalewskiego przy Akademickiej i cukierlenka w pasażu Mikolascha z włoskimi lodami. Szczególnym miejscem dla „kanarków” od Szajnochy był Wysoki Zamek. Szli do niego pod górę ul. Teatyńską całą gromadą, bo nie były to wagary, lecz czas swobody i młodzieńczych pomysłów, jak wypadła z jakichś przyczyn wolna lekcja. Na górze z Zamku oglądali widok na ogromną panoramę miasta, którego Lem po wojnie nie odwiedził nigdy. Miał liczne okazje i propozycje, ale to nie było „tamto miasto”. Nie interesowała go nowa nazwa pl. Mariackiego, nie chciał wiedzieć, jaka jest⁵.

Od 1992 r. zaczęły się ukazywać w krakowskim „Tygodniku Powszechnym” felietony i eseje Lema, w których komentował bieżące wydarzenia społeczno-kulturalne. Publikowanie w „Tygodniku Powszechnym”, jak się wyraził w rozmowie z profesorem Uniwersytetu Wrocławskiego Stanisławem Beresiem, było dziełem przypadku⁶. Lem nie był katolikiem, ale odpowiadał mu klimat redakcji. W tekstach tych znajdowały się odniesienia do Lwowa, ale „tamtego Lwowa”. – *Dostałem właśnie ukraińskie tłumaczenie mojego „Wysokiego Zamku”. Wydawcy ze Lwowa przyjechali i zostawili mi egzemplarz książki – pisał Lem⁷. W odróżnieniu od polskiego wydania ukraińskie miało bogatą dokumentację fotograficzną zabytkowej architektury miasta, a nawet zdjęcie klatki schodowej kamienicy Lemów przy ul. Brajerowskiej. To spotkanie było dla niego ... *jak otwieranie rany... Lwów został sierotą po Polsce*. Wydawcy zapraszali go do Lwowa. ... *ja jednak do końca będę się zarzekał, że Lwowa nie odwiedzę... to by było dla mnie zbyt okrutne*.*

W obszernym eseju *Życie w próżni* stwierdził, że instytucja państwa jest niezbędna nie tylko dla jego zwykłych funkcji, jak dbanie o infrastrukturę, ustawodawstwo, komunikację, ale niemiecka i sowiecka okupacja Lwowa były bezpieczną próżnią, były jak trzęsienia ziemi. Gdy wkroczyli Sowieci

⁵ S. Lem, T. Fijałkowski, *Świat na krawędzi. Ze Stanisławem Lemem rozmawia T. Fijałkowski*, Kraków 2001, s.15.

⁶ S. Beres, *iw.*, s. 16.

⁷ S. Lem, *Sympatyczny koszmar*, „Tygodnik Powszechny”, 3.11.2002 r.

No 1886 TV 2 pon. 21⁰⁰ - Śl. Sen - film dokumentalny

NOWY DZIENNIK

PRZEGLĄD POLSKI

WEEKLY LITERARY SUPPLEMENT
TYGODNIKOWY DODATEK
LITERACKO-SPOŁECZNY

SECTION 2

EUGENIUSZ TUZÓW LIBRAŃSKI

Spotkanie ze Stanisławem Lemem



... był to wielki szok ze względu na straszliwą odmienność sowieckiej państwowości ... miałem zaledwie 18 lat i było to jedno z najokropniejszych moich przeżyć⁸. Komentując stosunki polsko-niemieckie z okazji spotkania Kohl-Mazowiecki w Krzyżowej, a także rezonanse rosyjskie tego faktu, podkreślił, że nie zamierza starać się o odszkodowanie za mienie zabużańskie w postaci dwóch kamienic we Lwowie, bo *Mnie chodzi przede wszystkim o pamięć... obraz Lwowa w oczach kolejnych generacji staje się coraz bladejszy... Jak to możliwe, żeby miasto stracić równie szybko jak odrąbaną kończynę⁹*. Lem zastrzegł jednak: *Nie stoję oczywiście broń Boże na stanowisku, że powinniśmy ruszyć śmiało na Ukraińców i odwojować Lwów*.

Na pytanie z sieci rosyjskiego internauty, czy dla niego Lwów jest miastem polskim czy ukraińskim, odpowiedział, że rozumie

© 2004 WYDAWCA: WYDZIAŁ JĘZYKOZNAWSTWA I LINGWISTYKI UNIWERSYTETU WROCŁAWSKIEGO

... był to wielki szok ze względu na straszliwą odmienność sowieckiej państwowości ... miałem zaledwie 18 lat i było to jedno z najokropniejszych moich przeżyć⁸. Komentując stosunki polsko-niemieckie z okazji spotkania Kohl-Mazowiecki w Krzyżowej, a także rezonanse rosyjskie tego faktu, podkreślił, że nie zamierza starać się o odszkodowanie za mienie zabużańskie w postaci dwóch kamienic we Lwowie, bo *Mnie chodzi przede wszystkim o pamięć... obraz Lwowa w oczach kolejnych generacji staje się coraz bladejszy... Jak to możliwe, żeby miasto stracić równie szybko jak odrąbaną kończynę⁹*. Lem zastrzegł jednak: *Nie stoję oczywiście broń Boże na stanowisku, że powinniśmy ruszyć śmiało na Ukraińców i odwojować Lwów*.

Na pytanie z sieci rosyjskiego internauty, czy dla niego Lwów jest miastem polskim czy ukraińskim, odpowiedział, że rozumie

⁸ S. Lem, *Życie w próżni*, „Tygodnik Powszechny”, 30.08.2003 r.

⁹ S. Lem, *Semper Fidelis*, „Tygodnik Powszechny”, 25.07.2004 r.

stanowisko Ukraińców, ale ... *trudno mi się wyrzec Lwowa, który był i pozostanie moim miastem. Dziennikarka, która w grudniu rozmawiała ze mną o moich lwowskich wspomnieniach, pojechała potem do Lwowa i posłała mi mnóstwo zdjęć – wczoraj oglądałem je aż do zawrotu głowy*¹⁰.

Lem z żoną (ożenił się w 1954 r. z lekarką Barbarą z Leśniaków) przyjmowali w swoim domu w Borku Fałęckim sporo gości z kraju i zagranicy. Wśród nich przyjechał z Izraela redaktor rosyjskojęzycznych „Wiesti”, Żyd pochodzący ze Lwowa. Rozmawiali po polsku o książkach Lema. Gość najwyżej ocenił *Wysoki Zamek*, przekazał mu smutne wiadomości ze Lwowa, w którym był niedawno. Kończąc rozmowę, obaj wyrazili ubolewanie, że miasto nam zabrano. Swoją żal Lem wyraził słowami: *Ale od więzów, które mnie ze Lwowem łączą, wyzwolić się nie potrafię. Nigdy już nie zdołam strząsnąć z siebie tej lwowskości ani odżalować miasta, w którym spędziłem dzieciństwo i młodość*¹¹.

Repetycje żalów Lema za Lwowem znaleźć można w jednej z ostatnich jego książek: – *Jeżeli ktoś nie spędził we Lwowie pierwszych 25 lat i nie wrosł w jego kamienie, trudno mu będzie zrozumieć, co dla niego znaczą takie nazwy jak Sykstuska, aleja Focha, którą się dojeżdżało do naszego wspaniałego dworca. We Wrocławiu byłem dwa razy i przyznaję niestety, że dla mnie jest to miasto obce. Natomiast Lwów, obstawaj przy tym, został nam ukradziony... kartkowałem niedawno nowy przewodnik po Lwowie i serce mnie bolało, nie w sensie kardiologicznym, tylko psychologicznym, bo nie mogę się pogodzić z nowymi nazwami ulic znanymi mi tak dobrze*¹².

Zachował się list Lema z 10 marca 1993 r. do Tadeusza Krzyżewskiego, który mu przesłał do oceny m.in. *Rocznik Lwowski 1991* Janusza Wasylkowskiego. W liście tym Lem uzasadniał konieczność opracowania historii Lwowa, a w szczególności obu okupacji miasta – sowieckiej i niemieckiej. Według niego utrata Lwowa przyniosła nie tylko wśród Lwowian poczucie krzywdy i nie-

sprawiedliwości. Istnieje obowiązek zachowania własnej narodowej historii – dowodził Lem, lecz w żadnym razie nie powinna skłaniać do podejmowania roszczeń odzyskania go dla Polski. Może to powodować nieobliczalne konflikty i Ukraińcy wysuną wówczas roszczenia o ziemię przemyską. Nawiązując do stosunków polsko-ukraińskich w II Rzeczypospolitej, przypomniał zamach nacjonalistów ukraińskich na ministra Pierackiego i uważał, że Ukraińcy mieli pewne *quantum* praw mniejszości, bo on sam, będąc uczniem państwowego polskiego gimnazjum, miał obowiązkową godzinę języka i literatury ukraińskiej na tydzień. Kończąc list, Lem napisał, że kronikarzom i wydawcom *Rocznika Lwowskiego* należą się słowa wdzięczności, a on sam wyznał, że nie jest nawet amatorem-dyletantem w zakresie historii i tylko słowami tego listu odniósł się do sedna lwowskiej sprawy.

Stanisław Lem zdecydowanie dystansował się od czynnej polityki. Był człowiekiem sukcesu, w dziedzinie literatury prześcigając sumą przekładów swoich książek nie tylko europejskie znakomitości. Gdy chodziło o Lwów, nie milczał – wylewał wielokrotnie swoje żale z powodu definitywnej, tak uważał, utraty polskiego miasta. Był jednak nieobecny na konferencjach czy sesjach organizowanych przez uczelnie, instytuty i biblioteki naukowe, gdy inni zabierali głos i wyrażali niepokój o stan zachowania polskiego dziedzictwa kulturalnego Lwowa i byłych Kresów Wschodnich. Miał „bezpieczny” pomysł na Lwów – stworzenie trójwymiarowej dioramy miasta i koncepcja ta wzbudziła entuzjazm jego bliskich. Na ten cel, jak napisał w jednym ze swoich esejów, sam nie poskąpiłby wysiłków ani środków¹³. Diorama nie powstała. Panorama Plastyczna XVIII-wiecznego Lwowa, dzieło życia lwowskiego architekta Janusza Witwickiego, po częściowej restauracji została przekazana Muzeum Miejskiemu we Wrocławiu i w dniu 15 stycznia 2001 r. otwarta została wystawa prezentująca Panoramę po raz pierwszy publicznie społeczności Wrocławia. Stanisław Lem był nieobecny na tej uroczystości.

¹⁰ S. Lem, *Głosy z sieci*, „Tygodnik Powszechny”, 19.06.2006 r.

¹¹ S. Lem, *Wizyta*, „Tygodnik Powszechny”, 6.02.2005 r.

¹² S. Lem, *Rasa drapieżców. Teksty ostatnie*, Kraków 2006, s. 31, 172.

¹³ S. Lem, *Życie w próżni*, jw.

Jak Jan Henryk Rosen zdołał ormiańską katedrę

O wyborze wykonawcy polichromii katedry ormiańskiej zdecydował poniekąd przypadek. W kwietniu 1925 r. na wystawie w warszawskiej Zachęcie arcybiskup Józef Teodorowicz zobaczył obrazy młodego, początkującego natenczas malarza Jana Henryka Rosena, byłego rotmistrza ułanów w Brodach oraz pracownika Ministerstwa Spraw Zagranicznych, syna znanego polskiego malarza żydowskiego pochodzenia, uznanego batalisty, Jana Rosena. Arcybiskup był zachwycony obrazami artysty, którego uznał za jedyne w Polsce malującego człowieka o duszy mistyka, a przy tym szerokiej wiedzy, niemalej wrażliwości, świetnie zorientowanego w symbolice i kategoriach piękna sztuki średniowiecznej. Jan Henryk Rosen jeszcze wtedy nie był artystą znanym, jego biografia – choć bardzo bogata jak na trzydziestoparolatka, którego w życiu wiele intrygowało – przez ten warszawski epizod z Zachęty miała zaowocować sukcesami, które przerastały nawet jego bujną wyobraźnię. Od wczesnych lat wykazywał rozliczne zainteresowania. Urodzony w 1891 r. w Warszawie, wczesne lata spędził w Paryżu i Lozannie, w latach 1911–1914 studiował historię sztuki na uniwersytetach w Monachium, Paryżu i Lozannie. Malarstwa uczył się pod kierunkiem swojego ojca, a mozaiki u Lue Oliviera Mersona w Paryżu. W okresie I wojny światowej służył w armii francuskiej, a w 1917 r. jako podporucznik przeszedł do tworzącego się we Francji wojska polskiego. W latach 1919–1920 był doradcą wojskowym delegacji polskiej przy Lidze Narodów w Genewie.

Był kawalerem licznych, wysoce prestiżowych odznaczeń wojskowych za zasługi wojenne – m.in. Krzyża *Virtuti Militari*, Krzyża *Walecznych*, francuskiej *Legii Honorowej*. W 1921 r. trzydziestoletni oficer powrócił do Polski, gdzie został przydzielony do 9 pułku ułanów w Brodach. W duszy niespokojnego



Jan Henryk Rosen, źródło: domena publiczna

oficera odezwały się talenty, które podpowiadały, a rychło dały znać o sobie z siłą imperatywu: w szarości koszarowego życia zaczął malować. Były to głównie wykonane temperą i gwaszem obrazy – sceny z żołnierskiego życia, z codziennych zmagania, ale i portrety. Zamienił rychło żołnierski los na pracę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i uczęszczał równocześnie do Miejskiej Szkoły Sztuk Zdobniczych i Malarstwa. Debiutował wprawdzie już w 1921 r. udziałem w zbiorowej wystawie w Zachęcie, ale to przedstawione przez niego 12 obrazów o tematyce inspirowanej *Złotą Legendą* Jakuba de Voragine w 1925 r., także w Zachęcie, zwróciły uwagę wielu osób. I choć co niektórzy wypominali mu skłonności neoromantryczne, ciągotki do symbolizmu i XIX-wiecznej estetyki, trudno było przejść obok nich beznamiętnie. Właśnie te obrazy nieznanego bliżej nikomu malarza zachwyciły lwowskie-



go arcybiskupa ormiańskokatolickiego – i ten klimat podziwu towarzyszył Janowi Henrykowi Rosenowi odtąd stale. Józef Teodorowicz, angażując Rosena do dekoracji wnętrza katedry ormiańskiej, otworzył mu drogę do światowej kariery artystycznej. Warunki finansowe zaoferowane Janowi Henrykowi Rosenowi były niewspółmiernie niższe od wynagrodzenia, jakie w tamtych czasach należałoby zapłacić Mehofferowi.

Powierzenie wykonania wystroju katedry Rosenowi miało nastąpić w sytuacji znacznych rozbieżności co do koncepcji realizacyjnych – zarówno w odniesieniu do ikonografii, jak i techniki, z odmiennosciami w części średniowiecznej świątyni, w XVII-wiecznej nawie czy części dobudowanej na początku XX w. Sam urzędowy konserwator zabytków okręgu lwowskiego, Józef Piotrowski, który w 1925 r. dla nowszych części katedry preferował rezygnację z malowideł figuralnych na rzecz kompozycji ornamentalnych, proponował nawet:

Najodpowiedniej byłoby dokończyć w najstarszej części katedry ozdoby mozaikowe według projektu Prof. Mehoffera, zaś dla części środkowej z wieku XVII oraz najnowszej od ulicy Krakowskiej zaprojekto-

wać odpowiednią polichromię. Na wypadek niemożności uzyskania na razie i wykonania projektu polichromii pierwszorzędnej wartości artystycznej, wystarczy pomalowanie obu wnętrz nowszych dwoma lub trzema jasnymi tonami neutralnymi i dyskretnymi złoceńiami. (...) Będzie to (...) wytworniejsze i dostojniejsze (...) niż byle jaka polichromia nietwórcza, choćby nawet skompilowana z wzorków dawnych ewangeliarzy ormiańskich¹.

Choć pomysłów dotyczących wystroju malarskiego katedry ormiańskiej nie brakowało, żaden z nich nie był choćby wstępnie przyjęty. Nie kwestionowano zasadności, nawet konieczności wykonania dekoracji ściennych w postaci polichromii lub mozaik. Pozostawało pytanie, czy należy pozostać przy praktykowanym w XIX w. wypełnianiu polichromią bądź mozaiką ścian czy – wzorem nowych doświadczeń – wprowadzać dekoracje zharmonizowane plastycznie z wystrojem świątyni i jej architekturą. Sprawa powierzenia tych prac Józefowi Mehofferowi

¹ J. Piotrowski, *Katedra ormiańska we Lwowie w świetle restauracji i ostatnich odkryć*, Lwów 1925, s. 42.

nie była jednoznaczna, a jednak wielu ludzi niezorientowanych w zawiłościach kontaktów arcybiskupa z artystą trwało w przeświadczeniu, że właśnie on będzie te prace kontynuował, a kwestią wyboru będzie technika zdobienia ścian: polichromia, czy też mozaika. Ze względów finansowych trudno było zakładać kontynuację projektu Mehoffera. Arcybiskup Teodorowicz zasadniczo zerwał z nim kontakt roboczy, którym sam artysta był zmęczony i – jak już wspomniano – zdeeterminowany, by zakończyć swą aktywność lwowską, z której wychodził niejednokrotnie upokorzony. A jednak czuł Mehoffer jakieś sentymentalne związki z artystycznym kształtem odnawianej świątyni, doceniał rangę podejmowanych w niej prac, może też liczył na zmianę sytuacji w polskiej już rzeczywistości politycznej. Mehofferowi trudno się było z tych wszystkich powiązań wyzwolić, ta katedra była dla niego wciąż jakimś wyzaniem. Według żony Mehoffera – Jadwigi oraz Karola Frycza: *Rosen otrzymał zlecenie w okolicznościach niejasnych, podejrzanych, prawdopodobnie dzięki czyjejs protekcji lub jej obietnicy w przyszłości*². Sam Karol Frycz o okolicznościach powierzenia Rosenowi dzieła dekoracji świątyni, pisał:

*Malowidło w nawie głównej (już nie mozaika) polecona została młodemu malarzowi z Warszawy Rosenowi, synowi znanego batalisty. Słuchy niosły, jakoby młody artysta wykonał polichromię bezinteresownie, jedynie w zamian za obietnicę arcybiskupa, że swoimi wpływami dopomoże mu do osiągnięcia katedry rysunku na politechnice lwowskiej. Tym razem obiecanka nie była „cacanką” i została dotrzymana*³. Jan Rosen objął posadę w 1930 r., ale całe te domysły Joanna Wolańska przyjmuje jako zwykłą plotkę, stworzoną *ex post*⁴.

Informacje o bezinteresowności Rose-
na, powtarzane przez Mehoffera, Frycza,
czy zazdrosną o pozycję artystyczną męża
Jadwigę Mehofferową, najpewniej prawdziwe,
miały szersze podłoże. Otóż młody ten
artysta pojmował swą twórczość w aspekcie
religijnym jako powołanie, pragnął przy tym
wykorzystać nadarzącą się sposobność
ozdobienia starodawnej lwowskiej świątyni
– jedynej w swoim rodzaju w tej części
Europy – polichromią według własnego
zamysłu i autorstwa, o skali monumentalnej,
jako indywidualną szansę artystyczną,
w skali dotąd mu nieznaną. Fundatorem
tak szeroko zakrojonych prac był prawdopodobnie
Henryk Toeplitz, znany lwowski mecenas sztuki
i esteta, bywalec salonów artystycznych,
protector młodych, zdolnych artystów,
pochodzący ze znanej warszawskiej rodziny
żydowskiej.

Jan Henryk Rosen przybył do Lwowa w październiku 1925 r. i śmiało, bezzwłocznie przystąpił do pracy. W ciągu czterech lat (1925–1929) ozdobił polichromią najpierw siedemnastowieczną nawę główną, a w następnej kolejności średniowieczną katedrę – naówczas prezbiterium. W katedrze, zanim przystąpił do polichromii, opracował projekty sześciu witraży – czterech do okien w nawie głównej oraz dwóch do prezbiterium. Witraże te zostały wykonane w warszawskim zakładzie Franciszka Białkowskiego. Nie zachowały się one do naszych czasów. Fragmenty tych witraży zostały odnalezione w 2001 r. w piwnicach katedry. Na podstawie tych ułamków szkła oraz dokumentacji fotograficznej możliwe stało się odtworzenie ich wyglądu oraz ikonografii, na ogół powiązanej z tematyką malowideł (św. Augustyn, św. Paweł, św. Jan Chrzyciel, Drzewo Jessego, a w prezbiterium – *Ofiara judaizmu i Mons Pius*). Witraż *Mons Pius* był dedykowany przez miejscową społeczność ormiańską arcybiskupowi Józefowi Teodorowiczowi w 25-lecie jego sakry biskupiej. Niespodziewane odkrycie zachowanych fragmentów, dokonane w styczniu 2001 r. w podziemiach katedry, pozwoliło na rekonstrukcję dwóch witraży.

Początkowo powierzono Rosenowi dekorację nawy, bez prezbiterium – najstarszej, ale i rdzennie ormiańskiej części świątyni, najważniejszej i najszacowniejszej. Czym była dyktowana taka decyzja? Czy chodziło

² J. Smirnow, *Arcybiskup Józef Teodorowicz budowniczym katedry ormiańskiej we Lwowie*, [w:] *Ormiański pasterz Lwowa ksiądz arcybiskup Józef Teodorowicz na tle dziejów ormiańskich*, W. Osadczy, M. Kalinowski, M. Jacov (red.), Lublin–Lwów 2015, s. 247.

³ K. Frycz, *O teatrze i sztuce*, A. Woycicki (oprac. i wstęp), Warszawa 1967, s. 91.

⁴ J. Wolańska, *Katedra ormiańska we Lwowie w latach 1902–1938. Przemiany architektoniczne i dekoracja wnętrza*, Warszawa 2010, s. 346.



Hold pasterzy J.H. Rosena w katedrze ormiańskiej, źródło: Biblioteka Narodowa, sygnatura: Poczt. 540

tu o młody wiek artysty i brak doświadczenia, czy o zwykłe praktyczne sprawdzenie kompetencji Rosena? A może abp Teodorowicz miał nadal nadzieję na dokończenie przez Mehoffera dzieła rozpoczętego w prezbiterium?

Jan Rosen tworzył katedralne polichromie w dwóch etapach. Pierwszy, w latach 1925–1927, obejmował większe sceny w nawie, sygnowane i datowane; drugi – w latach 1928–1933 obejmował prezbiterium: absydę, a także ściany zamykające oba ramiona transeptu.

O powierzeniu Janowi Henrykowi Rosenowi dekoracji także i tej najszcowniejszej części kościoła zadecydowała wysoka ocena jego malowideł w nawie oraz przekonanie, że artysta potrafi dostosować charakter swoich prac do wnętrza prezbiterium. Pewnie także wtedy arcybiskup Teodorowicz zarzucił ostatecznie zamiar kontynuowania w prezbiterium dekoracji mozaikowej według projektu Józefa Mehoffera⁵.

Wykonane przez Rosena i jego współpracowników polichromie wypełniają niemal w całości ściany świątyni, zarówno w nawie, jak i w części prezbiterium. Dominują sceny figuralne, pomieszczone przeważnie w prostokątnych, opatrzonych bordiurą polach, choć występuje także dekoracja ornamentalna (koncha absydy, nad

monumentalnym malowidłem *Ustanowienie Najświętszego Sakramentu*, zawiera dekorację ornamentalną imitującą mozaikę). Także na ścianach transeptu, w prezbiterium, powierzchni ponad malowidłami figuralnymi wypełniają ornamente zaczerpnięte najpewniej ze starych ormiańskich rękopisów.

Jan Henryk Rosen w wywiadzie udzielonym Mary Flanagan (w istocie był to cykl wywiadów udzielonych przez artystę po wielu latach od czasów pracy nad katedralną polichromią, bo w latach 70. XX w., utrwalonych na taśmie magnetofonowej) zdecydowanie zaprzeczył, jakoby tematyka malowideł była mu narzucona przez arcybiskupa czy jakąś komisję kościelną. Stwierdził, że takich zleceń nie było, choć zagadnienia związane z doбором ikonografii musiały być przedmiotem rozmów i uzgodnień z arcybiskupem. Interesujący jest w tym kontekście list arcybiskupa Teodorowicza do artysty, pochodzący już z okresu po wykonaniu polichromii w katedrze, z 6 maja 1930 r., najpewniej dotyczący planowanych malowideł w kaplicy Najświętszego Sakramentu, który potwierdza, że ks. Teodorowicz akceptował pomysły Rosena w oparciu o przedstawiane mu szkice, zanim zostały one przeniesione na ściany katedry.

Tematyka przedstawień, zarówno w odniesieniu do malowideł figuralnych, jak i scen biblijnych, jest zróżnicowana. Ignacy Drexler upamiętnił także kolejność powstawania poszczególnych obrazów:

⁵ J. Wolańska, *Program ikonograficzny malowideł we wnętrzu katedry*, [w:] *Katedra ormiańska we Lwowie i jej twórcy*, Kraków 2015, s. 73.

Dla przyszłego historyka sztuki, który zajmuje się dziełem J.H. Rosena, notując tu wiadomość, że kolejność wykonywania obrazów była następująca: Święty Jan (...), Zwiastowanie (...), i cała zresztą ściana prawa (płd.), Serafyny w tęczy (...) (a na ścianie płn.): św. Odyllon (...), grupy świętych (...), św. Katarzyna (...) i cała strona lewa (...), wreszcie dzieła w prezbiterium: Ukrzyżowanie (...), Hold pasterzy (...) (obraz na płótnie) i Ustanowienie Najświętszego Sakramentu⁶.

Malowidła wykonane zostały w technice temperowej na tynku, z użyciem tempery chudej i tłustej, miejscowo żywicznej i olejnej. Lokalnie zastosował Rosen złączenia olejne na wapiennym tynku. Tylko wspomniany *Hold pasterzy* umiejscowiony w prezbiterium namalowany został na płótnie, także przy użyciu farb temperowych. Farby, które artysta stosował przy malowaniu katedralnej polichromii, pochodziły ze Szwajcarii. Produkowano je tam specjalnie dla Rosena i były one bardzo drogie. Szwajcar, który był producentem farb (Alberti Burti z Orvin sur Biemme), stosował ze znakomitymi w malarzkiej praktyce Rosena efektami pigmenty pochodzące z renomowanej paryskiej firmy. Rosen szanował tajemnice sztuki wytwarzania i komponowania farb, a podczas lwowskich prac malarskich nie posiadał ani stosownych licencji, ani nie znał też precyzyjnie technologii ich wytwarzania. Jako lojalny kontrahent nie dopuszczał „technologicznych podróbek”. Według samego Rosena farby, którymi malował lwowskie polichromie, były wprawdzie bardzo drogie, ale nie miały sobie równych. Przedstawione na malowidłach osoby są nieomal naturalnej wielkości i często noszą rysy twarzy ludzi we Lwowie znanych, popularnych, którzy



Prezbiterium katedry ormiańskiej we Lwowie w trakcie prac konserwatorskich, źródło: ze zbioru autora

nierzadko służyli artyście za modeli. Niejeden święty z polichromii katedralnej Rosena był bez trudu rozpoznawany jako hierarcha kościelny, świecki dostojnik czy wychowanek miejscowego ormiańskiego internatu.

Polichromie Rosena charakteryzuje szerokie spektrum żywych, intensywnych, mocno kontrastujących ze sobą, wyrazistych, czystych barw, które – mimo upływu lat i fatalnych powojennych warunków użytkowania – zachowały w znacznym stopniu swój zbliżony do pierwotnego koloroty.

We wnętrzu katedry, od stosunkowo ciemnej nawy, nakrytej drewnianym kasetonowym sufitem, zdecydowanie swoim nie tylko wystrojem i architektonicznym kształtem, odróżnia się stare prezbiterium, znacznie jaśniejsze, rozświetlone latarniami kopuły, a w nim piękny wystrój apsydy. Centralną część apsydy zajmuje usytuowane ponad menzą ołtarzową malowidło Rosena *Ustanowienie Najświętszego Sakramentu*.

Ukazanej frontalnie – pisze Joanna Wołańska – *na osi przedstawienia, naturalnych rozmiarów postaci Chrystusa, stojącej za*

⁶ Cyt. za: eadem, *Katedra ormiańska we Lwowie w latach...*, op. cit., s. 170.



Malowidło „Pogrzeb św. Odilona” w katedrze ormiańskiej we Lwowie, źródło: ze zbioru autora

stołem nakrytym długim białym obrusem, towarzyszą apostołowie, ujęci z profilu, w pozycji stojącej, również naturalnej wielkości, rozmieszczeni symetrycznie (po sześciu) po obu stronach Mistrza i zwróceniu twarzami ku Niemu. (...) wszystkie postaci ubrane są w obszerne, sfaldowane białe szaty. Symetrię i regularność kompozycji podkreślają smukłe złote arkady wsparte na cienkich kolumnkach, wykreślone na purpurowym tle, w ich podłęczach wiszą jednakowe złote wieczne lampy. (...)

Patrząc z pewnego oddalenia, odnosi się wrażenie, że artysta znakomicie wyzyskał zakrzywioną ścianę apsydy – połać murów będącą wewnętrzną ścianą półwalca. Potraktował ją jak płaszczyznę, nie uwzględniając krzywizny i nie stosując żadnych zabiegów (...) mogących tę krzywiznę skompensować i sprawić, by (...) zasugerować przestrzeń Wieczernika⁷.

Zarówno w tym malowidle, jak i w innych, wypełniających ściany starodawnej lwowskiej katedry Jan Henryk Rosen, wzorem wielu malarzy średniowiecznych nie chce

być malarzem historycznym, nie odtwarza więc scen i ich historycznej konfiguracji, ujmuje je przez pryzmat liturgii i kultu. Uwarunkowania i detale historyczne stanowią w nich tylko jeden z wyznaczników. W katedralnej absydzie, przy zachowanych bizantyńskich wyznacznikach ikonograficznych (m.in. purpura, złoto pokrywające tło, złociста imitująca mozaikę, malowana dekoracja konchy) podkreślony został przez Rosena sakralny i symboliczny wymiar misterium: konsekracji wina.

Kompozycja Rosena – stwierdza Julian Zachariewicz – Ostatniej Wieczerzy oryginalnością swoją odbiega od wszystkich innych obrazów tej treści: (przedstawia) nie przeczcucie zdrady Judasza, tylko pierwszy akt konsekracji, przemiany wina w krew Pańską. Najwyższy moment ofiary Jezusa, na którego pamiątkę odprawia się Msza święta, stanowi moment tak uroczysty, że wszyscy wraz ze Zbawicielem powstałi⁸.

⁷ Ibidem, s. 180–184.

⁸ J. Zachariewicz, *Wtórna kompozycja Ostatniej wieczerzy Jana Henryka Rosena. Fresk w ormiańskiej katedrze we Lwowie*, „Gazeta Kościelna” 1929, nr 12, s. 140.

Nieobecne są przy takim ujęciu Ostatniej Wieczerzy szczególne rodzaje, w tym także atrybuty pozwalające na identyfikację apostołów, motyw zdrady Chrystusa. Moment zapowiedzi zdrady i intrygujące domniemania dotyczące tożsamości zdrajcy – najczęściej ujmowane w scenach *Ostatniej Wieczerzy*, ze słynnym obrazem ściennym Leonarda da Vinci z refektarza dominikańskiego klasztoru Santa Maria della Grazie w Mediolanie na czele, nie znalazły kontynuacji w malowidle Jana Henryka Rosena.

Jeszcze wyrazistsze w swojej symbolice ujęcie tematu, postrzegane w kontekście wymowy malowidła *Ustanowienie Najświętszego Sakramentu*, tradycyjnie nazywanego *Wieczerzą Pańską*, zawarł Rosen w *Ukrzyżowaniu*. Monumentalne to malowidło wypełnia większość powierzchni ściany południowego ramienia transeptu. Jest pozbawione całkowicie historycznych konotacji, a ukazana scena ma charakter ponadczasowy. Krzyż ustawiony jest na muryowanym podwyższeniu.

Pośrodku tego swoistego proscenium, w geometrycznym centrum kompozycji wznosi się krzyż. Przybity do niego Chrystus jest żywy, ciało ma silne i wyprostowane, a ramiona rozłożone wzdłuż poprzecznej belki krzyża, prostopadłe do tułowia. Zbawiciel nie wisi na krzyżu, lecz raczej stoi na nim. To Chrystus – Król Wszechświata, triumfujący w momencie śmierci, którą zwyciężył. (...) Święto Chrystusa Króla (...) wprowadził w całym kościele papież Pius XI encykliką „Quas primas” z 11 grudnia 1925 roku⁹.

Spośród wszystkich malowideł Rosena z lwowskiej katedry bodaj najbardziej unikatową kompozycją, a przy tym samodzielną kreacją autorską w aspekcie ikonograficznym i artystycznym jest *Pogrzeb św. Odilona*. Malowidło umieszczone jest wprawdzie nie w części prezbiterialnej katedry, ale pod oknem, w dolnej partii ściany w środkowym przęśle nawy, ale swą kompozycją, nastrojowością i samą tematyką od początku niezmiennie zachwyca i intryguje, rychło też obrosło legendą. Przedstawia ono niespotykany temat: pogrzeb opata bene-

dyktyńskiego klasztoru w Cluny, Odilona, który w XI w. ustanowił Święto Zmarłych, czyli Dzień Zaduszny. Warto podkreślić, że kiedy arcybiskup Józef Teodorowicz zwiedzał wspomnianą już wystawę w warszawskiej Zachęcie i tam zachwyił się obrazami Jana Henryka Rosena, wśród kilkunastu małych obrazów młodego artysty był *Pogrzeb św. Odilona*. Obrazowi temu towarzyszył w Zachęcie wiersz Kazimierza Iłakowiczówny, dołączony na odrębnej tabliczce. Na katedralnej ścianie w kilka lat później Rosen bardzo wiernie, ale w znacznym powiększeniu (z odwróceniem kierunku pochodzenia – ze względu na topografię katedry) przedstawił to wydarzenie, zamieszczając fragment tekstu znanej poetki.

Kiedy polichromię Jan Henryk Rosen ukończył, kiedy ustawiono w świątyni sprzęty kościelne, katedra przemówiła nowym artystycznym wyrazem, ale i nowymi treściami liturgicznego rozmodlenia. Stanisław Wasylewski, w książce *Lwów* napisał wręcz:

W ostatnich latach katedra ormiańska zdobyła arcydzieło, które ją stawia w rzędzie najpiękniej ozdobionych świątyń w Polsce... Ormianie i nie tylko Ormianie dumni są z ukończonej już pracy, która przyniosła nieoczekiwane, rozstławione już za granicą, piękności sztuce polskiej. Metryki Rosena szukać trzeba u malarzy flamandzkich i u prerafaelitów, u Burne Jonesa i u D.G. Rosettiego. A w nim samym najwięcej... W rezultacie stworzył dzieło, dla którego trudno znaleźć porównanie na całym obszarze plastyki polskiej...¹⁰

Arcybiskup Józef Teodorowicz miał – przy tak licznych przeciwnościach, ale i koniecznościach szukania kompromisów – powody do satysfakcji z dokonanego dzieła. Właśnie on był w pełni uprawniony do stwierdzenia:

Katedrę tę dźwigałem przez 25 lat z zupełnie ruiną kosztem olbrzymich ofiar i doprowadziłem ją do tego stanu, w jakim jest dzisiaj, tak że przedstawia się jako chluba zabytków Lwowa¹¹.

⁹ J. Wolańska, *Paweł Baranowski, Malowidła ścienne w katedrze*, [w:] *Katedra ormiańska we Lwowie i jej...*, op. cit., s. 96.

¹⁰ S. Wasylewski, *Lwów*, 1931, s. 82.

¹¹ Cyt. za: J. Smirnow, op. cit., s. 248.

Brzuchowice i dom Herbertów

Idąc wydeptaną koleiną historii, miasto Lwów posiadało rozmaite ziemie wokół granic swych położone jeszcze od czasów Kazimierza Wielkiego, a i pochodzące ze znacznych Jagiełłowych nadań. Na jednej z tych połaci, wówczas pustką stojącej w lipcu 1444 r. młody król Polski i Węgier Władysław III przywilejem wydanym na zamku w Budzie zezwolił na utworzenie wsi, Brzuchowicą zwanej. Warto zważyć na urodę tej chwili. Monarcha czynił to na prośbę władz miejskich w uznaniu zasług i roli nadpełtwiańskiego grodu jako tarczy przed pohańcami, a położonego jakoby „w gardzieli pogańskich wrogów”. Miał też ów akt uzupełnić, kiedy stanie własną osobą we Lwowie. To się już stać nie miało, bowiem niespełna cztery miesiące później ów śmiały rycerz chrześcijański, niepomny licznych przykładów ucieczek głów koronowanych z pól bitewnych (np. całkiem świeżej Zygmunta Luksemburskiego), położył głowę w krucjacie przeciw Turkom, sromotnie zdradzony przez sojuszników z Zachodu. Toteż skuteczny dla utworzenia i rozwoju brzuchowickiej dzielnicy Lwowa okazał się przywilej bratanka króla-męczennika, Aleksandra Jagiellończyka, wydany w Wilnie 10 maja 1503 roku.

Brzuchowica po czasy rozbiorowe była wypuszczana w dzierżawy. Działy tu młyny, a przejściowo nawet papiernia, jednak generalnie oprócz wzmianek sądowych niczego ciekawego nie dało się o niej słyszeć. Toteż trudno mieć pretensje do twórców monumentalnego *Słownika geograficznego Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich* (t. 1, Warszawa 1880, s. 428), iż miejscowość tę



Kilkuletni Zbigniew Herbert, z cegłą w ręce, na budowie domu letniskowego w Brzuchowicach. Z tyłu fotografii dopisek ołówkiem ręką Bolesława Herberta: „Sam sobie”. Fot. z archiwum autora

potraktowali nieco po macoszemu, jako „(z borkami i Małągłową) wieś, w powiecie lwowski[m], o 7 kilometrów od stacji Zamarstynów, w parafii rzymskokatolickiej; dominium należy do gminy miasta Lwowa”. O zgrozo, znacznie lepiej autor notatki obszedł się z imienniczką naszej współbohaterki tego szkicu z powiatu przemysłańskiego, okraszając tę jej partię zacniejszą garścią szczegółów.

Nazwa osady podlwockiej dopiero miała nabrać znaczenia, obdarzanego szczególną serdecznością, stając się przysłowiowymi „płucami” stolicy Galicji, położonymi – a jakże – „pod jej sercem”. Stało się to za sprawą mądrej samorządności i dbałości o interes publiczny, które miały się objawiać na długo przed za-

istnieniem autonomii galicyjskiej. Po utracie niepodległości wiejskie grunty brzuchowickie uległy parcelacji, co było standardową polityką władz miejskich. Pozostały wszakże kłopotliwe tereny nieużytków. Niegdyś lodowiec naniósł tu sporo piasków i wyżłobił dolinę. Te wydmy były przykrym sąsiedztwem dla odległego o kilka kilometrów miasta, zasypując drogi dojazdowe, a pył pomnażał zanieczyszczenie jego powietrza. Wobec tego w latach 1810–1837 systematycznie obszar ów zalesiano, głównie sadzonkami sosny, rzadziej świerka. Prowadzona systematycznie uprawa leśna zakończyła się pełnym sukcesem. Ciesząca się teraz łagodnym klimatem dolina zwróciła na siebie uwagę włodarzy miasta. Wszak był to czas, kiedy rodził się polski ruch turystyczny, którego stolicą – jak większości ówczesnych modernizacji – był Lwów. Stosowna chwila do podjęcia ofensywy przysła

wraz z budową linii kolejowej Lwów – Bełżec – Tomaszów Lubelski. W jej pierwotnych planach nie przewidywano utworzenia w Brzuchowicach stacji tej magistrali komunikacyjnej. Trudno jednak było się oprzeć argumentom władarzy stolicy Galicji. Na stole negocjacyjnym pojawiła się niemała dotacja, bezpłatny grunt pod przyszły dworzec, dostawy drewna oraz kamienia ze żwirowni nieopodal położonej (złożę było też dziełem lodowca).

Kiedy przystanek kolejowy został w odpowiednim miejscu zaklepany, bynajmniej nie przy wsi, miasto dokonało pierwszej parcelacji gruntów leśnych leżących tuż przy dworcu. Zastrzeżono przy tym, iż wycinać wolno będzie tylko drzewa, których trzeba było się bezwzględnie pozbyć, aby budowa ruszyła. Magistrat działał po prostu jak dobry gospodarz, które to stwierdzenie uznać należy za banalne podkreślenie oczywistości.

Stacja klimatyczna, jak wówczas mówiono, czy raczej letnisko, rozwijało się szybko. Powstawały wille ludzi zamożnych oraz mniej trwałe konstrukcje uboższych właścicieli. Pośród inwestorów przeważali przedstawiciele inteligencji. Rychło też o sobie dał znać ówczesny duch samorządności galicyjskiej. Zawiązano Towarzystwo Właścicieli Realności w Brzuchowicach. Jeszcze przed wybuchem I wojny światowej wydało ono broszurę *Uzdrowisko leśne Brzuchowice koło Lwowa*, przepelnione nadziejami na świetlane perspektywy i patriotyzmem lokalnym. Jednym z przedmiotów dumy był powstały

tu zakład oferujący różne zabiegi hydroterapeutyczne. Warto też przypomnieć, iż właśnie tu przez blisko rok dochodził do siebie Józef Piłsudski po ucieczce z petersburskiego szpitala Mikołaja Cudotwórcy. Może nawet istotniejszy był fakt, że właśnie w tutejszym lesie zapłonęło pierwsze harcerskie ognisko, rozniecone przez samego Andrzeja Małkowskiego. Niestety wojna doświadczyła boleśnie letnisko i wieś Brzuchowice.

Podczas niespełna rocznej okupacji Rosjanie dokonali tu licznych zniszczeń. Kiedy nastął czas ich ewakuacji, ludność wsi nie czekała na łupieżców i... ewakuowała się z dobytkiem do okolicznych lasów. Zmiana kolei wojennych nie przyniosła im jednak zadowalającej odmiany, bowiem osada została niemal ogołociona z mężczyzn powołanych pod broń. Toteż w czasie tzw. inwazji ukraińskiej także w Brzuchowicach stanęli do walki obrońcy, ale nie dość liczni, więc musieli ostatecznie wycofać się do Rzęsny Polskiej, gdzie stanowili zasłużoną i waleczną grupę „lwowskich orląt”.

W Polsce Odrodzonej letnisko odżyło. Bardzo szybko zorganizowano kąpielisko, dość malownicze, bo wyłożone drewnem. To przede wszystkim tam młodzi Herbertowie stawiali pierwsze kroki jako pływacy. Instruktorem był ich kuzyn, Ludwik Herbert, syn tzw. stryja generała, który to termin genealogicznie rzecz biorąc był mocno nieprecyzyjny. Była to dobra szkoła, o czym zaświadczyć mogę jako niezły do dziś „klasyk/zabkarz”, w czym nie ma nic dziwnego, wszak kontynuuję ową tradycję wedle przekazu swej Matki. Poeta zaś był niezłym kraulistą. Pojawiła się także skocznia narciarska z prawdziwego zdarzenia, z czym wiązano nadzieje na



Bolesław Herbert w Brzuchowicach.
Fot. z archiwum autora

Maria Herbert z dziećmi, Zbigniewem i Haliną, w Brzuchowicach. Fot. z archiwum autora



Herbertowie podczas letniego wypoczynku w Brzuchowicach. Z tyłu opis ołówkiem ręką Bolesława Herberta: „Dolce far niente!”. Fot. ze zbiorów autora.



rozwój turystyki narciarskiej. Toteż bardzo sprzyjające jej lesiste wzgórza pokryła sieć oznaczonych szlaków. Mimo wyniszczających ekonomikę kraju kryzysów z uporem i przy walnym udziale społecznych sił prowadzono w Brzuchowicach liczne inwestycje, w tym kluczowe budowy kościoła i szkoły. Powstawały też nowe instytucje, jak np. Leśna Szkoła, czyli zakład dla dzieci ubogich lwowian, które napawały się balsamicznym powietrzem, korzystały z lekarskiej opieki, a to wszystko nie przerywając nauki. Właśnie kiedy Herbertowie wzniesli w tym letniku swą siedzibę, dopełniło się dzieło jego elektryfikacji. Podejrzewam, że mój Dziadek musiał coś o tym wiedzieć zawczasu, będąc działaczem gospodarczym czynnym w ruchu spółdzielczym nie tylko rodzinnego miasta, ale i regionu oraz całego kraju.

Letnisko to miało już sporą renomę pośród lwowian. Toteż w niedziele przybywali oni licznie, by korzystać z uroków sosnowych lasów i pooddychać czystym powietrzem. Od granic miasta było tu raptem parę kilo-

metrów, a jedna z dwóch z prowadzących tu dróg już przed wojną została wyposażona w wygodny deptak, ale zdecydowana większość jednodniowych przybyszów korzystała z komunikacji, którą przede wszystkim zapewniała kolej (1 kurs na godzinę) oraz prywatne linie autobusowe. Jednak od początku Herbertowie zdecydowanie preferowali „drogę żelazną”. Nie dziwota, wszak jeszcze w latach 30. liczne były utyskiwania na poziom usług miejscowych mistrzów kierownicy, a to na wyczekiwanie aż się pojazd zapełni z naddatkiem, sięgającym 8–10 pasażerów (ówczesne autobusy były znacznie mniejsze, więc ścisk musiał być niemożliwy); a to na szantażowanie klientów przy ostatnim kursie o godzinie 21. (ostatni pociąg odjeżdżał do Lwowa o 20.), bo „się nie opłaca”, chyba że nieszczęśliwi lwowianie sfinansują powrót (pojazdy garażowały z Brzuchowicach).

O rajskim charakterze letniska przekonałem się we wczesnym dzieciństwie, nim nawet można było pomyśleć o wybraniu się doń z wizytą. Opodał tapczaniku, na którym spała matka Poety w sopockim mieszkaniu, znajdowała się uroczą fotografią, której nie wypada zaprezentować Państwu. Otóż na dość solidnej kładce, przerzuconej przez nieruchomą(?) wodę, okoloną szuwarami, stała kompletnie nagusieńka mała dama, lat bardzo niewiele. Mój Dziadek, a Ojciec Poety, nazywał ją raz nimfą, raz rusalką, z całkowitym brakiem konsekwencji. Pierwszą moją informatorką o treści tego konterfektu była moja Babcia, Maria z Kaniaków. Na zadane pytanie wyjaśniła: to twoja Mama; twój Dziadek pojechał z Nią i większym towarzystwem do Brzuchowic; wpadła do wody, więc musieli ją rozebrać, a potem miast zawiązać w cokolwiek, pośród śmiechów fotografowali. Z niezawodną odsieczą nie mogła jej przyjść Rodzicielka, bo została we Lwowie z małym Zbysiem, który początkowo był dzieckiem dość słabym. Rzeczywiście moja Mamcia została uwieczniona z nieco nadąsaną miną, ale równocześnie stała w pozie swobodnej, której niegdyś nauczyły Praksytelesa świadome swego uroku starożytne modelki. Może dzięki całej naturalności sytuacji król Edyp nie zapukał nigdy do bram mej podświadomości, ale Brzuchowice nabrały charakteru dalekiego i nieosiągalnego uroczyska.

Dom Herbertów w Brzuchowicach zimową porą.
Fot. z archiwum autora



Takim też się stało dla dzieci państwa Herbertów. Wspomnienia rodzinne o nim zawsze były nasycone wyjątkowym ciepłem, a twarze je snujący jakoś jaśniały i łagodniały. Są z resztą tego ślady w twórczości Księcia Poetów, a trzeba Państwu wiedzieć, że pamiętnikarstwa kategorycznie nie uznawał On za literaturę, czego ja, jako historyk, nie pojmuję. Poprzestańmy na najbardziej oczywistym przykładzie, a więc na opowiadaniu Zbigniewa Herberta pt. *Początek powieści*, dedykowanym rodzicom. Po raz pierwszy opublikowane ono zostało w „Tygodniku Powszechnym” w roku 1951 (nr 25). Autor ukończył je w pierwszych dniach maja tegoż roku. Wówczas Poeta, jeszcze nikomu nieznanym, rzucił pracę w Związku Literatów na Wybrzeżu, a uczynił to w sposób gwałtowny i bez zdroworozsądkowych rachub. W liście do Haliny Misiolkowej pisał: ... *Ja naprawdę nie mam żadnej przyszłości w Związku, z Sopotu wyjeżdżam, a jeśli będę w Warszawie, będę przede wszystkim pracował, uczył się i pisał, ale bez cotygodniowych zebrań sekcji, przymusów, zobowiązań, deklaracji i różnych innych hec, których mam dosyć. (...) Jestem bardzo zmęczony i jakoś wewnętrznie poszarpany. Teraz akty przemocy i terroru wywołują u mnie gwałtowny protest, nie umiem się już opanować. Wolę być od tego z daleka. Tak bardzo oszedłem od tego, teraz żyję na wyspie, na swojej wyspie w Mëipe, skąd trudno wracać. Oczywiście także w wierszach Herberta znaleźć można niejedno ukryte odniesienie do brzuchowickich okolic, ale nie miejsce tu na detektywistyczną krytykę tekstów. Znaczące jest, że przed skokiem w nieznaną przyszłość, która za czasów stalinowskich zdawała się saltem mortale nad pustym basenem, właśnie tam zdecydował się powrócić.*

Trzeba pamiętać, że Herbertowie na początku lat 20. XX w. zaczęli właściwie od zera. Przed urodzeniem się już wspomnianej tu córki (17.03.1923) przeprowadzili się na ul. Łyczakowską, obok kościoła św. Antoniego. Po półtora roku przyszedł na świat Zbyś, przyszły poeta. Już zaczęło się robić ciasnawo. Pojawienie się po paru latach następnej latorośli, Januszka, skłaniało już do podjęcia zasadniczych kroków. Tymczasem bardzo oszczędnie prowadzone gospodarstwo domowe oraz obrotność Ojca, który dyrektorując bankowi spółdzielczemu, przysłowiowych kokosów nie zarabiał, pozwoli zaczęły pojawiać się pewne zasoby do zainwestowania. Niemalą rolę w planowaniu przedsięwzięć odegrał Masymilian Koczur, architekt, właściciel przedsiębiorstwa budowlanego, przyjaciel jeszcze z gimnazjum Bolesława Herberta. Dość powiedzieć, że obaj panowie równocześnie kupili działki budowlane, położone w prestiżowej okolicy Targów Wschodnich, przeznaczone pod budowę willi. Moja Babcia, Maria Herbertowa, bardzo przeżywała perspektywę zamieszkania u siebie i to w takich warunkach. Jednak Jej małżonkowi co innego chodziło po głowie. Sam nie był silnego zdrowia i bardzo chciał zapewnić dzieciom jak najlepsze warunki rozwoju. Toteż zdecydował się na budowę domu w Brzuchowicach (wg projektu Koczura). Nie zamierzał tam zamieszkiwać na stałe, ale wyprawiać na lotnisko dzieci z żoną i swą Matką, „przenajświętszą babcią, Marią z Bałabanów”, jeszcze przed końcem roku szkolnego, a sprowadzać z powrotem do Lwiego Grodu w październiku. Dumni uczniowie więc dojeżdżali okresowo do swych szkół pociągami.

Investycja, zapewne ku zaniepokojeniu p. Herbertowej, ruszyła w 1929 r. i została



zamknięta w stanie surowym jeszcze przed zimą. Tymczasem zaczynał się tzw. Wielki Kryzys, który wstrząsnął ekonomiką światową, a u nas był szczególnie głęboki i długotrwały. A mimo to rodzinna chudoba przyszłego Poety nie była żadną prowizorką, choć wyraźnie Ojciec rodziny szedł swoją drogą. Główna i prestiżowa część letniska leżała za torami kolejowymi, po stronie stacji. Tymczasem mój Dziadek wybrał działki oddzielone od szlaku komunikacyjnego parkiem leśnym i piaszczystą drogą gruntową. Liczba mnoga w poprzednim zdaniu pojawiła się nieprzypadkowo, bowiem *pater familias* nabył od razu dwie działki położone jedna za drugą. Budował tu solidniejszy dom letniskowy, a właściwie małą willę mурowaną, chyba z przyrodzonego wstępu do prowizorki, jako jeden z pierwszych. Miał więc możliwość zapewnienia rodzinie większego niż zwykle terenu, bez rujnowania się. Sam dom był tylko lekko cofnięty w stosunku do drogi, tak by Matka jego dzieci mogła uprawiać od frontu kwiatki – dodajmy ze znacznym i uwarunkowanym dziedzicznie upodobaniem. Pośród rabatki wiodła kilkumetrowa ścieżka do schodków prowadzących do „oficjalnych” podwoi. Tu siadywały dzieci, oczekując na Ojca, który w soboty wczesnym popołudniem wylaniał się z lasu obładowany paczkami i zawsze w nich było coś ze sprzętu sportowego. Poeta sam wspominał: ... *Mając taką słabą pamięć, nie pisze się powieści, jeśli powieść oznacza epos. Ale na swój sposób jestem z powodu tego ograniczenia szczęśliwy, to bowiem pozwala mi współczuć sprawom dalekim i umarłym. I wszystko mogę jeszcze raz przeżyć: chłód kamiennego schodka, rozmyślanie o początku, zachody wpływające po sosnach i szum naszego domu, tak inny niż szum lasu.* Kiedy Ojciec już przyjechał, siedzącym w tym ogródkowym amfiteatrze mógł patronować z wysokości niewielkiego balkonu, spowity w obłoczek tytoniowego dymu, z którego to powodu właśnie tu był jego pokój.

Druga strona domu była bardziej – powiedzmy – rekreacyjna. Dominantę stanowił w niej ganek przykryty balkonem, podtrzymywanym przez dwa filary (kwadratowe w przekroju), na który wychodziło się przez pokój nestorki, czyli Matki pana domu. Tu mogła swobodnie zażywać kąpieli słonecz-

nych, a poniżej wydawano posiłki na świeżym powietrzu oraz podejmowano gości. Za tylną fasadą ciągnęły się pozostałe „włości” Herbertów, wcale niemałe, bo ogółem obejmujące przeszło 700 m². Było to królestwo sportu i ruchowych zabaw, a więc pole do krykieta oraz przyrządy gimnastyczne, w tym wiele pomysłu Ojca rodziny. Dużą atrakcją stanowił wysoki słup z przytwierdzonym u szczytu kołem i kilku linami zbiegającymi w dół. Można było na tej karuzeli jeździć w stylu jak najbardziej dowolnym. Ponoć, kiedy goście się rozbawili, a było ich pełno w każdą niedzielę, wówczas obowiązkowo wypróbowywali ów wynalazek Bolesława Herberta, w czym prym wiodły panie i to często te nie najszcześniejsze. Generalnie panowała tu wesołość, a właściciele posesji roztaczali stosownie do swej płci radosno-ciepły lub szelmowski urok. Zresztą nikomu z domowników nie zbywało na poczuciu humoru. Istne *dolce far niente!*

Nieopodal zaczynały się łąki, a dalej podmokłe i wręcz bagienne nieużytki, zwane szałasami. Dzieci często tam biegały lub jeździły na rowerach, by podziwiać roślinność, podpatrywać ptaki, ale przede wszystkim obserwować fantastyczne zachody słońca, podczas których całe powietrze zdawało się przybierać barwę jasnego miodu, coraz bardziej przechodząc w czerwień, kiedy w oparach grzęzły ostatnie promienie słoneczne. Wspominał je Poeta w przywołanym już opowiadaniu: ... *Oglądanie zachodu należy do naszej starej rodzinnej tradycji. Jest czymś, co się robić „powinno” – a w tym słowie jest już wyrzut. Na zachód jesteśmy wszyscy bardzo uczuleni i poznajemy go wszystkimi zmysłami. Wiatr cichnie, kwiaty zaczynają mocno pachnieć, powietrze łagodnieje, rzędnieje, jakby na przyjęcie kolorów, i z rozświetlonego szczytu sosny spływa wąziutka strużka rozcieńczonej purpury. We trójkę, to znaczy siostra, braci-szek i ja, biegniemy ścieżką przez las, aż na skraj wielkiej łąki, skąd widać to, co się dzieje codziennie, a zawsze piękniej niż wczoraj. Bardzo żałuję, że nie mogę opisać ani pienistych obłoków na górze, ani złocistej arki płynącej dołem przez kolory, ani delfinów, ani koni, ani bogów – niczego z tej mitologii nieba. Nie umiem też wyrazić ostatniego zenitu, kiedy wszystko staje się niemożliwie cienkie i piękne. (Drzę na myśl*

o tym, że się wszystko gdzieś przetrze i wybuchnie kosmiczny skandal). Nie potrafię także dobrze opisać moich uczuć wobec zachodu. I nawet nie wiem, dlaczego tak się dzieje, że zachody są coraz piękniejsze, a opisy coraz gorsze i gorsze. Po zachodzie wracamy do domu, mniej krzykliwi i trochę smutni.

Ostatnie wakacje przed „drugą apokalipsą” były dla młodych Herbertów „łabędzim śpiewem” ich świata. Jeszcze zdążyli z Matką spędzić swe najwspanialsze wakacje na Helu, ale Gdańsk już tylko widzieli z okien pociągu, bo Rodzicielka nie odważyła się ich zabrać na wycieczkę do miasta opanowanego przez barbarzyńców. Na krótko przed 1 września do Brzuchowic zjechała rodzina z Poznania, czyli brat Bolesława Herberta, Mieczysław, wraz z żoną i córką. Panowie pojechali do Lwowa, by „uchodźców” jakoś tam urządzić, a obie damy z kresów zachodnich zostały na głowie Marii Herbertowej. Nie dość, że nie pomagały, to jeszcze bardzo utrudniały przetrwanie w pierwszych tygodniach wojny, tymczasem zaś teściowa ich gospodyni, a babcia młodzieży, przestała wstawać z łóżka i miała umrzeć w październiku po przewiezieniu do Lwowa. *Pater familias* pojawił się 2 lub 3 września, by dostarczyć żonie nieco pieniędzy i rychło wracać, także pieszo, bo przecież miał na głowie Małopolski Bank Kupiecki i oddział Koncernu Ubezpieczeniowego Vesta.

Rychło przyszło najgorsze. Najpierw pomiędzy Brzuchowicami a Lwowem pojawili się Niemcy z dywizji górskiej, a choć nadpełwiańskiego grodu nie zdobyli z marszu, groza stała się wręcz namacalna. Potem do sielskiego niegdyś letniska dotarli żołnierze WP, idący z odsieczą z Przemysła pod wodzą gen. Sosnkowskiego. Obozowali w parku leśnym przed domem Herbertów. Dzieci pomagały Matce roznosić pomiędzy nimi zrobione właśnie konfitury i herbatę niesłodzoną, bo cukru już od jakiegoś czasu nie było. Po nieudanej dla większości



Grób rodziców Zbigniewa Herberta i rodziców autora. Fot. z archiwum autora

naszych wojaków próbie przebicia się do oblężonego ze wschodu i zachodu miasta tutaj składali broń. Ich widok, już bez pasów, miał przyszyły Poeta zapamiętać na zawsze, a uznawał go za koniec swego dzieciństwa i chrzest obywatelski o smaku piotunu.

Jak zwykle brak mi miejsca na wiele wątków wartych poruszenia. Więc już tylko w ostatnim słowie wspomnę moją Matulę. Zmarła w 2017 r. i niedługo będzie rocznica Jej śmierci. Od początku lat 50. mieszkała w Otwocku, przybywszy tam z powodu męża, lekarza, chorego na gruźlicę płuc. Miasto owo położone jest na wydmach piaszkowych, które w karby wzięły sosnowy las. Ileż ja się naprosiłem i czegoż nie naobiecywałem, by zechciała się przenieść do Warszawy. Będąc niezmotoryzowanym, bywałem u Niej rzadko. Tylko raz na około rok udało się to przeprowadzić, a potem uciekła z powrotem... To była namiastka serdecznego miejsca w Brzuchowicach, którego nigdy tak do końca nie opuściła. Nad naszym rodzinnym grobem, który po wymuszonych przebudowach stracił styl, rośnie sosna, pracowicie roniąca swe szpilki na chłodną płytę z granitu. Leżą tam także moi dziadkowie. Herbert w wierszu *Rozważania o Ojcu* napisał: ... w nieważnym miejscu jest cień pod kamieniem / on sam rośnie we mnie jemy nasze kłęski / wybuchamy śmiechem / gdy mówią jak mało trzeba / aby się pojednać. Zaiste, poezja prawdę ci powie, ale nie całą, bo miejsce, to miejsce, wcale nie było skażone nieważnością.

Sławomir Gowin

W objęciach z duchami

Żyła na granicy epok, w każdej po trosze
nieobecna, trwała poza światem



M. Wolska

NAFTA I MUZY

Wyjątkowo słoneczną wiosną, 25 kwietnia 1894 roku, przed ołtarzem kościoła świętego Mikołaja stanęła para zakochanych, by zawrzeć jedno z najsłynniejszych małżeństw w ówczesnym Lwowie. Mariaż budził emocje miejscowych elit, tym większe, że zdawać się mógł ryzykowny, zważywszy jak wiele na pozór różniło narzeczonych. Panną młodą była bowiem Maryla Młodnicka, artystka, poetka, wychowana w domu pełnym barwnych postaci i niespokojnych duchów – malarzy, pisarzy, aktorów, muzyków. Ślubowała Wacławowi Wolskiemu, młodemu i rzutkiemu inżynierowi, zdolnemu wynalazcy, ambitnemu przedsiębiorcy naftowemu i nowoczesnemu działaczowi publicznemu.

Otoczenie nowożeńców także przybywało niejako z różnych stron. Jeden z družbów Maryli, Stanisław Niewiadomski, był kompozytorem, profesorem lwowskiego konserwatorium. Wśród družbów Wacława był Jędrzej Moraczewski, także inżynier, społecznik, później wybitny polityk i pierwszy premier niepodległej Polski. Ceremonii przyglądał się tłum gości, z Kornelem Ujejskim i Władysławem Bełzą, którzy, choć znacznie od niej starsi, należeli do przyjaciół i powierników panny młodej.

Maryla z głową przyozdobioną wiankiem z kwiatu pomarańczy przysłanym z Rzymu, w efektownej sukni z atlasu, który podarowała jej na ten cel sama Anieli Aszpergerowa, ówczesna królowa lwowskiej sceny, sakramentalne „tak” wypowiedziała podobno tonem zaskakująco – jak na delikatną poetkę – stanowczym i kupieckim.

Ów ton, a także miłość artystki i inżyniera charakteryzują zmieniające się oblicze Lwowa tamtego czasu. Dopiero co otwarto Powszechną Wystawę Krajową ukazującą gospodarczy potencjał Galicji, której towarzyszyła ambitna prezentacja kultury i sztuki. Nowożeńcy kilka dni po ślubie wybrali się na otwarcie Panoramy Raławickiej i w posłubną przejażdżkę po Lwowie elektrycznym tramwajem, pierwszym na ówczesnych ziemiach polskich. Miodowe miesiące spędzili w Schodnicy pod Borysławiem, gdzie firma Wacława, Spółka Naftowa Wolski–Odrzywolski, przez blisko rok poszukiwała nowych złóż.

Galicja wyzwała się z wizerunku zacofanej prowincji. Wyglądało na to, że również Maryla i Wacław Wolscy bez żalu żegnają mijające stulecie, rozumnie i śmiało wkraczając w XX wiek.

SALON SZCZĘŚCIA

Wacław bynajmniej nie był pospolitym dobrokiewiczem. Wielki wpływ wywarł na niego wybitny krewny, Stanisław Szczepanowski, wizjoner, prekursor galicyjskiego przemysłu i jeden ze światowych pionierów branży naftowej. Nazywany był romantykiem pozytywizmu, a pisali o nim Bolesław Prus, Henryk Sienkiewicz czy Ignacy Sewer-Maciejowski, który uczynił go bohaterem dwóch powieści – *Nafta* i *Ponad siły*. Szczepanowski sam był przy tym zręcznym pisarzem i publicystą, który potrafił zajmująco pisać o sprawach gospodarczych. Jego dzieło *Nędza Galicji w cyfrach i program energicznego rozwoju*

gospodarstwa krajowego fascynowało młodego Żeromskiego, istotnie wpływając na jego późniejsze poglądy.

W orbicie takiego mentora i protektora, sam będąc nietuzinkową i charyzmatyczną osobowością, Wacław Wolski miał widoki na świetną karierę. Przedsiębiorczy pragmatyzm nie pozbawił go przy tym wrażliwości, cenił oryginalność ducha i umysłu. Szanował wszelkie owoce talentu, również tak z pozoru niepraktyczne jak poezja.

Maryla znalazła więc u boku męża spokój i bezpieczeństwo nie tylko jako kobieta, żona i matka, ale przede wszystkim poetka. Debiutowała jeszcze w 1893 roku, kryjąc się pod pseudonimem Zawrat. Choć zamążpójście zazwyczaj hamowało juvenilne porywy pióra ówczesnych panien, w tym przypadku było inaczej. Dojrzała poetka Maryla Wolska objawiła się w 1897 roku, a więc trzy lata po ślubie. Wtedy, poruszona śmiercią Kornela Ujejskiego, zaprzyjaźnionego z jej rodzinnym domem, podpisała imieniem i nazwiskiem wiersz ogłoszony ku jego czci.

Wówczas była już nie tylko żoną, lecz także matką. W 1895 roku urodził się pierwszy syn Wolskich, Ludwik, zwany w rodzinie Lukiem. Do chrztu trzymał go Władysław Belza, który w 1900 roku napisał dla chrześniaka słynny później *Katechizm polskiego dziecka*. To Luk był pierwszym polskim chłopcem recytującym: *Kto ty jesteś? Polak mały...*

W dostatnim, „po inżyniersku” ułożonym domu Maryla miała świetne warunki do pisania i życia towarzyskiego. Wzorem rodziców prowadziła więc pełen życia, intelektualny salon miasta.

WRAŻLIWA ZŁOŚNICA

Maryla urodziła się „w towarzystwie”. Przyszła na świat 13 marca 1873 roku w rodzinie owianej narodową legendą. Matka, Wanda Młodnicka z domu Monné, była pisarką i tłumaczką, słynącą z urody narzeczoną Artura Grottgera. Po przedwczesnej śmierci legendarnego malarza wyszła za mąż za jego przyjaciela Karola Młodnickiego, także malarza, który, jak mawiano, talent i karierę poświęcił miłości do żony i jedynej córki.

W ich domu lwowski „salon” spotykał się co czwartek – dyskutowano, czytano wiersze, muzykowano. Marylka Młodnicka zapowiadała się na partię znakomitą, lecz

niełatwą. W jej dziecięcym i młodzieńczym świecie stale gościli niezwykli mężczyźni – Henryk Rodakowski, jej chrzestny ojciec (wspólnie z Kornelem Ujejskim) Jan Styka, Wojciech Kossak, Adam Chmielowski, czyli późniejszy święty brat Albert (notabene służąca Młodnickich pozowała mu do portretu jakiejś świętej), młody Leon Wyczółkowski, Jan Matejko i dziesiątki innych. Słowem – zetknęła się niemal z każdą twórczą znakomitością, która w tych czasach mieszkała lub bywała we Lwowie.

Poświęcano jej wiele uwagi, zrazu jako rezolutnemu dziecku, później ładnej i interesującej dziewczynie. Żyjąc niejako w swoim własnym kulcie, wyrosła na pannę inteligentną, wrażliwą i wymagającą, by mężczyzna wykazał się czymś zajmującym, nawet jeśli była to salonowa pogawędka.

Kształcono ją najpierw domowo, następnie, ponieważ zdradzała talenty malarskie, mimo nie najlepszej sytuacji finansowej Młodniccy wysłali ją do Paryża i Monachium. Początek lat 90. XIX w. to wszakże modernistyczny karnawał sztuki. Z artystami, których obrazy po wsze czasy zawisły w światowych galeriach, można się było zetknąć, powiedzmy, szklanka w szklankę absyntu. Dość powiedzieć, że malarskiego rzemiosła uczył ją sam Alfons Mucha. Talent nie zawiódł Maryli na szczyt, ale wróciła z tej drogi w takim natchnieniu, iż powiadano, że odtąd nigdy już nie zeszała na ziemię.

We Lwowie mieszkała z rodzicami przy Zimorowica 16, po sąsiedzku z Władysławem Belzą, który sprowadził się tam z żoną w połowie lat 80. *Sam bezdzietny, osobliwie kochał dzieci, które podziwiał i rozpieszczał, darząc tym, na co go stać było najczęściej – książkami* – zapisze Wolska po latach. Władysław Belza był wszakże strażnikiem dziejów, jeśli zabierał kogoś na wędrowkę, to daleko wstecz. Maryla, a później jej potomstwo były dla Belzy najbliższymi ludźmi we Lwowie. Jego erudycja, umiar i życzliwość w dużej mierze ukształtowały pannę Młodnicką, obracając jej błyskotliwą, acz gwałtowną inteligencję w niepospolity intelekt i rozwinięty talent poetycki.

KLAWISZE UCZUĆ

W swoim dostatku i harmonii państwo Wolscy mogli uchodzić za rodzinny wzorzec *belle époque*, którego nic przez lata nie



Ignacy Jan Paderewski,
rys. Wolska, 1899

zakłóciło. Przeciwnie, przeczyli popolitym przekonaniom o niebezpiecznych związkach „inżynierów z artystkami”. Obydwoje zdawali się uczuciowo spełnieni i wiele zaświadcza, że nie był to wizerunek upozowany na użytek towarzyski.

Ten obrazek krył jednak tajemnicę, która z malowniczej idylli czyniła zaiste findesieciowy fenomen. Brzmi to niczym szykowny banał, ale oboje – choć Wacław niczego nieświadom – żyli uwikłani w sidła poezji, która w przypadku Maryli była zarazem chorobą i lekiem. Opanowana uczuciowym fantazmatem, egzystowała w rodzinie równocześnie prowadząc drugie, poetyckie życie, natrętną fantazję oblekając w „realny pozór”.

Infekcja dotknęła czternastoletnią pаниenkę Młodnicką i nie mijała także wówczas, kiedy w oczach współczesnych, już jako pani Maryla Wolska, uchodziła za dostojną intelektualistkę, nieulegającą bynajmniej lekkomyślnym afektacjom. Panienska popadła bowiem w zauroczenie, które przez lata obsesyjnie powracało, omal nie czyniąc z jej życia przewrotnej operetki.

Historia „choroby” zaczyna się w roku 1887. Nikomu jeszcze nieznanemu Ignacy Jan Paderewski koncertował w lwowskim Kasy-

nie Miejskim. Jan Gall, któremu Paderewski mógł wtedy pozazdrościć popularności, przynajmniej we Lwowie, pisał, że *na koncercie znalazło się tylko bardzo nieliczne grono osób, szczerze sztukę miłujących*. Wśród owych szczerych miłośników byli państwo Młodniccy z córką ogarniętą płomiennym zachwytem, jaki wzbudził w niej przyszły maestro światowej sławy.

Podczas krótkiego powrotu z koncertu – Kasyo mieściło się kilka minut drogi od domu Młodnickich – Marylka, zwykle rozprawy o swych przeżyciach, milczała, a kolejne dni, wieczory i noce spędziła z obrazem rozwichrzonego pianisty pod piekącymi powiekami. Zdawać by się mogło, że nic to specjalnego u wrażliwej nastolatki, a jednak ów obraz miał trwać i nabierać barw także w wyobraźni dojrzewającej kobiety i artystki. Paderewski zaś, osobiście niczego nie wiedząc, zjawił się w końcu w jej życiu, by tak rzec, jako fantom zachodzący od kulis.

Gdy Marylka jako utalentowana adeptka malarstwa znalazła się w Wiedniu, nie odstępował jej doktor Arnold Penzher, syn Daniela, wziętego malarza zaprzyjaźnionego z Młodnickim i polskim środowiskiem artystycznym (namalował dla Grottgera portret Wandy Monné). Arnolda z radością goszczono na wiedeńskich salonach, gdzie najznakomitsze partie wodziły za nim łakomym spojrzeniem. Utalentowany naukowiec, przyrodnik, zafascynowany przy tym sztuką i – jak to w późniejszej opowieści ujęła córka Wolskich, Beata Obertyńska – *sam ślicznie muzykalny, grał na fortepianie zupełnie koncertowo*. Do tego wszystkiego był obłudnie bogaty i, co najważniejsze, wprost nadzwyczajnie podobny do Paderewskiego. *Gdy grał na fortepianie, głowa dymiła mu się od jasnych wijących się włosów* – pisała Obertyńska o Penzherze, który prócz tego, że podobny do wielkiego pianisty, okazał się nieprzytomnie zakochany w niezwyklej lwowiance.

W CHŁODNYM OGNIU

Panna Młodnicka natychmiast przyjęła jego oświadczenia, chociaż, jak po latach oceniła Obertyńska, była *wzruszona jego uczuciem dla siebie, nie zaś własnym uczuciem dla niego*.

Rozmyślała o przyszłym szczęściu we Lwowie, podczas gdy on z największym

przepychem urządzał ich gniazdko w Wiedniu. *Muzeum nie mieszkanie* – pisze Obertyńska – *same cenne antyki, obrazy, dywany, makaty, stara porcelana...* Kiedy tylko mógł, wpadał do Lwowa obładowany wyszukаныmi prezentami, mnóstwo cennych podarunków śląc pocztą. Niemal codziennie pisał list, w afektowanej niemczyźnie wyznając ukochanej, jak to szaleje z miłości.

Pewnego wieczora w początkach grudnia 1892 roku w salonie przy Zimorowica rozegrała się następująca scena. Właśnie podano herbatę, Maryla wróciła z pogawędki u Belzów i spokojnie rozcinała listy, które doręczono po południu. Oprócz spodziewanych wyznań Arnolda nadszedł jeszcze drugi list z Wiednia. *Koperta duża, polecona. Wewnątrz dwa oddzielne arkusze zapisane kanciarystym, bezdusznym piśmem kancelaryjnego skryby widocznie* – czytamy u Obertyńskiej. Choć jej wzrok podobno „płonął”, wszystko odbyło się w chłodnym milczeniu: Maryla przebiega papiery wzrokiem i *bardzo powoli, ale bez śladu namysłu zsuwa z palca zaręczynowy pierścionek, kładzie go na rozpostartych dokumentach i bez jednego słowa sunie po stole w stronę ojca.* Ten czyta długo i uważnie. *Skończywszy, wstaje, by poszukać w podręcznej szafce mocnego pudełeczka. Musi być mocne, skoro ma mu się powierzyć pierścionek na powrotną drogę do Wiednia.*

W kopercie były dwa dokumenty. Podpisanie jednego oznaczało, że *panna Maryla Młodnicka z chwilą zawarcia małżeństwa z Arnoldem Pentherem staje się właścicielką połowy jego majątku.* Podpisanie drugiego miało zaś przesądzać, że Maryla godzi się, aby *wszystkie dzieci urodzone z tego małżeństwa chowane były w religii protestanckiej.* Z odrobiną patosu rzecz można, iż w ten sposób płomienny koncert Arnolda w uszach Maryli umilkł gwałtownie i nieodwracalnie.

SERDECZNY DZWONEK

Pierścionek odesłano ekspresową pocztą. Ledwie kurier z przesyłką zdążył stanąć na progu odprawionego epuzera, ten, oszalały z rozpaczy, pierwszym możliwym pociągiem popędził do Lwowa. Maryla nie wyszła do niego. W jej imieniu matka oznajmiła krótko, że choć, jak twierdził, świata poza nią nie widział, nic o niej nie wiedział, skoro

jej przekonania potraktował jako przedmiot notarialno-finansowych układów.

Penther szala! – pisała Obertyńska – *Niczego już nie chciał! Wszystko odwoływał! Gotów był przejść na buddyzm, na mahometanizm, na co kto chce, byle go Mama nie odrzucała, byle mu wybaczyła, byle wszystko okazało się zmorą, złym snem, koszmarem.*

Maryla milczała, a Karol Młodnicki skrupulatnie odsyłał do Wiednia narzeczęnskie prezenty. Ostatni akt miał jednak dopiero nastąpić. Oto w wigilijny wieczór, gdy wszyscy zasiedli do stołu, na Zimorowica rozległ się dzwonek. W drzwiach stał Arnold. „Słyszałem, że w Polsce nikogo się w ten wieczór od stołu nie odpędza...” – wydukał pokornie. Wpuszczono go oczywiście, jak gdyby nigdy nic wracając do swoich rozmów. Penther nie tknął jedzenia, siedział wpatrzony w pusty talerz i milczał. *Po kolacji wstał* – opowiadała Obertyńska – *skłonił się sztywno wszystkim i nikomu i wyszedł.* Na klatce schodowej zasłabł. Znalazła go służąca Belzów. Władysław z żoną doprowadzili go do przytomności i wyekspediowali na powrót do Wiednia.

Nawiasem mówiąc, Belza cieszył się podobno, że małżeństwo jego ulubienicy z Niemcem wzięło w łeb. Natomiast Maria Konopnicka miała Maryli nigdy nie darować tej rekuzy. Wedle Obertyńskiej *znała całą historię z jej wszystkimi wzruszającymi szczegółami i była oburzona. Uważała, że takiej miłości wszystko powinno z drogi schodzić. – Niemiec nie Niemiec, protestant nie protestant, serca się nie depcze!*

Kilka miesięcy po zerwaniu z Pentherem, które we Lwowie stało się sensacją sezonu, na Zimorowica znów nieoczekiwanie rozległ się dzwonek. Maryla, nie spodziewając się gości, została u siebie. Po godzinie weszła do niej matka i oznajmiła spokojnie: „Był pan Wolski oświadczyć się o twoją rękę”.

MALOWNICZY TYP

Zdawać się mogło, że Maryla przecięta zaplatający się węzeł z chirurgiczną precyzją. Tak odebrali to wszyscy, którzy patrzyli na tę historię z bliska, i ona sama, rzadko i niechętnie wracając do tego epizodu, chciała uchodzić za twardą, dumną Polkę, która oparła się „niemieckiej rachubie uczuć”.

Dopiero po czterdziestu latach od śmierci Wolskiej Beata Obertyńska znalazła

w rodzinnych szpargałach zagubioną notatkę, wiele mówiącą o rozpaczy, jaka wciąż miotłała dziewiętnastoletnią poetką. Nie można lepiej ukazać tej gorączki, niż cytując ją w całości: *Boże mój, co się ze mną dzieje? Dlaczego ja tak późno zaczęłam dopiero myśleć? Ujęta tą jego miłością, zapragnęłam dać mu szczęście! Jakie szczęście?! Jakie – wobec tego, że go nie kocham? Ja nie mam pojęcia o miłości, ale to musi być coś całkiem innego od tego uczucia, które on wzbudził we mnie. Bo że mnie wzrusza wielkie jego przywiązanie, że jego twarz wydaje mi się malowniczym typem – to nie dość, to nie może wystarczyć. Dawniej – choć to rzadkie bywały myśli – dawniej marzyłam o tym, aby mnie ktoś pokochał, ktoś szlachetny, czysty, czyja dusza byłaby wtórem mojej, a teraz jedynym życzeniem moim jest, aby mnie ten człowiek kochać przestał! Co prawda on nigdy nie wydawał mi się wtórem mojej duszy – są w nas obojgu pojęcia, których ani ja na niemieckie nie przetłumaczę, ani on po polsku nie wypowie, i będzie nam obco, źle, choć wierzę w prawość jego i zacność.*

Tak, on nie jest winien, tylko ja sama! Zdawało mi się, że zaufanie i szacunek to miłość, że wystarczą, wierzyłam w to jeszcze w Paryżu chwilami, wiedząc, że nie potrafię pokochać nie mając zaufania, nie mając szacunku... Dziś wiem, że nie kocham nikogo i że miłości nie rozumiem jeszcze, że się jej boję, bo jak mi się zjawia za późno, będąc jeszcze nieszczęśliwsza...

Nie była to więc historia, jak można by uważać, o „Maryli, która nie chciała Niemca”, lecz o dziewczynie podążającej za miłosną ideą. Na tej drodze odepchnęła Penthera, ale prawdziwy bohater bynajmniej nie schodził ze sceny. Jeszcze nie raz miał uderzyć w jej klawisze.

TYLKO TO MALARSTWO!

Wacław Wolski nie pojawił się w życiu Maryli wraz z oświadczykowym dzwonkiem. Spotkali się, gdy miała 17 lat i była po roku studiów malarskich. Pamiętała, że był wtedy wysoki, szczupły, złociście jasny. W jego pamięci ona była *niesłychanie kształna i zgrabna. Czarna jak kruk, o silnych malinowych rumieńcach i burozielonych, bystro patrzących oczach. Nie miały zwyczaju uciekać*

przed niczym spojrzeniem, jak nie uciekają przed oczyma modela czy malarza, który dlatego patrzy, bo obserwuje.

Głębia tych oczu najwyraźniej pochłonęła o osiem lat starszego Wacława. Gdyby był, nazwijmy to, zwyczajnym młodym kapitalistą, oceniałby Marylę jako zjawisko, póki co, owszem, atrakcyjne dla młodzieńca będącego u progu poważnej kariery, jednak jako kandydatka na żonę przyszłego milionera musiałaby zdać mu się nazbyt egzotyczna. Na szczęście dla obojga dusza Wolskiego najwyraźniej przenicowana była naturą Wokulskiego. *Ogromnie mi się od razu podobała, ogromnie. Rezolutna, swobodna. I ten jej uśmiech! I te jej włosy! Aż dziw, że taka nieduża mogła udźwignąć taki ich węzeł!* – rozpamiętywał, nie kryjąc, że temperaturę uczucia chłodził zrazu racjonalizm przemysłowca – *Trochę mi ją popsuky te studia malarskie, myślałem sobie: Artystka malarka to nie dla mnie! To nie materiał na żonę... Nie mogłem jednak przestać jej obserwować z tą właśnie myślą. Tylko to malarstwo! Jakże tu roić o czymś poważnym, kiedy jej artystyczna kariera w głowie. Bardzo mi to było nie po myśli. Jakbym dojrzał płamę na słońcu...*

Wolski wiedział też zapewne, że Władysław Witwicki, przyszły ojciec polskiej psychologii, dostrzegł w jej twarzy cechy skutecznego medium i Maryla uczestniczyła w organizowanych przez niego seansach transowych. Od dzieciństwa, czego w rodzinie nie ukrywano, fascynowała ją też parapsychologia i amatorskie sesje magiczne. Posługiwała się też różdżką, którą nazywała „kręcidłem”, zawierając mu zarówno sprawy błahe, jak całkiem poważne. Narzeczeni uzgodnili jednak, że jako mężatka poniecha przynajmniej niektórych z panieńskich ekstrawagancji.

Dość powiedzieć, że „plamy na słońcu” w porę się rozplynęły i Wolskim wiodło się dobrze. Choć z powodu różnych komplikacji od 1898 r. nie mogło być już mowy o wielkiej nafciarskiej fortunie, to rodzina żyła dostatnio. Wacław kupił najpierw nieruchomości przy Kaleczej 5. Później zbudował duży dom nieco dalej, idąc w górę ulicy, pod numerem 20. Ponieważ było to wtedy zielone przedmieście z widokiem na rozległą panoramę miasta, rodzinną sadybę poetka nazwała Zaświecie.

Maryla była *par excellence* panią domu, nikt nie myślał powierzać jej codziennych trosk, których stale przybywało. Wolscy w 1901 roku mieli już pięcioro dzieci. Gospodarstwo prowadziła jej matka. Córka była muzą sobie i innym, coraz liczniejszym, którzy na Zaświeciu czuli się jak w zacisznym, artystycznym rezerwacie.

DWA ŚWIATY

Nie panowała po jaśniepańsku – raczej grała główną rolę. Dom, choć poruszała się po nim jak piękne, egzotyczne stworzenie, zapewniał jej poczucie swobody i bezpieczeństwa zarazem. Nade wszystko chciała być obecna duchem – swoją emanację uważała za najwyższą formę oddania rodzinie, przyjaciółom, sztuce. Tak chciała być widziana, i tak widzieli ją współcześni, których codzienne korowody nie ustawały w składaniu czci heroinie Zaświecia. Tymczasem to właśnie jej duch, niespokojny i owładnięty żarliwym afektem, latami nieobecny, błędził gdzieś daleko, ciało oddawszy w depozyt codzienności.

Życie „za światem”, pozornie tylko bez troskie, miało swoją cenę w postaci mniejszych lub większych kompromisów gwarantujących równowagę. Bywało, że w ciągłym balansowaniu na granicy rzeczywistości wpadała w realne i dojmujące poczucie winy.

My jesteśmy ludzie z dwu światów. Mąż mój to człowiek pracy – i poeta czynu dla idei – ja zaś jestem mało co warte cyganie artystyczne, które czuje wprawdzie równie gorąco, ale realną pracą przejąć się nie potrafi. Mnie jeden pięknie zagrany prelud Szopena, jedna dobra książka więcej obchodzi niż zdobyty milion, z którym nie umiałabym sobie dać rady. Ale rozumiem i kocham jego cele – pisała te słowa do Elizy Orzeszkowej, która długo była jej epistolarną powierniczką.

W 1898 roku w „Tygodniku Ilustrowanym” ukazały się dwa wiersze – *Cieniom* i *Na starym chórze*. Zachwycona nimi Orzeszkowa dowiedziała się w redakcji, kto kryje się za podpisem Maryla W. i napisała do autorki. Tak rozpoczęła się ich przyjaźń – korespondencyjna, bo nigdy się nie spotkały. Listy, zwłaszcza te, które wymieniły przed rokiem 1901, układają się w fascynujący dziennik życia i duszy damy z Zaświecia.

Poetka Maryla ujawnia w nim prawdę o Maryli kobiecie – cierpiącej, bo choć wszy-

scy wokół niej żyją szczęśliwie i małżeństwo z Wacławem, skądinąd słusznie, uchodzi za nienaganne – to żar dawno wznieconego uczucia obraca jej poetycką duszę w popiół.

Wyznając, że kocha cele Wacława, dodawała, że *woli iść do nich swoją ścieżką, a tak być nie powinno*. Ubolewała, że nie jest dla męża podporą, ale na „swojej ścieżce” – *spotykała takie jasne – wielkie – ukochane duchy, iż nie sposób się z ich władzy wyzwolić. Takie olśnienia spadały na mnie słoneczne – że kocham ten mój świat i nie wierzę, abym się z nim kiedy rozstać mogła* – powiadała z rezygnacją i dumą zarazem.

CZAR TRWA

W 1898 roku, a więc cztery lata po ślubie, zwierzała się Elizie Orzeszkowej z doznań związanych ze *spotkaniem snu marzeń wiosennych*. Wyznawała, że pragnie *wyzwolić się z mgieł tęsknoty*, która jej *wszystko przesłaniała przez długie lata dziewczęce i obecne młodzieńcze*. W takie słowa ujęła uczucia, które ogarnęły ją po spotkaniu z Ignacym Janem Paderewskim w Warszawie przy okazji odsłonięcia pomnika Adama Mickiewicza.

Nie było to tylko płoche uniesienie wzbudzone ze wspomnień wrażliwej nastolatki. Wyzwolenie z mgieł nie przyszło. Rok później wracała do tych przeżyć – dwudziestosemioletnia, dojrzała kobieta – pisząc Orzeszkowej o tym, jak gaśnie w niej nadzieja, że upływający czas rozluźni stare więzy i zdoła kiedyś *bez wstrząśnięcia głębszego zobaczyć tego człowieka*. Wyznawała, jak przez miniony rok bez skutku walczyła ze sobą, by *patrzeć na niego jako na fatamorganę przeszłości – na widmo snów dziewczęcych, które przeszły i dzień trzeźwy, biały dzień dla życia nastał*.

Ala czar trwa, czar nie zmożony ani latami, ani wolą silną – ani łzami okupiony czar – wynurzała się dalej. – *Kiedy staną przede mną – zdawało mi się, że moja młodość przychodzi do mnie i mówi: „Jestem”, że moje szczęście w oczy mi patrzy. Nie zmienił się nic, tylko nitek srebrnych przybyło w jego jasnych włosach. Kiedy mówił wczoraj miałam wrażenie, którego do śmierci zapomnieć nie zdołam – że oto ta chwila to najważniejszy moment mego życia, że staje się ona epoką dla mego serca i że*

*mi ten człowiek duszę zabiera z piersi –
na własność.*

*To była najjaśniejsza chwila mego życia –
pisała świadoma, że ów wybuch emocji
niebawem zmieni się w torturę. – Nie powin-
nam byłam wychodzić jej naprzeciw. – Ile lat
będzie musiało minąć znowu, aby pamiętać
tego człowieka przygasta w wym sercu...*

*Bo przecież ja jestem szczęśliwa – za-
rzekała się, i nie ma powodu, by wątpić
w jej przekonanie. Można jedynie przypusz-
czać, że nie potrafiła doświadczać pełni ży-
cia w świecie, który otaczał ją na co dzień.
Wacław szanował jej wolność, odrębność,
oryginalność i budował jej szczęście w pew-
nym sensie bez jej udziału. Była kwiatem,
którego rolą było bujnie zakwitać. By tak
się działo, tworzyła swój własny klimat, któ-
ry ogrzewała słońcem miłosnej imaginacji.
Ja powinnam być użyteczna! – wołała w li-
ście do Orzeszkowej czując, że fantazja,
w swej istocie intymna, izoluje ją od życia.
Ten człowiek tak mi wszystko przesłonił sobą
– tłumaczyła po chwili – wszystko zgasło
wobec tej jednej duszy ludzkiej – tej jednej
duszy, która mi była i młodością, i światem,
i umiłowaniem – i za którą po latach pój-
dzie myśl moja – jak cień urokiem zaklęty,
wdzięczny – i wierny.*

CUDOWNE KALECTWO

Kiedy panią Młodnicką zapalała afek-
tem do Paderewskiego, ten był dobiegają-
cym trzydziestki wdowcem. Jego pierwsza
żona poślubiona w 1880 roku zmarła po
dziewięciu miesiącach małżeństwa. Przez
wiele późniejszych lat był związany z He-
leną, primo voto Górską, która starała się
o unieważnienie swojego pierwszego mał-
żeństwa. Długotrwały proces zakończył się
w 1899 roku, wtedy wyszła za mąż za Pa-
derewskiego, zostając nie tylko żoną, ale
także aktywną uczestniczką jego późniejszej
kariery politycznej. Postać Paderewskiego
z roku na rok potęgowała, osiągając świato-
wy format w muzyce i coraz silniej ważą-
c na polskich losach.

Zdarzało się, że maestro bywał we Lwo-
wie, gdzie był honorowany przez władze
i czczony przez publiczność. Spotykał się
z Wolskimi, nie mając pojęcia o emocjonal-
nym dramacie poetki, którego był mimowol-
nym bohaterem. Pozostanie tajemnicą czy
coś przeczuwał, sam o Maryli w żadnych

pismach nie wspominał. Tymczasem słowa,
w jakich ona odnotowywała każdy ich kon-
takt, ukazują kobietę coraz głębiej przeko-
naną, że stoi nad przepaścią. *Zjawił mi się
ten człowiek jak miraż obiecanej ziemi – jak
nieuchwytny i beznadziejnie smutny fantom
nigdy niedosięgniętego szczęścia. I była na
jego twarzy cała baśń tęcza moich snów
najcichszych. I był w jego oczach cały złoty,
niewyśniony sen mojego życia. – I straciłam
go, i pożegnałam znowu na długo – może
na zawsze.*

Po każdym wzlocie mitygowała się, spo-
glądając na otaczającą ją rodzinę: *Ale dosyć
już; nie czas dzisiaj na takie wspomnienia,
kiedy dzień powszedni świeci mi w oczy
i trzy pary szafirowych źrenic moich dzie-
ci wodzą za mną spojrzeniem – kochane,
dziecinne, ufne oczy – które przecie więcej
praw mają do mnie od tamtych.*

*Wiem, że nie będziesz dla mnie niczym
więcej,*

*Jak mgłą i snem,
A jednak – w ciszę, tę księżycem złotą
Wyciągam ręce z bezbrzeżną tęsknotą
Za widmem twem...*

*Własne me serce zawieszam ex voto
Przed widmem twem –*

– pisała z gorzką determinacją w jednym
z wierszy.

Rodzi się także pytanie, czy nic nie prze-
czuwało otoczenie, czy wątpliwości miałwał
Wacław? Wydaje się, że cokolwiek przeży-
wała Maryla, wiązano to z jej naturą, z przy-
znaną jej i akceptowaną rolą nadwrażliwej
poetki swojej epoki. Kochać Marylę nie było
trudno, jak powiada Obertyńska, ale aby ją
rozumieć i wyznawać się w tym tak bardzo
zawiliym mechanizmie jej wnętrza – doda-
je – *na to trzeba było takiego serca, takiej
dobroci i takiego umysłu, jak miał „tątko”,
czyli Wacław Wolski. Był bezbrzeżnie wy-
rozumiały i świetnie rozumiał mamy „gatu-
nek”. A rozumieć to daleko większa sztu-
ka niż kochać* – konstatowała córka, przy
tym także poetka. Wolski widział w żonie
przede wszystkim artystkę, jako niepozba-
wiony wrażliwości „inżynier swojej epoki”
uważał, że komuś, kto został tym cudow-
nym kalectwem zaszczycony, nie można
kazać żyć inaczej.

Ojciec był zbyt mądry, by o tym nie wiedzieć. I na szczęście był dostatecznie zażenowany, aby sobie na to pozwolić. I nigdy nie wymagał od żony niczego, co by ją zmuszało do przekreślenia w sobie czegokolwiek z tamtej napowietrznej dziedziny twórczości – podsumowuje Obertyńska.

CIEŃ WŚRÓD CIENI

Maryla Wolska poetką przede wszystkim „była”. Celebrowała ten stan z młodopolskim majestatem, nie pisała „zawodowo”, drukowała niewiele, najczęściej w czasopiśmie, a publikacje przeważnie oznaczała inicjałami lub pseudonimem. Nie zabiegała o ogłaszanie tomików, za jej życia wyszły nieliczne, najlepszy – *Dzbanek malin* – ogłosiła niedługo przed śmiercią, za namową i nakładem zięcia Michała Pawlikowskiego.

Zatem w początkach XX wieku, okresie jej największej aktywności, w środowisku literackim znano ją tyleż jako autorkę wierszy, co lwowską Psyche, która wabiła niepospolite dusze do salonu na Zaświeciu. Miała wtedy 30 lat, urodę, talent, erudycję, materialny luksus, legendarne pochodzenie, świetne znajomości – dla tworzącej się nowoczesnej elity artystycznej była kapłanką wtajemniczenia.

Grupę niemal stale goszczącą w jej domu nazwała Płanetnikami. Oddawało to jej ówczesną fascynację prasłowiańszczyzną i cennie charakteryzowało twórcze usposobienie utalentowanych gości. Płanetnik bowiem to w słowiańskiej mitologii istota na poły demoniczna, żyjąca na progu nieba i władająca chmurami. Któż jak nie on mógł bywać na Zaświeciu? Wolska własną poezję traktowała bardzo osobiście, niby poniechane ongiś „kręcidło”, magiczną różdżkę, która pozwalała jej przybierać postać godną wyższych form egzystencji. Niewielu w tę tajemną krainę wpuszczała.

Nie oznacza to, że żyła w niej sama. Zadebiutowała w 1893 roku utworem *Cieniom*, w którym ukazuje się najważniejszy, największy cień jej dzieciństwa – Artur Grottger. Cień niejako „udomowiony” przez matkę, która publicznie kreowała jego mit artysty bez reszty poświęconego sprawie narodowej, w prywatnym życiu czcząc w „nieszczęsnym Arturze” wyidealizowanego patrona najczystszych uczuć. Ta bezwzględna i nieustanna adoracja była w domu Młodnickich

czymś oczywistym i powszednim, wplecionym w obyczaj, religijne obrzędy i narodową symbolikę.

Być może właśnie Grottger, ów cień stale obecny, niemal realnie żyjący w tej rodzinie, pierwotny mit wielkiej i fantastycznej miłości sprawił, że życie uczuciowe Maryli wymagało chorobliwie podwyższonej temperatury. Cienie – te z sentymentalnych tęsknot czy miłosnych szaleństw – stale zaludniały jej wyobraźnię. Można powiedzieć, że poezja Wolskiej istniała dla nich i dzięki nim.

Jednym z cieni był Paderewski, tym ważniejszy, że potężny, żywy i „własny”. Czy budził jej pożądanie? Raczej uszlachetniał tłumione namiętności. Był dziełem sztuki, genialnym portretem, w który wpatrywała się aż do ekstazy. Czynił z niej kobietę zniewoloną obłądną namiętnością, którą pragnęła być, a której się obawiała, bo zagrażała temu, co pani na Zaświeciu nazywała szczęściem, choć celniej byłoby mówić o codziennej stabilizacji. W jednej postaci kryła się więc kobieta aktywna, żyjąca wśród ludzi, ważna persona lwowskiej elity, często silna i zdecydowana w poglądach na sztukę wypełniającą jej życie towarzyskie. Obok kryła się ofiara nieogarnionego smutku, prowadząca w swoim mniemaniu podwójne życie uczuciowe, trwająca w transie, tyleż rozkosznym, co porażającym. *Dusza moja w zielonym na warkoczach wianku* – powiadała w jednym z wierszy – *Ścieżką idzie samotną, wolną, jak ptak w lesie. Niby wichur swobodna nad życiem się niesie...*

... Dusza moja nikomu wziąć się nie da
w ręce;
Własna swoja, niczyja, nie znana nikomu,
W zaświaty boży swe serce poniesie
dziewczęce,
Niby malin, wieczorem, pełny dzban, do
domu...

Poezja „swobodnie niosła ją nad życiem”, jednak w chwilach, gdy „kręcidło” przestawało czarować, czuła się bezsilnie pogrążona w tym „nadmiarze siebie”. Próbowwała nadać mu bezpieczną formę, oswoić go, ułożyć ja-koś ze światem. Była daleka od radykalnej emancypacji, uciekała w pejzaż wypełniony nieopisaną tęsknotą, ujęty jednak, jak całe jej życie, w trwale mieszczańskie ramy.

ŻARŁOCZNY PŁOMYK

Gdyby kobietę, która wylania się z jej twórczości, wziąć za biograficzną emanację Maryli, dojrzelibyśmy albo młodą dziewczynę, albo damę już sędziwą, lirycznie medytującą przeszłość, nierzadko wpadającą w pogodny, jeszcze częściej w posępny sentymentalizm. Jak gdyby nigdy nie zaznała dojrzałości i potrafiła być tylko „sędziwą dziewczyną”. W jednym z wierszy sama wyjawiała podobny stan:

*Dusza moja na zawsze zostanie dziewczyną,
Co w las poszła, z dzbankiem, na jagody.*

Ta dziewczęcość, w poezji odziana w radosny stoicyzm, w realnym życiu naznaczona młodzieńczą obsesją, stawała się źródłem udręki. Wśród menterek pokrzepiających ją w wewnętrznym rozchwianiu była o trzydzieści lat starsza Maria Konopnicka, sama bogato doświadczona w balansowaniu na uczuciowych krawędziach. W twórczości przeważnie pruderyjna, w życiu wobec „chorób końca wieku” usposobiona, jak na owe czasy, pragmatycznie.

Droga Pani Marylo, to jest tak – oznajmiła stanowczo w jednym z listów. – *Ani najbardziej ukochany mąż, ani najbardziej ukochane dzieci nie mogą z serca kobiety wziąć więcej dla siebie niż to, co jest miłością dla męża i miłością dla dzieci. To jest szczęście! Ale u Pani jest trochę inaczej. U Pani jest jeszcze iskra, płomyk, który gorzeje sam w sobie i dla siebie. Pani nie może tego oddać ani mężowi, ani dzieciom, a oni zabrać tego także nie mogą. Po prostu nie wchodzi to w ich dział. Ale jeżeli życie Pani obraca się i owija tylko około męża i dzieci, to ten płomyk, nie żywiony niczym z zewnątrz, razem z sobą trawi i serce Pani – i to jest właśnie owo uczucie jakiegoś głuchego bólu czy smutku.*

Ów żarłoczny płomyk wedle Konopnickiej potrzebował ideałów, serdecznego paliwa koniecznego do życia duchom nadwrażliwym, które giną w pokojowej temperaturze. *Skąd je brać?* – pytała Konopnicka podsuwając odpowiedź: – *Ano, po prostu tworzyć piękno. Dać iskrze materiał palny w twórczości. Nie zapierać przed sobą samej siebie. Mężowi i dzieciom żadna się przez to ujma, żadna krzywda nie stanie. To władcy toku*

życia Pani. – Oddawać Cezarowi co Cezara! Ale też oddać bóstwu piękna, co jest boskie!

Człowiek – powiada dalej protoplastka feminizmu – *stworzony jest aby uduchowić choćby drobną cząstkę materii. Jak? Tchnąć w nią własnego ducha. Oczywiście kogo na to stać. Ci, których nie stać, należą jeszcze do materii tylko. A Panią stać na to. Więc co? Więc wie pani czemu Pani smutno?*

„Uduchowanie materii” – tak w istocie można opisać związek Maryli z otaczającym ją życiem, przy czym owa materia, jak i teźniejszość, sprawiała jej nieustający zawód, wciąż nazbyt ubogie duchem, wciąż niegodne świetlanej przeszłości – „zawsze będzie dla serca za skąpo, zawsze będzie dla ramion za mało!”

PIĘKNE, BO MINIONE

Żywiołem jej wyobraźni był bowiem świat dawno miniony lub boleśnie przemijający na jej oczach. Cezurą – tak dla niej, jak dla całego pokolenia – był rok 1918 i odzyskanie niepodległości. W ten czas, jak swoisty znak wodny, także wtopiony był wizerunek Paderewskiego. Odczuwała to jako chwilę, gdy *cały naród wraca do domu*, podczas gdy nad wszystkim *obok, o więź promienistych dalii oparta stoi podobizna. Paderewski*. W kolejnych słowach rzecz staje się osobista, niemal intymna: *Patrzę ku mnie oczy przedziwne wyrazem, wychyla się twarz, którą jak pewne oktawy Słowackiego, umiem od lat najmłodszych na pamięć. Gazdo złoty! Jaśnie dziedzicu ducha! Do ziemi kłania Ci się dusza. Dziękuję, żeś w tamtą czarną godzinę był, że w tę słoneczną – jesteś!* – pisała jesienią 1918 roku w mglistym, emocjonalnym utworze ogłoszonym w „Słowie Polskim” z 24 grudnia.

Wolskiej świeciło niegdysiejsze słońce, *naród wracał do domu* i nic tu właściwie nie poruszało się naprzód. Paderewski, choć unosił się jako *w ognistej koronie ducha nowego śpiewak*, najbardziej zachwycał ją jako wcielenie przeszłości. *Dusza jego i twarz świadczą o rasie duchów już zagnionej. Rodzinnego ich podobieństwa szukać chyba trzeba w najgłębszych motywach szopenowskiej muzyki, w cyklach Grottgerra, w zjawach poezji Słowackiego. Krewnymi jego są i Zorjan, i Ziemowit, i Lilla Weneda, i – borowy z Lituanii. Przeczucie o nim pozowało Grottgerowi do młodzień-*

ca z „Wojny”, tego, który po wyrok Losu na dno urny sięga – pisała. Paderewski był dla niej nie tylko demiurgiem niepodległości, ale cudotwórcą odnawiającym ojczyznę, zdolnym uczynić to z całą ludzkością i światem. W na poły modlitewnym wierszu zatytułowanym *Pokłon* egzaltacja poniosła Wolską na literackie mielizny, ale w tych dniach bodaj pierwszy raz los potraktował ją z brutalnością, przed którą ani matka, ani Wacław nie mogli jej uchronić.

Zaledwie wspomina o strasznym listopadzie, który „skalał” cudowne poczęcie niepodległej Polski. Chodziło oczywiście o polsko-ukraińskie walki na ulicach Lwowa, które na zawsze zburzyły jej prywatny pejzaż miasta. Pisząc o tym do grudniowego „Słowa”, nie przeczuwała jak tragicznie sama zostanie ugodzona, publikując *Pokłon* była w matczynej rozpacz. Ludwik Wolski, gospodarujący w Perepelnikach, rodzinnym majątku, leżącym w obrębie proklamowanej Republiki Ukraińskiej, został aresztowany i więziono go na zamku w Złoczowie. *Natchnijcie wszystkie dzieci tej ziemi miłością i zgodą* – nawoływała, wiedząc zapewne, że ogłasza te słowa na Boże Narodzenie. Jednak jej pierworodny, ukochany, utalentowany literacko syn, jej „Polak mały”, miał się stać realną ofiarą tych wydarzeń. Zginął w marcu 1919 roku, okrutnie przed śmiercią torturowany.

SAME GROBY

Niepodległa Polska przyniosła jej wiele jeszcze, zwłaszcza osobistych rozczarowań i nieszczęść. Latem 1922 roku, w wieku zaledwie 57 lat umarł Wacław, rok później w 1923 r. odeszła matka, Wanda Młodnicka, a w 1926 r. najmłodszy syn Wolskich, Juliusz.

Jako poetka, obca w swoich czasach, potrafiła ten stan duchowo zaabsorbować, zamknąć w formę:

*Dalekam od mej doby,
O tysiąc mil dalekam,
Z dni dawnych same groby,
Dni nowych nie doczekam!
A kładka między niemi,
Po której iść się boję,
To dziś, co się obcemi
Oczyrna patrzy w moje.*

To słowa z wiersza datowanego na 1927 rok, kiedy miała przed sobą jeszcze trzy lata życia. Taka alienacja odbija zazwyczaj ponure piętno na twórczości, zamyka ją w stereotypowych anachronizmach. Poezja Wolskiej przeciwnie, nie zachorowała na młodopolskie natręctwa, jej wiersze są zdumiewająco wyzwolone z żelaznych reguł przypisanych epoce, w której szufladkuje się ją jako poetkę. Paradoksalnie zwrócona ku przeszłości, trwale związana z jej duchami, swoje późne wiersze przyodziła nowoczesnie, nadążając za literackimi prądami, które płynęły z dala od medycznej prowincji, gdzie u schyłku życia spędzała większość czasu.

Silna w poezji, słabła coraz bardziej w codziennej konfrontacji z rzeczywistością, w której dotąd dublowała ją matka. Zabrakło też Wacława, który, nie zważając na realia, dbał o jej równowagę „na ziemi”. Po śmierci obojga aniołów stróżów dalsze życie „za światem” zależeć miało tylko od niej, tymczasem w każdym znaczeniu było to ponad jej siły.

Michał Pawlikowski, zięć (mąż Anieli Wolskiej), ale także opiekun i mecenas, wydawca *Dzbanka malin* w 1929 roku notował, że z *młodości wyniosła żelazny kapitał obyczaju i ideału narodowego, który nad nią świecił, zwłaszcza w ostatnich jej latach*. Ostatni dziedzic Medyki uważał jednak, że ulegała złudnej estetyce narodowej celebry. Stąd miał się brać jej *dramatyczny pesymizm, którego nie mogło zrównoważyć pogodne usposobienie ojca ani odporny i czynny charakter jej matki. Drugą szkodą tej atmosfery był pewien eufemistyczny kult zewnętrznego piękna, przez którego szminkę trudno się było doskrobać nieraz do własnej prawdy i do prawdy drugich, pewne nagięcie do koturnu i pozy*.

Wchodziła w XX wiek z zapalem i wiarą, że przyszłość będzie projekcją wartości kształtowanych i czczonych przez legendarne postaci minionego stulecia, wśród których się wychowała. Spędziła życie z duchami, pograżając się w rozczarowaniu żywymi i życiem w „skalanej” Polsce. Ojczystego dziewczęstwa nie zdołał uchronić nawet będący ucieleśnieniem idealistycznych pragnień Paderewski. *Skończyło się Zaświecie – jest już tylko cmentarz* – podsumowała. W horyzontalnym pejzażu grobów okalającym jej wyobraźnię wkrótce znalazł się jej własny.

Michał Piekarski

Così fan tutte

Na początku czerwca po raz pierwszy od sierpnia 2020 roku wyruszyłem w dalszą podróż. Tym razem celem był Wrocław, w którym obejrzałem nową inscenizację *Così fan tutte* (*Tak czynią wszystkie*) Wolfganga Amadeusa Mozarta. Jest to opera komiczna o niewierności niewieściej, ale też o przewrotności mężczyzn. W związku z tym podczas omawianej inscenizacji na scenie widoczny był napis *Così fan tutti* (*Tak czynią wszyscy*).

Prapremiera *Così fan tutte* miała miejsce w Burgtheater w Wiedniu w 1790 r. Ponieważ w operze tej mowa jest nie tylko o niewierności, a także o zamianie kochanków, wkrótce w XIX w. dzieło uznano za niemoralne i prawie nigdzie go nie wystawiano przez ponad 100 lat. Z tego powodu publiczność lwowska na *Così fan tutte* musiała poczekać aż 137 lat. Dzieło się tak, mimo że we Lwowie wiele dzieł Mozarta wykonywano już w końcu XVIII w. Należały do nich: *Wesele Figara* (Wiedeń 1786, Lwów 1792) i *Czardziejski flet* (Wiedeń 1791, Lwów 1792) – w obydwu przypadkach były to polskie prapremiery. We Lwowie grano także *Don Giovanniego* (Praga 1787, Lwów 1793), cztery lata po premierze warszawskiej. Wszystkie te premiery miały miejsce we Lwowie, jeszcze

zanim w 1808 r. Franz Xaver Wolfgang Mozart (syn) znalazł się w okolicach Lwowa za sprawą rodziny Baworowskich.

Così fan tutte na lwowskiej scenie po raz pierwszy pokazano dopiero 17 czerwca 1927 r. Był

to spektakl przygotowany siłami Konserwatorium Polskiego Towarzystwa Muzycznego, wystawiony jednak nie w murach uczelni, a na scenie operowej. Całością dyrygował Adam Sołtys, ówczesny profesor klasy dyrygentury (późniejszy dyrektor), w spektaklu wystąpił też znany tenor Marceli Jan Sowiński. Był to zatem spektakl łączący siły młodych muzyków i już doświadczonych artystów (podobnie jak w przypadku obecnego spektaklu w Operze Wrocławskiej).

W programie spektaklu Opery Wrocławskiej nie znalazłem jednak żadnej wzmianki o Lwowie. Widnieje za to błędna informacja: polska prapremiera Poznań (1933). W związku z tym niedługo po spektaklu napisałem stosowne pismo do dyrekcji Opery Wrocławskiej. Niestety nie po raz pierwszy polskie teatry i filharmonie nie biorą pod uwagę najnowszych ustaleń w sprawie polskich prapremier i prawykonań, których znaczna część miała miejsce właśnie we Lwowie. O lwowskiej prapremierze *Così fan tutte* pisała już w 2008 r. Maria Ewa Sołtys (*Tylko we Lwowie. Dzieje życia i działalności Mieczysława i Adama Sołtysów*). W tej zresztą sprawie bezpośrednio się zwróciłem do pani Marii, od której otrzymałem kopie dokumentów potwierdzających opisywane wydarzenie. Sam odnalazłem też stosowną informację w „Gazecie Lwowskiej” z 1927 r. Wraz z córką Adama Sołtysa mogę z pewnością stwierdzić, że rola Lwowa w rozwoju kultury niedoceniana była chyba prawie zawsze i nic właściwie w tej materii się nie zmieniło. Tak czynią wszyscy... Na reakcję Opery Wrocławskiej jednak wciąż czekam.

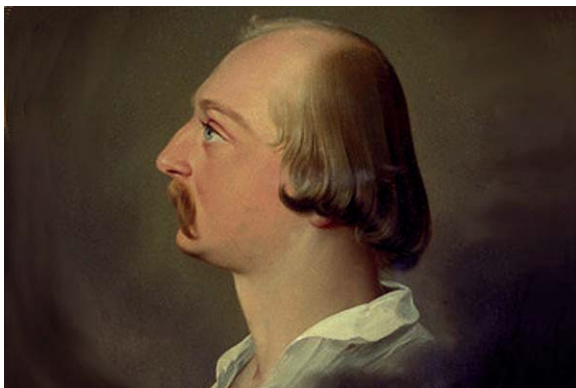
Uczeń Bacha

Podobnie bywa z wiedzą na temat działających we Lwowie kompozytorów, zwłaszcza w dawniejszych epokach. Niedawno podczas rozmowy usłyszałem, że tylko jeden uczeń Johanna Sebastiana Bacha miał związki z Rzeczpospolitą. Chodziło o urodzonego w Gdańsku Johanna Gottlieba Goldberga, wybitnego kompozytora działającego później na dworze Henryka Brühla. Mówiąc o dawnej Rzeczpospolitej, należy ją jednak postrzegać w jej właściwych granicach. Dlatego, niczego nie ujmując Goldbergowi, trzeba dodać, że w Rzeczpospolitej działało dwóch uczniów Bacha – poza



Johann Philipp Kirnberger,
źródło: Wikipedia

wcześniej wspomnianym był nim Johann Philipp Kirnberger. Przyszedł na świat dokładnie 300 lat temu w 1721 r. w Saalfeld w Turynii. Był to kompozytor, organista i teoretyk muzyki. W 1741 r., za panowania Augusta III, wyjechał z Drezna do Rzeczypospolitej, z którą związał się na 10 lat. Znajdował zatrudnienie w różnych kapelach, zwłaszcza magnackich, początkowo u starosty piotrkowskiego w Częstochowie, skąd wyjechał do Lwowa, gdzie został kapelmistrzem w klasztorze benedyktynek. W 1744 r. rozpoczął służbę u Stanisława Lubomirskiego w Równem, później pracował na zamku w Podhorcach u Wacława Rzewuskiego, skąd po trzech latach znów znalazł się we Lwowie. W 1751 r. Kirnberger powrócił ostatecznie do Niemiec. Z jego życiorysem wiążą się dzieje głównych rezydencji położonych na północny wschód od Lwowa. Z kolei z samym klaszturem lwowskich benedyktynek łączyły się życiorysy wielu panien ze środowisk magnaterii i zamożnej szlachty, stąd nie dziwi obecność tam samego Kirnbergera jako kapelmistrza.



Karol Mikuli, portret w zbiorach NIFC

Uczeń Chopina

W 2021 r. poza 300. rocznicą urodzin Kirnbergera, przypada również 200. rocznica urodzin Karola Mikulego (ur. 1821 w Czerniowcach, zm. 1897 we Lwowie) – jednego z najważniejszych kompozytorów romantycznych działających we Lwowie. Wcześniej błędnie za datę jego urodzin uważano rok 1819. Mikuli, choć nie tworzył oper ani symfonii, odznaczył się jako doskonały twórca utworów fortepianowych, kameralnych (na bardzo różne obsady), pieśni i kompozycji chóralnych. Zanim w 1858 r. trafił do Lwowa, pobierał w Paryżu lekcje u Fryderyka Chopina, dlatego znany jest dziś głównie jako jego uczeń. Przez blisko 30 lat był dyrektorem Konserwatorium Galicyjskiego Towarzystwa Muzycznego we Lwowie, w którym wprowadził język polski jako wykładowy. Za jego sprawą Lwów stał się ważnym ośrodkiem kulturowym tradycje chopinowskie. Twórczość Mikulego należy jednak rozpatrywać w znacznie szerszym kontekście. Choć nie raz inspirował się Chopinem, bardzo wiele

kompozycji zdradza całkowicie inne wpływy, umieszczając twórczość Mikulego w nurcie dojrzałego romantyzmu kręgu niemieckojęzycznego. Począwszy od Roku Chopinowskiego 2010, Karolowi Mikulemu przez ostatnich 11 lat poświęciłem niemało uwagi. Wciąż pojawiają się nowe, nieznane wątki (najnowszy biogram Mikulego znajduje się na internetowym Portalu Muzyki Polskiej). We Lwowie, Czerniowcach i Warszawie odbyło się w latach ubiegłych szereg koncertów prezentujących jego różnorodną twórczość. W tym roku (jeśli oczywiście pozwolą na to warunki sanitarne), w końcu października, odbędzie się na Zamku Królewskim w Warszawie specjalny koncert z okazji okrągłej rocznicy urodzin kompozytora. Po ponad 150 latach zostanie na nowo zaprezentowana kantata *Die Reue* (żał, skrucha) przeznaczona na baryton i kwintet smyczkowy oraz wiele pieśni na głos z fortepianem. Mikuli kantatę zadedykował Johannesowi Brahmsowi, którego poznał osobiście we Lwowie w 1880 r. Taka właśnie muzyka brzmiała w wielu lwowskich salonach w połowie XIX w. Egzemplarz kantaty Mikulego, uważany wcześniej za zaginiony, został w zeszłym roku odnaleziony przez autora piszącego te słowa. W ten sposób kolejne dzieło lwowskiego kompozytora wzbogaca obraz polskiej kultury muzycznej XIX w.

Na przestrzeni kolejnych stuleci Lwów zasłynął jako silny ośrodek mozartowski oraz chopinowski. Był także miastem, w którym działał uczeń J.S. Bacha. We wszystkich przypadkach po 1945 r. informacje te były zwykle pomijane – czasem celowo, czasami z niewiedzy. Najwyższy czas nadrobić te zaległości, aby wreszcie mapa muzyczna



dawnej Rzeczypospolitej i Polski pod zabo-
rami była właściwie zapełniona, bez białych
plam tam, gdzie ich nie ma.

* * *

W związku z odkrywaniem i przypomnia-
niem zapomnianych kompozytorów związa-
nych ze Lwowem, 15 maja 2021 r. odbyło się
w dzielnicy Białoleka m.st. Warszawy otwar-
cie wystawy i towarzyszący jej koncert *Mel-
cer z Marcelina*. Wystawa poświęcona była
pianiście i kompozytorowi Henrykowi Melce-
rowi-Szczawińskiemu (ur. 1869 w Marcelinie
koło Warszawy, zm. 1928 w Warszawie).
Ponieważ dawna wieś Marcelin znajduje się
obecnie na terenie dzielnicy Białoleka, tam
właśnie otwarto wystawę w gospodarstwie
Rysiny należącym od ponad 150 lat do rodzi-
ny Majlertów. Organizatorem wystawy była
fundacja Ave, autorem – piszący te słowa.

Henryk Melcer był też związany ze Lwo-
wem, co zostało przypomniane na kilku
osobnych planszach. Zasłynął jako profe-
sor fortepianu w Konserwatorium Galicyj-
skiego Towarzystwa Muzycznego (1896–
1898) oraz dyrygent Filharmonii Lwowskiej
(1902–1903). Przez kolejne lata prowadził
też klasę fortepianu w szkole muzycznej
Heleny Ottawowej i Saby Kasparkówny.
Melcera wiele łączyło z Ignacym Janem Pa-
derewskim, obaj byli równie utalentowanymi
pianistami, którzy zasłynęli jako interpretato-
rzy Chopina, ciesząc się też powodzeniem
jako bożyszczce kobiet. Melcer przez kolejne

lata działał także w Wiedniu, Łodzi i War-
szawie. W Krakowie wystąpił dwukrotnie
w sali Towarzystwa Gimnastycznego „So-
kół” w 1918 r. Spośród dzieł Melcera wiele
miało prawykonania we Lwowie, w tym oby-
dwa koncerty fortepianowe. Na przełomie
XIX i XX w. Melcer należał do ulubieńców
lwowskiej publiczności. Choć jego twórczość
świadczy o wyjątkowym talencie, dziś bardzo
rzadko można ją odnaleźć w programach
koncertów. Dlatego tym bardziej zasługuje
na uwagę koncert towarzyszący wystawie,
który poprowadzili Bartłomiej Włodkowski,
Michał Piekarski. Jako gość specjalny wystą-
piła Katarzyna Piątkowska-Pinczewska, au-
torka pracy doktorskiej o Henryku Melcerze.
W programie koncertu znalazły się: *Sonata
G-dur* na skrzypce i fortepian w wykonaniu
Celiny Kotz (skrzypce) i Grzegorza Skrobiń-
skiego (fortepian), wybrane pieśni zaśpiewał
Witold Żołądkiewicz (baryton) z Gabriellą
Machowską przy fortepianie. Chór „Ave” pod
kierunkiem Barbary Hijewskiej zaśpiewał
kantatę *Pani Twardowska* do słów Adama
Mickiewicza z udziałem Andrzeja Wiśniew-
skiego (tenor). We Lwowie odbyło się ponad
110 lat temu prawykonanie dwóch wymie-
nionych dzieł – *Sonaty G-dur* (1908) i bal-
lady *Pani Twardowska* (1897) pod dykcją
kompozytora.

Wystawa „Melcer z Marcelina” do końca
2021 r. będzie dostępna na terenie dzielnicy
Białoleka. Później możliwe będzie jej poka-
zanie w innych miejscach.

Dominik Dorosz

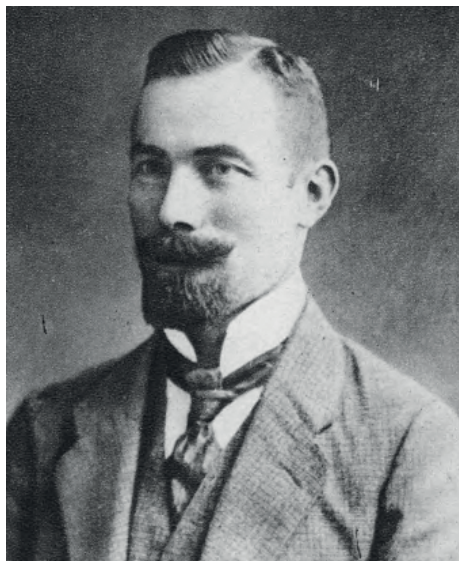
Nieznany bohater Obrony Lwowa – Jerzy Grodyński

Z tyłu za linią dekonniki,
Intendentura, różne umrzyki,
Gotują zupę, czarną kawę –
I tym sposobem walczą za sprawę, hej!

Pałacyk Michla
Józef „Ziutek” Szczepański

Choć ta piosenka nie opisuje wydarzeń rozgrywających się we Lwowie w listopadzie 1918 roku, to idealnie obrazuje działalność pewnej dość ważnej, choć często pomijanej postaci z tamtego okresu, mało znanego bohatera obrony Lwowa – Jerzego Grodyńskiego. Odegrał znaczącą rolę w działalności lwowskich skautów walczących w obronie miasta w 1918 r., a wcześniej w tworzeniu polskiego skautingu. Jego działalność charakteryzowało poświęcenie w działaniach na rzecz wyzwolenia miasta oraz przykładowe posłuszeństwo względem przełożonych. Gdy był harcerzem, przez 8 lat nigdy nie padło jego nazwisko. Dlaczego jego działalność była niedoceniona i zapomniana?

Jerzy Grodyński był polskim inżynierem, architektem oraz jednym z twórców skautingu w Galicji. Urodził się 1883 roku we Lwowie. Podczas I wojny światowej po zajęciu przez wojska rosyjskie Lwowa wyjechał do Krakowa, gdzie kontynuował swą działalność na rzecz skautingu. Podczas pobytu w byłej stolicy Polski został powołany do armii austriackiej, a po zakończeniu działań wojennych powrócił do rodzinnego miasta¹. Tam jako członek Naczelnej Komendy Obrony Lwowa² do spraw intendentury³ uczestniczył w obronie miasta.



Jerzy Grodyński⁴, źródło: Wikipedia

Pozycja Jerzego Grodyńskiego w Naczelnej Komendzie Obrony Lwowa w dużym stopniu była wynikiem wybrania na komendanta NKOL Czesława Mączyńskiego. Byli bliskimi przyjaciółmi oraz kolegami partyjnymi z PKW – Polskich Kadry Wojskowych⁵. W wielu źródłach i publikacjach jest tytułowany stopniem kapitana. Jednak w rzeczywistości ani on, ani sześciu innych członków NKOL nie było oficerami⁶. Jerzy Grodyński od samego początku żywo uczestniczył

¹ Irena Kozimala, *Kadra instruktorska Lwowskiej Chorągwi Harcerzy Związku Harcerstwa Polskiego w latach 1918–1945*, Warszawa 2010, s. 49–50.

² Eugeniusz Wawrzukowicz i Józef Klink, *Walczący Lwów w listopadzie 1918*, Lwów–Warszawa, s. 7.

³ Eugeniusz Wawrzukowicz i Józef Klink, op. cit., s. 8.

⁴ [https://pl.wikipedia.org/wiki/Plik:Jerzy_Grody%C5%84ski_\(SF\).jpg](https://pl.wikipedia.org/wiki/Plik:Jerzy_Grody%C5%84ski_(SF).jpg)

⁵ *Obrona Lwowa 1–22 listopada 1918 – relacje uczestników. Źródła do dziejów walk o Lwów i województwa południowo-wschodnie 1918–1920*, t. 1, Lwów 1933: Antoni Jakubski, *Walki listopadowe we Lwowie w świetle krytyki*, s. 173–174.

⁶ *Obrona Lwowa 1–22 Listopada 1918 – relacje uczestników. Źródła do dziejów walk o Lwów i województwa południowo-wschodnie 1918–1920*, t. 1, Lwów 1933: Antoni Jakubski, *Walki listopadowe we Lwowie w świetle krytyki*, s. 169–170.

do Lwowa na zjazd akademicki¹¹. Siedzibę swą stworzyli w „Sokole”. Cały mechanizm polegał na tym, że kilku chłopców zawsze było w Naczelnej Komendzie, aby otrzymane od niej rozkazy przekazywać do „Sokoła”. Stamtąd inni skauci zanosili rozkazy w miejsca docelowe¹². Trzeba jednak zaznaczyć, iż nie była to prosta sprawa ze względu na fakt, iż „Sokół” znajdował się po stronie miasta opanowanej przez wojska ukraińskie.

Wśród tych wszystkich dokonań trzeba wspomnieć o zorganizowanej przez kpt. Jerzego Grodyńskiego intendenturze. Jak napisał sam dowódca NKOL Czesław Mączyński: *Aby zrozumieć ogrom jego pracy, należy wziąć pod uwagę, że nie był fachowcem i nie miał żadnego fachowca do dyspozycji*¹³. Rozkaz mianujący Grodyńskiego szefem intendentury ujrzał światło dzienne 5 listopada¹⁴. W swych wspomnieniach Mączyński informuje, iż Grodyński (...) *chciał koniecznie wziąć udział tylko w orężnej rozprawie z wrogiem i dopiero słowo „rozkaz” odwiodło go od tego*¹⁵. Podczas obrony Lwowa z całego początkowego bałaganu wykształcił się pewien specyficzny system pracy całej Naczelnej Komendy Obrony Lwowa oraz jej referatów. Każda służba pracowała osobno i niezależnie od innych. We wspomnieniach Antoniego Jakubskiego możemy znaleźć informacje, iż niekiedy dochodziło do sytuacji, w których rozkazy, np. dotyczące intendentury, wychodziły z siedziby NKOL bez podpisu Mączyńskiego, będąc jedynie zaparafowane przez Grodyńskiego¹⁶.

Jerzy Grodyński wraz ze swoim zastępcą Zygmuntem Pierackim bez wątpienia zrobili wszystko co w ich mocy, aby każdemu mieszkańcowi nie brakowało chleba. Aby ukazać ogrom ich pracy, warto przytoczyć przykład z jednego dnia rozejmu. Dzięki dzia-

łającej bez zarzutów intendenturze 70 000 mieszkańców terenów zajmowanych przez Wojsko Polskie otrzymało posiłki, a służby pomocnicze miały możliwość dokonania wymiany miejskich zapasów oleju i soli na żywność¹⁷. Działalność zorganizowanej przez nich intendentury koncentrowała się w pięciu wydziałach: 1) skarbowo-kasowym, 2) żywnościowym i paszy, 3) odzieżowym i wyposażeniu, 4) taborowym i 5) bydła rzeźnego¹⁸. Kpt. Grodyński wraz z Zygmuntem Pierackim zorganizowali intendenturę odcinkową, służbę gospodarczą i kuchnię polową dla każdego oddziału. Za ich sprawą powstało również 11 stacji wydawniczych, 3 magazyny żywności, piekarnia wojskowa, obora oraz rzeźnia. Do zasług tej dwójki można również zaliczyć ujednolicenie zaopatrzenia wojska poprzez unormowanie racji dziennych, rezerwowych i dodatkowych. Za sprawą kierowanego przez nich referatu powstały pralnie oddziałowe, warsztaty reperacyjne, rezerwy mundurowe oraz punkty konserwacji ekwipunku. Wprowadzone również zostały zasady dotyczące spraw zakupów z wolnej ręki oraz spraw poborów pieniężnych¹⁹. Jerzy Grodyński wraz ze swoim zastępcą sukcesywnie kontrolowali gospodarkę całego Lwowa. Aby jak najszybciej polepszyć sytuację militarną obrońców, zorganizowali premię dla każdego zdobywcy broni²⁰. W całym tym spisie zasług nie można zapomnieć o wszelkich przeciwnościach losu. Referent intendentury w swych raportach często narzekał na rabunki uzbrojonych bandytów, które szczególnie często miały miejsce w magazynach wojskowych²¹. Jednym z ważniejszych osiągnięć Jerzego Grodyńskiego odnośnie do intendentury było utworzenie kompanii robotniczej²².

¹¹ Władysław Nekrasz, *Harcerze w bojach w latach 1914–1920*, t. 1, Warszawa 2011, s. 40.

¹² Czesław Mączyński, op. cit., s. 72.

¹³ Czesław Mączyński, op. cit., s. 111–113.

¹⁴ Jacek Miliński, *Pułkownik Czesław Mączyński 1881–1935*, Warszawa 2004, s. 124; Irena Kozimala, op. cit., s. 49–50.

¹⁵ Czesław Mączyński, op. cit., s. 111–113.

¹⁶ *Obrona Lwowa 1–22 Listopada 1918 – relacje uczestników. Źródła do dziejów walk o Lwów i województwa południowo-wschodnie 1918–1920*, t. 1, Lwów 1933: Antoni Jakubski, *Walki listopadowe we Lwowie w świetle krytyki*, s. 183.

¹⁷ Rosa Bailly, *Miasto walczy o wolność*, Lublin 2011, s. 196.

¹⁸ Eugeniusz Wawrzkowicz i Józef Klink, op. cit., s. 36–37.

¹⁹ Eugeniusz Wawrzkowicz i Józef Klink, *ibidem*, *Obrona Lwowa 1–22 Listopada 1918. Organizacja listopadowej obrony Lwowa. ewidencja uczestników walk, lista strat. Źródła do dziejów walk o Lwów i województwa południowo-wschodnie 1918–1920*, t. 3, *ibidem*.

²⁰ Eugeniusz Wawrzkowicz i Józef Klink, *ibidem*

²¹ Jacek Miliński, op. cit., s. 124.

²² Eugeniusz Wawrzkowicz i Józef Klink, op. cit., s. 36–37.



Dziesiąty dzień walk był dla obrońców w Szkole Sienkiewicza bardzo uroczysty. Wszyscy obrońcy na dziedzińcu przed gmachem budynku – według źródeł 125 oficerów, 182 oficerów bez stopnia, 1038 obrońców z innymi stopniami i 96 kobiet ze służby pomocniczej – złożyło przysięgę, której słowa brzmiały²³:

*Przysięgam uroczysto, że przyjęte na siebie obowiązki żołnierza spełnię zawsze i wszędzie z całą sumiennością bez względu na trudności i przeszkody, choćby z narażeniem zdrowia i życia własnego. Nie zaniedbam niczego, ażeby przyczynić się wszelkimi siłami do utrzymania ładu i porządku, być wzorem karność i posłuchu żołnierskiego. W ogóle przysięgam nie zaniedbać nigdy niczego, aby jak najwyżej wzniesić świetny zawsze sztandar bojownika za Wolność, Niepodległość i Całość Polski. Hasłem mym będzie: Bóg Ojczyzna. Tak mi dopomóż Bóg!*²⁴

Słowa tej przysięgi zostały napisane przez Jerzego Grodyńskiego na polecenie szefa NKOL – Czesława Mączyńskiego.

W Naczelnej Komendzie Obrony Lwowa pracowało wiele osób niekoniecznie zwią-

zanych z wojskiem, lecz połączonych wizją wolnego miasta Lwowa należącego do odradzającej się Polski. Jedną z nich był właśnie inż. Jerzy Grodyński. Ze wspomnień Antoniego Jakubskiego jasno możemy odczytać, iż z początku (...) *byli to ludzie wysoko pojętej idei, ale jak często między „cywilami”, łatwo upadający na duchu*. Drugi szef sztabu NKOL w swych retrospekcjach wspomina jednak, iż wśród tych wszystkich „cywilów” wyróżniało się dwóch charakteryzujących się wytrwałością i oddaniem. Pierwszym z nich był szef referatu prasowego dr Mejbaum, drugim zaś Jerzy Grodyński. Świadczy o tym wydarzenie, jakie miało miejsce 13 listopada w godzinach wieczornych podczas zebrania Naczelnej Komendy Obrony Lwowa. Cały sztab, a Czesławem Mączyński na czele, wysłuchiwał ze smutkiem warunków poddania miasta Ukraińcom. W świetle wielu argumentów Mączyński był prawie skłonny poddać miasto, lecz nagle okrzyki wszczęte przez dra Mejbauma oraz Grodyńskiego: „Judasze. Polskę sprzedajecie!” od razu wróciły go do trzeźwego myślenia.

W sprawie śmierci kpt. Jerzego Grodyńskiego jest wiele niejasnych informacji. Warto jednak wspomnieć o pewnej plotce dotyczącej jego osoby. Ponoć pewnego dnia podczas zaciętych walk w mieście Grodyński nieoczekiwanie zaginął bez śladu. Kilka

²³ Rosa Bailly, op. cit., s. 237; Czesław Mączyński, op. cit., s. 168.

²⁴ Czesław Mączyński, ibidem.



Fragment mapy „Lwów – stan z listopada i grudnia 1918 r.”

dni później paru mężczyzn utrzymywało, że widziało ciało kapitana porąbane i zmasakrowane²⁵.

Jak pisał we wspomnieniach Czesław Mączyński, inż. Jerzy Grodyński od początku obrony Lwowa chciał brać udział w walkach frontowych. Za zgodą komendanta Naczelnej Komendy Obrony Lwowa wraz z wyparciem Ukraińców za miasto (miało to miejsce 22 listopada) oddał wszystkie swoje obowiązki dotyczące intendentury i jako kapitan przejął dowództwo nad 7 kompanią 1 pułku strzelców lwowskich²⁶. 28 grudnia 1918 r. kpt. Jerzy Grodyński w zgodzie z poleceniem komendanta NKOL – Czesława Mączyńskiego – udał się ze swoim pułkiem

na zagrożony odcinek pod Kozielnikami. Tego samego dnia ciężko ranny w walce pod Dawidowem dostał się do niewoli ukraińskiej²⁷. Niestety dalsze losy Grodyńskiego nie są nam dokładnie znane. Okoliczni ludzie opowiadali jedynie, że przez kilka dni przy drodze leżało jego skatowane ciało²⁸.

Ciało Jerzego Grodyńskiego nigdy nie zostało odnalezione. Z tego powodu na Cmentarzu Orłąt Lwowskich znalazł się jedynie epigraf podkreślający jego dokonania. W dwudziestą rocznicę obrony Lwowa (21 listopada 1938 r.) rada miasta postanowiła nazwać jego imieniem jedną z ulic w międzywojennym Lwowie²⁹. Po II wojnie światowej na grobie rodziny Fedorowiczów i Grodyńskich na Cmentarzu Rakowickim

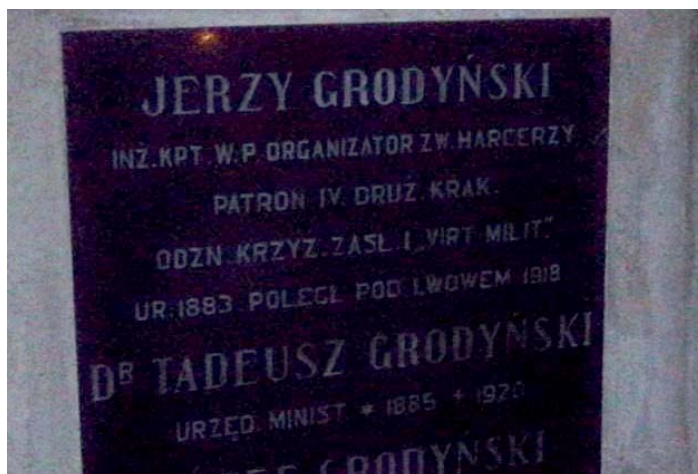
²⁵ Rosa Bailly, op. cit., s. 128.

²⁶ Irena Kozimala, op. cit., s. 49–50; *W obronie Lwowa i Kresów Wschodnich poległ od 1 listopada 1918 r. do 30 czerwca 1919 r.*, Lwów 1926, s. 94–95; Czesław Mączyński, op. cit., s. 111–113. Istnieje sprzeczność co do numeru i rodzaju oddziału, którym dowodził Jerzy Grodyński. W źródłach możemy znaleźć informacje, iż dowodził on „7 kompanią 1 pułku strzelców lwowskich”, „8 pułk strzelców lwowskich”, „38 pułk strzelców lwowskich” czy „38 pułkiem piechoty”.

²⁷ Czesław Mączyński, ibidem; Agnieszka Biedrzycka, *Kalendarium Lwowa 1918–1939*, Kraków 2012, s. 8; *W obronie Lwowa i Kresów Wschodnich poległ od 1 listopada 1918 r. do 30 czerwca 1919 r.*, ibidem; Stanisław S. Nicieja, op. cit., s. 196; Bolesław Leonhard, *Kalendarium z dziejów harcerstwa krakowskiego 1910–1950*, Kraków 2001, s. 52; Irena Kozimala, op. cit., s. 49–50.

²⁸ Czesław Mączyński, op. cit., s. 111–113.

²⁹ Agnieszka Biedrzycka, op. cit., s. 935.



Grób Jerzego Grodyńskiego, fot. Dominik Dorosz

w Krakowie, umieszczono inskrypcję upamiętniającą jego bohaterską śmierć w obronie Lwowa³⁰.

17 kwietnia 1921 r. był wyjątkowym dniem dla całego Lwowa. Ówczesny Naczelnik Państwa – Józef Piłsudski – przybył do miasta, aby oddać hołd poległym w obronie, wynagrodzić indywidualnie wszystkich walczących, tak jak przed pół roku odznaczył samo miasto, umieszczając w jego herbie Krzyż Orderu Virtuti Militari. Wśród około 1400 udekorowanych nie zabrakło kpt. Jerzego Grodyńskiego, który został odznaczony Srebrnym Krzyżem Orderu Virtuti Militari oraz Krzyżem Walecznych³¹.

BIBLIOGRAFIA

Bailly Rosa, *Miasto walczy o wolność*, Lublin 2011
 Biedrzycka Agnieszka, *Kalendarium Lwowa 1918–1939*, Kraków 2012.
 „Gazeta Lwowska” nr 48, Lwów 1921 r.
 Kozimala Irena, *Kadra instruktorska Lwowskiej Chorągwi Harcerzy Związku Harcerstwa Polskiego w latach 1918–1945*, Warszawa 2010.
 Leonhard Bolesław, *Kalendarium z dziejów harcerstwa krakowskiego 1910–1950*, Kraków 2001.

Mączyński Czesław, *Boje lwowskie oswobodzenie Lwowa 1–24 listopada 1918 roku*, Warszawa 2017.

Miliński Jacek, *Pułkownik Czesław Mączyński 1881–1935*, Warszawa 2004

Nekrasz Władysław, *Harcerze w bojach*, t. 1, Warszawa 2011.

Nekrasz Władysław, *Harcerze w bojach*, t. 2, Warszawa 1931.

Nicieja Stanisław S., *Cmentarz Obrońców Lwowa*, Wrocław / Warszawa / Kraków 1990.

Obrona Lwowa 1–22 Listopada 1918 – relacje uczestników. Źródła do dziejów walk o Lwów i województwa południowo-wschodnie 1918–1920, t. 1, Lwów 1933.

Obrona Lwowa 1–22 Listopada 1918 – relacje uczestników. Źródła do dziejów walk o Lwów i województwa południowo-wschodnie 1918–1920, t. 2, Warszawa 1993.

Obrona Lwowa 1–22 Listopada 1918. Organizacja listopadowej obrony Lwowa, ewidencja uczestników walk, lista strat. Źródła do dziejów walk o Lwów i województwa południowo-wschodnie 1918–1920, t. 3, Warszawa 1994.

Wawrzakowicz Eugeniusz i Klink Józef, *Walczący Lwów w listopadzie 1918*, Lwów / Warszawa.
W obronie Lwowa i Kresów Wschodnich polegli od 1 listopada 1918 r. do 30 czerwca 1919 r., Lwów 1926.

DOMINIK DOROSZ – uczeń II klasy Liceum Ogólnokształcącego Zakonu Piłajarów im. ks. Stanisława Konarskiego w Krakowie, instruktor Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej. Nagrodzony tytułem laureata konkursu pn. „Umarli, abyśmy mogli żyć wolni. Miejsce Lwowa i jego obrońców w walce o niepodległość Polski” organizowanego w roku 2018/19 przez Instytut Pamięci Narodowej dla uczniów szkół podstawowych i gimnazjalnych za opracowanie na temat Jerzego Grodyńskiego.

Franciszek Haber

Ulica Zielona

*... Pędzi na złamanie karku
z centrum Lwowa na
Sichów Pohulanekę
po drodze tyk wody
z Woli Dobrostańskiej
i w zieleń na halickie pasieki
miodne łąki na wzgórzach
miłosne macierzanki...*

Z ulicy Batorego na Pohulanekę można Kochanowskiego, a można Zieloną, która, jak donoszą kroniki miasta, nazwę dzierży od 1676 roku, i jak dotąd jej nie utraciła, chociaż nieco inaczej dzisiaj pisana – *Zelena*. Podczas zaborów zwana *Grunenstrasse*. Także na chwilę, bo od 1938 r. od Piłsudskiego (Iwana Franki) do Szewczenki (Dniprowska), nosiła imię Generała Rozwadowskiego, a dalsza jej część do rogatki sichowskiej (Górna) Zielona. Jest to droga wylotowa w kierunku Stanisławowa i Wołoszczyzny, stąd nazywana była Drogą Wołoską. Ten historyczny trakt przez Kołomyję i Czerniowce do Mołdawii biegnie dalej na Bałkany. To jedna z najdłuższych ulic mojego rodzinnego miasta, licząca dzisiaj, bagatela, prawie 9 km. W czasie wojny, w czerwcu 1941 roku, gdy była nieprzejezdna Łyczakowska, Zieloną wiały wojska sowieckie przed niemieckimi bombami. Z naszego domu na rogu Batorego (Księcia Romana) i Piłsudskiego (Iwana Franki) przysłowiowy „rzut beretem”. Zaczyna się przy Piłsudskiego, na początku równoległa do Kochanowskiego (Łewyckiego), dzisiaj biegnie daleko poza Sichów.

Każda ulica jest formą księgi, w której zapisano zdarzenia i jej historyczne przypadłości.

Zielona jest stara i postrzępiona, lata świetności ma za sobą. Jakby czas wyczytał to, co tutaj warte było do zobaczenia, i cyfry

kamienic utraciły duszę. Niemniej tętni życiem i, jak wartka rzeka, łączy ogromne osiedla z wysłużonym pięknem starego miasta.

Pierwsza kamienica: jedyńka, jednopiętrowa, dzisiaj słabowita, przed wojną mieściła drukarnię urzędniczą, mydlarnię oraz restaurację Rappaporta, dzisiaj aptekę i sklep mięsny. Dwupiętrowa trójka, posesja z narożnymi pilastrami, balkonami i secesyjnym wystrojem okien. Przed wojną wabiła dzieci cukiernią Romaszkowej oraz urzędował fryzjer. Dzisiaj kiosk i sklep tzw. „szmateks” – ubrania z drugiej ręki. Pod nr 2 był warsztat wodociągowo-kanalizacyjny oraz pracownia fotograficzna. Obecnie, jak informuje niebieska tablica na ścianie budynku, ma tutaj siedzibę Izba Notarialna dzielnicy Łyczaków, natomiast pod nr 4 zapraszał zakład ślusarski, dzisiaj Eurotechnika, sklepy monopolowy i mięsny.

Numery pięć i siedem bliźniacze, trzypiętrowe secesyjne kamienice, bogate w stiuki i boniowania, narożne nadbudówki, tralki i tympanony. Przed wojną pod piątkę zapraszała restauracja Józefa Zdarka, a pod nr. 7 miała biuro redakcja gazety „Panteon Polski” i było biuro Spółdzielni Pracowników Ceramiki „Glińsko”. Dzisiaj na parterze pod nr 7 jest kwaciarnia i można dorobić klucze, a pod nr 5 znajduje się *Laptop Center* i kawiarenka. Między tymi kamienicami wchodziło się na dziedziniec pod nr 5a (oficyna), gdzie mieściła się dobrze znana we Lwowie Klinika Stomatologii profesora chirurga stomatologicznej Antoniego Cieszyńskiego. Był on kierownikiem Katedry Dentystyki Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, obrońcą Lwowa z 1918 roku, jednym ze światowych pionierów stomatologii polskiej. Mieszkał naprzeciwko naszej kamienicy na Batorego 38, skąd został zabrany przez gestapo i zamordowany wraz z innymi lwowskimi profesorami i ich rodzinami na Wzgórzach Wuleckich w lipcu 1941 roku.

Pod dziewiątką jednopiętrowa kamienica z bramą wjazdową flankowaną sklepami spożywczym i mięsnym. Nad bramą kamienna tęcza i mała attyka oraz żeliwny secesyjny balkon. Sam wjazd jest ozdobiony ciekawą kamienną rustyką. W tym domu mieściła się redakcja „Deutsches Volksblatt”.

Za domami nr 11 i 11a znajduje się kościół ewangelicki, założony w 1678 r. pod wezwaniem kiedyś św. Urszuli i należący



do dominikanów obserwantów, a prace nad jego wykończeniem trwały do 1685 roku. Fundatorem był kasztelan krakowski hetman wielki koronny Stanisław Jan Jabłonowski. Założycielem zaś reguły obserwantów był dominikanin ojciec Ambroży Skopowski herbu Jastrzębiec, spowiednik i kapelan Jana III Sobieskiego, towarzyszący królowi w jego wyprawie pod Wiedeń. Zgodę na powstanie placówki o tej regule dał prowincjał ruski ojciec Jacek Kłośński. Gdy Lwów trafił w ręce Austriaków po I rozbiórce Polski (1772), konwent liczył ledwie kilku zakonników. Kościół zamknięto w 1784 roku po kasacji zaborcy w wyniku tzw. reform józefińskich austriackiego cesarza Józefa II. W 1786 r. przekazany został lwowskiej wspólnotie ewangelicko-augsburskiej. Zachował na zewnątrz styl barokowy, ale wewnątrz zostało przystosowane na potrzeby kultu. Wtedy trafił tutaj obraz Józefa Rejchana *Ukrzyżowanie*, który umieszczono w ołtarzu głównym. W 100-lecie istnienia lwowskiej gminy ewangelickiej (1878), zbór został odrestaurowany

przez Józefa Engela (1819–1888), architekta pochodzenia niemieckiego, w stylu neoklasycyzmu, przez co zatracił swój barokowy charakter, otrzymał także dwie wieże flankujące wklęsłą fasadę. Nawy boczne zyskały empory z balkonami. Po 1945 roku kościół stał się magazynem płyt wytwórni Mielodia, a po 1990 r. został oddany na potrzeby kultu – Centrum Ewangelickich Chrześcijań Baptistów, i obecnie jest centralnym kościołem baptystycznym we Lwowie.

Pod nr 11 w domu, który był własnością ewangelików, w latach 1925–1939 mieściła się redakcja tygodnika „Ostdeutsches Volksblatt” (Wschodniemiecka Gazeta Ludowa). Pierwszy numer ukazał się 6 kwietnia 1922 roku. Obecnie na parterze jest optyk, kawiarenka „Czekoladka” oraz sklep z elektroniką. Natomiast w domu nr 11a, na rogu ulicy Kampiana (Palija), młodzież mniejszości niemieckiej miała własną szkołę z niemieckim językiem wykładowym. Dziś jest sklep z frankami.

Kamienica nr 15 to czterokondygnacyjny dom mieszkalny z wysuniętą częścią środkową zwieńczoną przeszklonym daszkiem, parter i naroże budynku z boniowaniem piasocowym i diamentowym. Obecnie jest bank.

Pod numerem 17 na rogu ulicy Marii Kopnickiej stoi secesyjna kamienica z 1914 r. projektu Ferdynanda Kasslera. Poprzednio na tym miejscu stał niewielki pałac hrabiego Włodzimierza Russockiego herbu Zadora, który piastował urząd posła na Sejm Galicyjski i był osobą znaną we Lwowie, zasiadał bowiem jako prezes w różnych lwowskich instytucjach. Budynek pod nu-



Dawny kościół św. Urszuli, dzisiaj centralny kościół baptystyczny (zdj. autora)



merem 17 zbudowany jest w stylu dojrzalej secesji, zdobnej w boniowania, balkony i gzymsy, oraz został zwieńczony narożną nadbudówką o przekroju kwadratu, a nad nią okrągłą wieżyczką z oknami, nakrytą kopulastym dachem. Wnętrze budynku strzeże kuta i przeszklona brama. Na rogu znajduje się sklep ze sprzętem firmy Bosch.

Dom nr 19, zbudowany w latach 1931–1932 wg projektu Arthura Stahla w stylu funkcjonalizmu, jest pięciokondygnacyjną kamienicą z wnękami balkonowymi i półokrągłym narożem. Na parterze sklepy firmy *Miele* i kosmetyki *Parada*.

Po drugiej stronie ulicy Zielonej, na rogu ulicy Jabłonowskich (Szota Rustawelego), pod nr 6 stoi neobarokowa kamienica zbudowana (1901) dla właścicielki kilku kamienic Domiceli z Justianów Klimowiczowej (1848–1909). Dzieło architekta Włodzimierza Podhorodeckiego. Kute secesyjne balkony, bogate stiuki, pilastry. Kamienica zwieńczona kopułą nad bramą przedzieloną półkolumną i przeszklona ponad skrzydłami wejścia dużymi owalnymi oknami (wolimi oczami). Należała do Klimowiczów, znanego rodu lwowskich ogrodników mających kwiatową firmę ogrodniczą, założoną w 1870 roku i działającą nieprzerwanie do 1939 r. Była tutaj siedziba wydawnictwa Polskiego Towarzystwa Księgarni Kolejowych „Ruch SA”.

Imponująca neoklasyczna trzykondygnacyjna kamienica nr 8, z długim ażurowym balkonem na pierwszym piętrze, zbudowana

została w 1871 r. według projektu architekta Józefa Engela z przeznaczeniem na Zakład Sierot Miejskich i na Szkołę im. Cesarzowej Elżbiety, później mieściła się tutaj Szkoła Zawodowa Żeńska, a pod nr 10 również projektu Józefa Engela mieściła się Szkoła Powszechna im. Marii Konopnickiej. Obecnie codziennie rozbrzmiewa muzyką, gdyż mieści się w niej Średnia Specjalna Szkoła Muzyczna im. Salomei Kruszelnickiej.

Pod nr 12 okazały gmach, obecnie na rogu placu Orlicza-Dreschera (Petruszewicza), w stylu funkcjonalizmu o sześciu kondygnacjach, zbudowany w latach 1937–1939 według projektu Jana Bagieńskiego dla Towarzystwa Ubezpieczeń Ogólnych. Na początku wojny we wrześniu 1939 roku mieścił się tutaj sztab obrony Lwowa, a w czasie niemieckiej okupacji Instytut Mikrobiologii, prócz uniwersyteckiego laboratorium badawczego na ulicy Mikołaja czy za Sowietów w dawnym państwowym gimnazjum żeńskim im. Królowej Jadwigi przy Potockiego. W tym miejscu słynny lwowski biolog Rudolf Weigl prowadził badania i produkował szczepionkę przeciwko tyfusowi. Uratował wielu lwowiaków karmiących tutaj wszy, chroniąc tym samym przed wywózką lub śmiercią. Obecnie mieści się tutaj Wydział Uniwersytetu Medycznego – Instytut Epidemiologii i Higieny oraz lwowski sanepid.

Tu także pracował przez wszystkie powojenne lata profesor Henryk Mosing, kiedyś bliski współpracownik i zastępca profesora Weigla. Został potajemnie wyświęcony na kapłana przez prymasa Polski kardynała Stefana Wyszyńskiego w 1961 roku. Znakoomicie zakonspirowany, pełnił swoją kapłańską posługę jako ojciec Paweł aż do śmierci. Opiekował się również, zupełnie bezinteresownie, ludźmi starszymi, m.in. profesorem





Mieczysławem Gębarowiczem, historykiem sztuki, któremu zawdzięczamy wiele ocalałych zbiorów z Ossolineum we Lwowie. Obok, w czterokondygnacyjnym budynku pod numerem 10, o którym już pisałem powyżej, mieściła się w czasie II wojny światowej filia niemieckiego Instytutu Behringa, który produkował szczepionkę przeciwtyfusową według metody prof. Weigla.

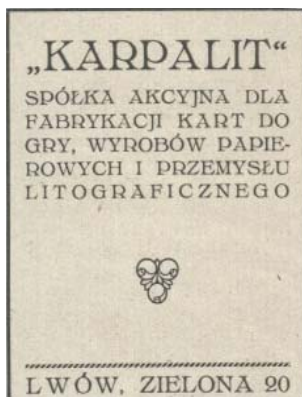
Pod numerem 20 stoi kamienica zbudowana dla Dawida Wekslera w 1910 roku przez architekta Michała Ulama, brata słynnego matematyka Stanisława – współtwórcy bomby wodorowej, w modernistycznej manierze, z ciekawą fasadą i balkonami oraz nadbudówką doświetlającą klatkę schodową. Świetlik ten, kiedyś witrażowy, rozjaśnia szyb klatki schodowej z obiegowymi schodami i posadzkami. Architekt Michał Ulam sygnował także budowę nowoczesnej fabryki tutek cygaretowych i bibulek firmy „Karpalit” Spółka Akcyjna dla Fabrykacji Kart do Gry, Wyrobów papierowych i Przemysłu Litograficznego, również dla Dawida Wekslera, która mieściła się na tyłach parceli Michała Ulama. Od 1933 r. drukowała tutaj książki lwowska „Książnica-Atlas”. Według Ilustrowanego Informatora Miasta Lwowa na 1939 rok, na ulicy Rozwadowskiego nr 20 (Zielona nr 20) była firma *Marat*, która dostarczała na rynek papierowe wyroby, dzisiaj jest sklep spożywczy.

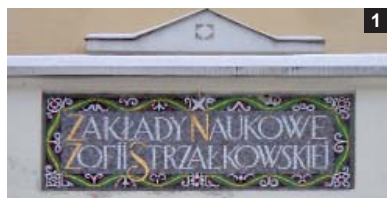
Na Zielonej pod nr 22, naprzeciwko

wylotu ulicy Wincentego Pola (J. Dorosza) stoi cofnięty w głąb od ulicy gmach prywatnych szkół żeńskich pani Strzałkowskiej – pod firmą „Zakłady Naukowe Zofii Strzałkowskiej”, zbudowany w 1913 roku według projektu Alfreda Zachariewicza i Józefa Sosnowskiego. Główną elewację zdobią mozaiki herbów Litwy, Polski i Rusi wykonane przez Zakład S.G. Żeleńskiego w Krakowie, który również wykonał piękne witraże. Podobnie kaplica szkolna została ozdobiona mozaikami Matki Boskiej Częstochowskiej i 15 herbami ziem polskich. Czy nadal istnieje pod tynkiem? Czas pokaże. Portyk i alegoryczne płaskorzeźby na elewacji: „Sztuka” (Ars) i „Życie” (Vita) są dziełem rzeźbiarza, ucznia Rodina, Zygmunta Kurczyńskiego. Zofia Strzałkowska już w 1895 r. otworzyła we Lwowie pierwszą na ziemiach polskich żeńską szkołę średnią, sześcioklasową, jedną z najnowocześniejszych szkół tego typu w Polsce. Mieściła się ona do 1912 r. w dwupiętrowej kamienicy na ulicy Piłsudskiego 16. Jakość nauczania i szybki wzrost liczby uczniów doprowadziły do powstania nowoczesnej szkoły, zbudowanej według najnowszych trendów w Europie. Szkoła liczyła ok. 350 dziewcząt z rodzin polskich, ukraińskich i żydowskich. W gmachu działało także seminarium nauczycielskie liczące 200 osób, internat oraz przedszkole prowadzone według zasad Montessori¹. Budynek posiadał salę gimnastyczną, boisko, ogród, kaplicę oraz taras widokowy z widokiem na panoramę Lwowa. Także tutaj wydawana była gazetka „Słoneczny Szlak”. Obecnie budynek został odnowiony włącznie z nazwą w języku polskim, herbami Polski, Litwy i Rusi na fasadzie oraz z detalami architektonicznymi, i ocalałymi witrażami w oknach klatki schodowej. Dzisiaj znajduje się tam szkoła średnia nr 6.

Pod numerem 24, u wylotu ulicy Wagiłowicza, ukryty za ogrodzeniem i drzewami znajduje się dawny empirowy pałacyk Adama Zamojskiego, charakterystyczny dla podmiejskich dworów. Brama wjazdowa

¹ Maria Montessori (1870–1952) – włoska lekarka, doktor psychiatrii i antropolog – propagatorka głębokiego szacunku dla każdego dziecka, miłości do świata i życia w ogóle, nastawienia na naturalną indywidualność, rozwój fizyczny, umysłowy, duchowy i emocjonalny małego człowieka.





1



2



3

1. Odnowiona mozaika na fasadzie szkoły Zofii Strzałkowskiej przy Zielonej 22
2. Odnowiona mozaika herbów na fasadzie szkoły Zofii Strzałkowskiej przy Zielonej 22
3. Szkoła Zofii Strzałkowskiej przy ulicy Zielonej 22 (Wikipedia – wolna encyklopedia)

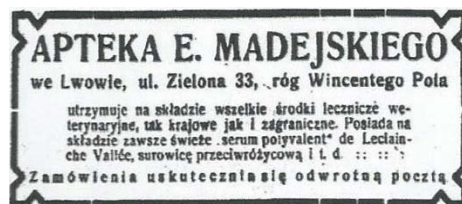
ozdobiona jest urnami. Płaskorzeźby pod oknami być może wykonał zakład kamieniarski Johanna Schimsera podczas modernizacji pałacyku przez Wilhelma Schmidta w 1843 r. Miały tutaj miejsce posiedzenia łoży masońskiej, do której należał również właściciel dworu. Rezydencja przechodziła z rąk do rąk, w końcu trafiła do Szeptyckich. Przed wojną było tutaj lokum Państwowej Centralnej Biblioteki Pedagogicznej Kuratorium Okręgu Szkolnego Lwowskiego we Lwowie. Dziś mieści się Lwowska Obwodowa Biblioteka Naukowo-Pedagogiczna.

Na rogu ulic Zielonej i Jana Zamojskiego (Romańczuka) nr 15 stoi dwukondygnacyjna kamienica z pięknym drewnianym wykuszem nad wejściową bramą, a od ulicy Zielonej drewniana weranda dekorowana szwajcarską snycerką według projektu Józefa Engela (1886). Kiedyś była własnością hrabiny Olgi Cetner, dzisiaj znajduje się tam zakład zarabiający na obszywaniu i sprzedaży ozdobnych tkanin.

Dom nr 23 stojący również na rogu ulicy Zamojskiego (Romańczuka) zbudowano w 1924 r. Znajduje się tutaj komisariat policji. Jak mówimy o policji, to w trójkondygnacyjnym budynku pod nr 25 za zielonym metalowym płotem przed wojną był I Komisariat Policji Państwowej.

Pod nr 27 i 29 zachowały się ślady pięknych dekoracji, stiuki podokienne, balkonowe, gzymsy z guttami, maszkarony pod

głowicami pilastrów. Pod nr 27 miał firmę przedstawiciel znanej rodziny organmistrzów Aleksander Żebrowski (1841–1913). Stał się sławny po przebudowie organów w kościele Bernardynów. Mieszkał nieopodal na Wagilewicza 8. Narożne kamienice tracą numery na rzecz ulicy Wincentego Pola (Dorosza) z jej numerami 12 i 9. Ta z numerem 9 (Zielona 33) ma na rogu aptekę i w przeszklonej niszy alabastrową figurę Matki Bożej. Przed wojną była tutaj apteka weterynaryjna Edmunda Madejskiego działająca na skalę przemysłową. W kamienicy nr 35 były pomieszczenia Towarzystwa Myśliwych „Nemrod”, jak podaje Aleksander Medyński w swoim lwowskim przewodniku z 1937 roku. Na rogu ulicy Wagilewicza kamienica nr 37 z secesyjnym wystrojem fasad posiada ciekawe rozwiązania narożnych balkonów. Kolejna, z nieistniejącym nr 39 na rzecz Wagilewicza nr 9, mieściła restaurację Izraela Laksa, a Karol Fuchs stroił tam fortepiany. Był mistrzem zawodu, stałym stroicielem Konserwatorium Lwowskiego i Biura Koncertowego



Reklama apteki E. Madejskiego przy Zielonej 33



M. Turka. Mieszkał także po sąsiedzku na Łozińskiego 4. Dzisiaj jest tam optyk i biuro podróży Pielgrzym. Fasada przyciąga oko pięknymi rokokowymi nadokiennikami, podobnie jak jej sąsiadka pod nr 41. Dzisiaj zaprasza pasmanteria Krajka. W kamienicy pod nr 43 przed wojną serwowała posiłki restauracja Arnold. Obecnie sklep Milano oferuje włoskie drzwi do domów. Obok, pod 45 i 47, jazgotowała kuźnia Henryka Hanera. Dom nr 53 mieścił hurtownię futer, była tam także synagoga Filipa Nussdorfa, tego od proszków do prania, właściciela pobliskiej fabryki chemicznej.

Dużo ciekawszą zabudowę kryją ulice odchodzące od Zielonej. Ale tak moglibyśmy opisywać cały zabytkowy Lwów. A tu długaśna ulica Zielona czeka na kilka dalszych ciepłych słów. Pod numerem 28 stoi cztero-kondygnacyjna kamienica na rogu Hetmana Tarnowskiego (Generała Tarnawskiego) z narożnym wykuszem zdobionym płasko-rzeźbą *Święta Trójca wieńczy Matkę Boską* i zaczyna całą serię secesyjnych i modernistycznych kamienic ulicy Tarnowskiego z bogatymi stiukami, balkonami, pilastrami i zwieńczeniami dachów oraz ciekawą architekturą, a także willi obiegających Górę Jacka (320 m n.p.m.). Skąd nazwa wzgórze? Jacek Odrowąż (zm. 1257) był dominikaninem. Zanim został świętym, ukrywał się ponoć gdzieś tutaj przed Tatarami. Nie-wysokie wzniesienie kiedyś było wododziałem dawnych rzeczek Pasieki i Żelaznej Wody. Gdy wzgórze jeszcze nie obrosło willami, ukraińscy uzurpatorzy w listopadzie 1918 r. ostrzeliwali z armat dobrze stąd

widoczne miasto. Nie-jedną stojącą tutaj *hawirę* projektowali znani lwowscy architekci, tacy jak Adolf Piller czy Piotr Tarnawiecki, a w jednej z tych willi na ulicy Czereśniowej nr 4 mieszkał twórca *Wesołej Lwowskiej Fali* Wiktor Budzyński (1906–1972).

Wracając do ulicy Hetmana Tarnowieckiego, wypadałoby wymienić chociażby kilka nazwisk zacnych mieszkańców tej ulicy: nr 6 – wybitny matematyk Waław Sierpiński (1882–1969), nr 32 – historyk Marian Kukiel (1885–1973), nr 82 – filozof, matematyk i malarz Leon Chwistek (1884–1944), nr 96, zaprzyjaźniony z naszą rodziną, Stanisław Fryze (1885–1964), profesor elektrotechniki na lwowskiej politechnice, po wojnie jeden z twórców Politechniki Śląskiej w Gliwicach).

W kamienicy nr 30 na rogu sklep jubilerski oraz sklep z zasłonami. W niepozornej jednopiętrowej kamienicy z balkonem nad bramą mieściła się pracownia kas ogniotrwałych M. Więcka. Nieco dalej w jednopiętrowej kamienicy pod nr 40 był zakład cegieł i dachówek „Lauda” Aleksandra Domaszewicza, a na dziedzińcu stała synagoga *Ezras Achim*



Pracownia
KAS OGNIOTRWAŁYCH
M. WIĘCKA
LWÓW
ul. Zielona I. 38.

Naprawia kasy wszystkich systemów, sporządza kasy własnej kombinacji dla instytucji wojskowych, rządowych i autonomicznych ze znacznym opustem, wykonuje wszelkie roboty w zakresie ślusarstwa wchodzące tak we Lwów jak i na prowincyi.



(„Bratnia Pomoc”). Dzisiaj na parterze zaprasza salon kosmetyczny Karen.

Pod numerem 46 stoi czterokondygnacyjna kamienica Edwarda Hilmayera projektu Zygmunta Fedorskiego i Augusta Boguchwalskiego.

Brama pod wykuszem z półkolumnami w secesyjnych metalowych zdobieniach, ciekawe rozwiązania balkonów, okien i fasad, elewacja zdobiona płaskorzeźbami i rzeźbami autorstwa Franciszka Tomasza Bernata. Ściany niskiego parteru boniowane. Dzisiaj świadczy tutaj swe usługi gabinet stomatologiczny. Pod nr 48 wabił zapach świeżego pieczywa z piekarni Fluka. Obecnie jest zakład szklarski i monopole Kraina Vin. W kamienicy nr 50 na rogu Kordiana (Josefa Slipego) na początku XX wieku było studio fotograficzne Lena pani Wierzbickiej oraz Pracownia WYROBÓW Blacharskich Rudolfa Hładnego. Dzisiaj na rogu znajduje się sklep chemiczny.

Pomiędzy domami nr 53 i 55 wyrosła kamienica dla Centrum Polskiej Kultury „Odra-Niemen-Dniestr”. Dyrektorem placówki jest Krystyna Frolowa-Fadejczuk. Mieści się tam także szkoła społeczna. Placówka powstała w 2017 roku i jest to jedyny zagraniczny oddział Stowarzyszenia „Odra-Niemen”, którego Zarząd Główny znajduje się we Wrocławiu.

Obok parterowy dom nr 55 szumnie nazywany willą. Nie wiem, czy Centrum Polskiej Kultury wie, że jest w miejscu, które powinno stać się muzeum czynu zbrojnego RP II wojny światowej. Mieszkał tutaj po przeprowadzce z Zielonej 123 Fryderyk Staub (1899–1982), urodzony we Lwowie, zmarły w Gliwicach. Jako student Politechniki Śląskiej poznałem profesora osobiście. Fryderyk Staub, kapitan, inżynier metaloznawca, absolwent Politechniki Lwowskiej i jej pracownik, w czasie wojny poszukiwany przez Niemców stale musiał się ukrywać. Jego pseudonimy to „Janka”, „Proch”, vel Andrzej Kwaśniewski. Sztabowiec ZWZ, Komendant Okręgu Lwów ZWZ-1 (1941). W jego willi pod nr 55 znajdowała się radiostacja orga-

nizacyjna ZWZ oraz podziemna drukarnia. Całe jego życie to walka o niepodległość kraju. Bił się już z Ukraińcami w obronie Lwowa i walkach o Przemyśl. Brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej (1919–1920), dowodząc plutonem, a następnie kompanią. Znacomie zakonspirowany nie dał się złapać okupantom, potrafił już pod władzą sowiecką przejść do cywila i rozpocząć pracę na Politechnice Lwowskiej. Jednak, jak my wszyscy, w październiku 1945 r. trafił do Gliwic i współorganizował śląską uczelnię. Kierownik Katedry Metaloznawstwa, dziekan Wydziału Mechanicznego, prorektor, prezes Aeroklubu w Gliwicach, w 1970 r. przeszedł na emeryturę. Postać cichego i bliskiego mi bohatera.

Pod nr 57 ładna dwupiętrowa willa z wykuszem i balkonem na drugim piętrze, po obu stronach podwójne pilastry, nad balkonem ścięta attyka z łukiem okna i skrajnymi skromnymi wolucami oraz guttami na ścięciu. Należała do fabrykanta Józefa Procki.

Pod nr 59 znajduje się dzisiaj hala sportowa Dynamo. Przed wojną zapraszał Pałac Sportowy „Skating-Ring”, zbudowany w 1909 roku według projektu Juliana Pinkelfelda i Henryka Zaremby z przeznaczeniem dla modnego w tamtych czasach łyżwiarstwa wrotkowego. Hala została zbudowana ze zbrojonego betonu, a witraże szklanego sufitu wykonał Witold Rzegociński. Ściany zdobiły paneau Leonarda Winterowskiego oraz płaskorzeźby Zygmunta Kurczyńskiego. W przedwojennym Lwowie halę często wykorzystywano na zabawy, koncerty i różnego rodzaju konwentykle. Jednak obiekt nie przynosił dużych zysków i od 1934 roku był tu już zakład wulkanizacyjny „Wulkogum”, natomiast podczas wojny obiekt został zaadaptowany na garaże. Pod nr 61 była wytwórnia siatek i ślusarnia L. Maciewicza.

Pod nr 64 i 66 mieści się Dyrekcja Zakładów Wodociągowych we Lwowie (Lwiv



Prof. Fryderyk Staub podczas okupacji (zdj. domena publiczna)



Vodokanal). Obiekty zbudowane zostały w latach 1899–1901 przez architektów Oscara Smrekera i Juliusza Hochbergera. Tutaj były biura oraz mieszkania dla pracowników wodociągów. Lwowskie wodociągi nigdy nie były zbombardowane w odróżnieniu od gazowni i elektrowni, które najbardziej ucierpiały podczas nalotów. Niemniej kilka bomb spadło na dziedziniec biura, nie robiąc większej szkody. Tutaj Zielona skręca w prawo i zaczyna się wspinać serpentyną w kierunku Rogatki Sichowskiej. Ta część biegnącej w górę Zielonej była jednym z najbardziej przedmieść miasta jeszcze na przełomie XIX i XX wieku.

Pośród tych ubogich zabudowań nad urwiskiem przedwojennego kąpieliska „Zielone Oko” pod numerem 102 znajdował się pałacyk rodziny Małuszyńskich, zbudowany w stylu empировym przez architekta Józefa Semlera w 1829 roku. Małuszyńscy byli również właścicielami popularnego przed wojną, dziś już nieistniejącego kąpieliska „Zielone Oko”. Fasada z portykami kolumnowym i tympanonem oraz rzeźbami sfinkсів pochodzi z pracowni Schimserów. Dzisiaj ten zabytek został odrestaurowany i od 2007 roku mieści się w nim „Stowarzyszenie Artystyczne *Dzyga*” („Bąk”).

U zarania XX wieku powyżej stojącego pałacyku, pod numerem 104, wybudowano zbiorniki oraz budynek stacji wodociągów według projektu inż. Oskara Smrekera. Budynek zbudowany z czerwonej cegły okazałe prezentował się w parkowej scenerii. W zbiornikach wodnych gromadzono wodę sprowadzaną z Woli Dobrostańskiej, oddalonej ok. 40 km od stacji. Woda płynęła rurami o średnicy 0,6 m ze źródeł do zbiorników stojących na wysokości 370 m n.p.m. Najpierw w użyciu były pompy parowe, które z biegiem lat wymieniono na elektryczne i później wciąż je modyfikowano według najnowszych rozwiązań techniki.

Zimą 1918 r. zostały uszkodzone przez Ukraińców i Lwów do wiosny nie miał słynnej źródlanej wody. Gdy wojska polskie przeprowadziły spokój w mieście, stację szybko naprawiono.

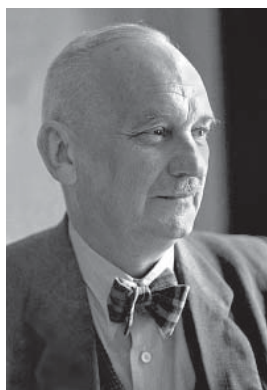
Przed wojną pod nr 105 działała cegielnia Mayera Grudera. Dzisiaj stojący tutaj wysoki dziesięciopiętrowy budynek internatowy, zbudowany dla technikum budowlanego, czeka na modernizację na rzecz mieszkańców. Pod nr 107 była cegielnia należąca do Akcyjnego Banku Hipotecznego, a pod nr 108 działała cegielnia I. Steina i P. Hübschera. W miejscu dziś już nieistniejącej cegielni w 1955 roku powstał Park Snopkowski i stadion *Drużba* oddany do użytku w 1963 roku.

Wracając do numerów nieparzystych, warto wspomnieć – pod nr 67 – fabrykę armatury do parowozów i lokomotyw Andruszewicz i Spółka. A Ilustrowany Informator Miasta Lwowa na rok 1939 podaje, że na Rozwadowskiego pod nr 67 (tak się w tym roku nazywała ulica Zielona, o czym wspominałem wyżej) mieściła się odlewnia żelaza i metali Alfreda Marka.

Tenże informator podaje, że pod tym numerem był zakład R. Gurniaka wytwarzający prawidła i kopyta szewskie. I w tym miejscu idąc za informatorem, pod numerem 1 (Zielona) róg Szewczenki (Dniprowska) mieściła się firma Brattel i DECET wyroby betonowe schody i płyty. Obecnie znajduje się tutaj serwis urządzeń chłodniczych, grzewczych, klimatyzatorów oraz ogumienia, a pod nr 69 Stanisław Rybka miał zakład wulkanizatorski, dzisiaj lombard i pizzeria Piramida. Obok na rogu Zielonej i Dniprowskiej wyrósł ostatnimi laty pięciokondygnacyjny nowoczesny apartamentowiec.

Pod nr 91 stoi dom projektu architekta Michała Dąbrowskiego zbudowany w 1903





Prof. Wojciech Rubinowicz (zdj. domena publiczna)

roku dla Jadwigi Kele-rowej, który doczekał się kilku modernizacji; i tak w 1914 r. dobudowana została od strony południowej weranda według projektu architekta Aleksandra Austena, a w 1933 r. według projektu architekta Józefa Thorne'a zmodernizowano budynek i podjazd.

Na pnącym się w górę zakręcie pod

numerem 86/88 stoi dom „Bractwa Dobrej Śmierci” projektu architekta Dominika Wuchowicza, wybudowany dla „Polskiego Stowarzyszenia Bractwa Dobrej Śmierci”. W Sali budynku nr 88 funkcjonował kinoteatr. Na fasadzie domu numer 86 znajduje się figura Matki Boskiej. W latach 50. do 70. park, który rozciąga się od kina do ulicy Wodociągowej, zasiedlony był przez Cyganów i ich tabor, a nr 88 od roku 1997 jest klubem artystycznym „Picasso Club”. Na schodach wejścia do klubu wita w krótkich spodenkach rzeźba Pabla Picasso, która została z okazji 12-lecia klubu postawiona jako ponoć pierwszy pomnik na Ukrainie. Wspinając się serpentyną w górę Zielonej na lwowskie wzgórza z południowego wschodu, mijamy po lewej stronie park. To część dawnej Pohulanki, a jej ulica Pohulanka była przedłużeniem ulicy Kochanowskiego. Tutaj lwowianie mieli świetny teren do wypoczynku włącznie z ogrodem i parkietową salą tańców, „tingel-tangel”. Była także muszla koncertowa, gdzie różne orkiestry umiły odwiedzać tu czas. Dzisiaj ten teren w większości został zabudowany. Willa nr 95 (nie istnieje) była własnością małżeństwa Elżbiety (Norst) Rubinowicz i Wojciecha Rubinowicza (1889–1974), profesorów Uniwersytetu Jana Kazimierza, w czasie wojny zaangażowanych w tajne nauczanie. W ich willi był ukryty radioodbiornik do nasłuchu, który prowadziła żona (Austriaczka). Także ukrywał się tutaj Juliusz Schauder, matematyk z kawiarni Szkockiej, niestety wojny nie przeżył, zastrzelony podczas ucieczki po aresztowaniu (1943). Profesor Rubinowicz z żoną po wojnie pracowali na Uniwersytecie w Warszawie. Jego prace naukowe przy-

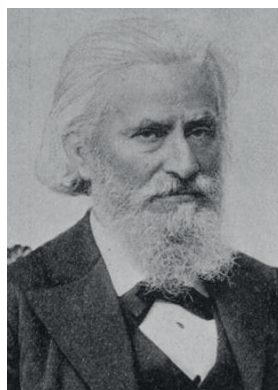
czyniły się do uhonorowania nagrodą Nobla z dziedziny fizyki Alfreda Kastlera (1966), o czym sam noblista wspominał.

Przy Zielonej 140 znajduje się budynek dawnej Rogatki Sichowskiej według projektu architekta Juliusza Hochbergera (1903). Mieściła się tutaj także wartownia I Komisariatu.

Ulica Zielona miała swój tramwaj – linia nr 3, biegnąca od Rogatki Janowskiej przez Kazimierza Wielkiego, pl. Gołuchowskich, Legionów, plac Mariacki, plac Halicki, plac Bernardyński, Piłsudskiego, Zieloną, Szewczenki, Kochanowskiego, św. Piotra, Łyczakowską. Tramwaj kursował co 6 minut. Dzisiaj ulica Zielona to arteria miejska trolejbusów, autobusów marszrutek i całej plejady pojazdów tłoczących się na jezdniach i przewalających przez dawną wieś Sichów, obecnie lwowskie blokowisko „Sichiw”. Gdy wieś Sichów przyłączono do Lwowa, zbudowano olbrzymie osiedle zaplanowane dla stu tysięcy ludzi. A dzisiaj ponoć liczy już 150 tysięcy mieszkańców.

Przy rogatek, równolegle do ulicy Zielonej, biegnie ulica Lauda (Meblarska). Znajduje się tam, pod numerem 19, „reszta” dworku „Lauda”, którego właścicielem, jak i pobliskiej cegielni, był Aleksander Domaśzewicz (1841–1906), inżynier i powstaniec styczniowy z 1863 roku, o którym wspominałem przy kamienicy Zielona nr 40. W tym dworku gościł w 1904 roku syn wieszczki Władysław Mickiewicz, gdy był we Lwowie z okazji odsłonięcia pomnika ojca na placu Mariackim. Dworek odwiedził także Józef Piłsudski w marcu 1916 roku.

Wiele budynków na ulicy Zielonej warte jest opisać ze względu na architektoniczny szyk i piękno detalu. Niestety niszczone bez konserwacji i koniecznych remontów. Miasto boryka się z brakiem funduszy mimo wydatnej pomocy UNESCO. Może oddanie domów mieszkańcom na zasadzie wspólnot byłoby jakimś rozwiązaniem, aby ratować historyczną substancję miasta przed niechybną zagładą.



Władysław Mickiewicz, syn wieszczki (zdj. domena publiczna)

Album o Zalewskich – tych ze Lwowa...

Zwów, Zalewski, elegancka cukiernia, która była jednym z symboli przedwojennego Lwowa. Firma Ludwika Zalewskiego, wspaniałe słodczyce, okresowe świąteczne wystawy – to skojarzenia każdego lwowiaka, ale także tych, którzy ze Lwowem nie byli związani bezpośrednio, jedynie znają to ze wspomnień bliskich, z opowiadań znajomych... Stanisław Lem tak pisał o wystawach świątecznych:

Można było dojść do przeświadczenia, że Zalewski potrafiłby Kosmos cały powtórzyć w cukrze i czekoladzie, słońcu przydając łuskanych migdałów, a gwiazdom lukrowego lśnienia". Kompozycje z marcepanów i czekolady, które projektowali głównie Batowski i Sichulski, były swoistą bajką.

Wielopokoleniowa, wieloosobowa rodzina, odchodzą kolejni jej członkowie i z całą historią zostaje ostatni z rodu, Paweł Daniel Zalewski¹, prawnuk Ludwika, wnuk Władysława (starszego), syn Władysława (młodsze), który teraz już wie, że na nim ciąży obowiązek opisanego losów bliskich mu osób. W jednym z jego wpisów możemy przeczytać:

Era covidu pozwoliła z głębszą refleksją spojrzeć na życie, jego kruchość, drgające trwanie, przypadkowość zdarzeń, nieprzewidywalność następnego dnia. I w tym pandemicznym zamknięciu, po śmierci Taty i Mamy Asi, w zamyśleniu nad odwiecznym biegiem

świata wykluła się idea, misja: zrobić coś dla potomnych i dla przodków, dla wielkiej wspólnoty dusz, dla genów przenikających pokolenia. To nazywa się Rodzina. Siąść i spisać jej historię.

Tytaniczna praca Pawła dała wspaniały efekt w postaci *Albumu Rodziny Zalewskich*²! Dzieło absolutnie unikatowe, oparte na ogromnym materiale, gromadzonym od ponad 100 lat w różnych miejscach, ku-

ferkach, pakietach, szufladach..., ale co najważniejsze – gromadzonym skrupulatnie przez kolejne pokolenia. Zatem *Album* to także świadectwo życia rodziny Zalewskich na przestrzeni wielu, wielu lat. I nie było to tylko słodkie życie...

Skoro *Album Zalewskich*, to pojawia się taka myśl: pewnie jest tylko o sztuce cukierniczej. Nic bardziej mylnego. Sięgając do *Albumu* można się przekonać, jak wiele jest wątków rodzinnych, ale także ile można dowiedzieć się o historii Lwo-

wa. Przy tym rysunek, malarstwo przewijają się przez całą treść, bowiem nieodłącznie wiąże się to z wystrojem wnętrz cukierni, obrazami dekorującymi ściany mieszkania przy ulicy Akademickiej 22, a to za sprawą Sichulskiego, Batowskiego, Bartkowskiego, czy też dzięki współpracy z projektantami wnętrz, witryn, opakowań, materiałów reklamowych, Petry-Przybylską (malarka, rzeźbiarka, lalkarka) i Piotrowiczem. Sporadycznie projektował też opakowania do wyrobów cukierniczych Dziadek Władysław, choć nie wszystkie jego projekty doczekały się realizacji. Ale zachowało się kilka obrazów olejnych Dziadka, który co prawda był



¹ Paweł Daniel Zalewski, pisarz, podróżnik, fotograf, przedsiębiorca, laureat literackiej Nagrody „Krakowska Książka Miesiąca”, syn artystki malarki, Wandy Macedońskiej i Władysława Zalewskiego, konserwatora dzieł sztuki, profesora Akademii Sztuk Pięknych im. Jana Matejki, dziekana Wydziału Konserwacji i Restauracji Dzieł Sztuki, prorektora ASP.

² Paweł Daniel Zalewski, *Album Zalewskich*, t. 1, Kraków 2021



Ludwik (pradziadek) i Władysław (dziadek) Zalewscy

cukiernikiem, ale jako młody człowiek zapisał się na kursy malarstwa do prywatnej szkoły Stanisława Kaczor-Batowskiego... Krzyżowało to się nieco z planami ojca, Ludwika, bowiem widział Władysława jako następcę w swojej firmie cukierniczej. Jednak studia malarskie przerwała I wojna światowa, Władysław został powołany do wojska i po powrocie zajął się cukiernictwem. Po latach, kiedy doświadczył go los zesłania, umiejętności, które posiadał na kursach malarskich, bardzo mu się przydały i pomogły, przynajmniej przez jakiś czas, przetrwać biedę.

Ukazanie się *Albumu Zalewskich* można jedynie zasygnalizować, trudno objąć w tej relacji wszystko co w nim ważne, znaleźć właściwe słowa, które by oddały klimat tak obszernego dzieła, bogatego we wszelkie możliwe walory, zarówno jeśli chodzi o treść, jak i szatę graficzną, prezentowany przez Autora ładunek emocjonalny, a przede wszystkim piękne, obrazowe, niepowtarzalne sformułowania. Chwilami, czytając, odnosi się wrażenie, że jest się świadkiem tych czy innych wydarzeń. Wspomnienia nasączone są czułością, bliskością, nostalgią, niekiedy też łagodną ironią czy wreszcie żartem. Słowem, jest tu wszystko, tak jak w życiu każdego człowieka, każdej rodziny – radości i smutki – i tylko narracja jest zupełnie wyjątkowa. Wystarczy przeczytać wstęp, napisany przez autora, aby zrozumieć, co mam na myśli. Feeria stanów emocjonalnych, obra-

zowo przedstawionych zdarzeń, wzruszeń i to wszystko w różnych odcieniach. Wielokrotnie przeczytany wstęp potęguje chęć czytania go jeszcze raz, i jeszcze raz...

Wyboru wszystkich materiałów ilustracyjnych (fotografie, grypsy, listy, liściki, w których pisaniu celował Ludwik senior, dokumenty, rysunki, laurki od dzieci, metryki urodzenia, chrztu i ślubu, świadectwa szkolne, a nawet receptury pisane przez Ludwika Zalewskiego, przepisy na torty i leguminy i wiele innych „drobiazgów”), dokonał Paweł Zalewski. Ten materiał, gromadzony przez lata, zadziwia pieczołowitością w ich przechowywaniu, a kompozycja w *Albumie* jest przemyślana, niekiedy zaskakująca, przetykana jakże doskonałymi tekstami autora. Wydaje się, że wszystko, co znalazło się w zbiorze „pamiętek”, miało sens, aby tam przetrwać, łatwiej bowiem było teraz odtworzyć rodzinne losy, odczytać przeszłość. I spojrzeć nie tylko na rozmach, luksusy, ale na dramatyczne losy członków rodziny Zalewskich.

Jeśli mowa o czerpaniu wspomnień z dokumentów, ale także i pamięci, to dla Pawła – autora, wiele informacji, komentarzy pochodziło od jego taty Władysława. Paweł miał to szczęście, że Tato żył długo (urodził się 12 maja 1931 roku, zmarł 23 marca 2020 roku) i był skarbnicą wiedzy o rodzinie. Dzięki temu wielokrotnie w tekście *Albumu* cytowane są krótkie, rzeczowe, przywoła-



ne z pamięci wspomnienia Taty. Czytając tekst Pawła czuje się jego niezwykłą więź z Ojcem, a równocześnie tęsknotę po jego niedawnej śmierci.

Treść *Albumu*, obejmująca 432 strony, ujęta jest w kolejne rozdziały ułożone chronologicznie, z których każdy dotyczy bądź kolejnego pokolenia, bądź też losów jednej z osób z rodziny Zalewskich: Ludwikowie Zalewscy, Władysławowie Zalewscy, Halina Zalewska, Jadwiga z Zalewskich (Mroczkowie).

Jest to niekończąca się opowieść o rodzinie znanego cukiernika i losach kolejnych jej członków... Ale nie tylko, bowiem wiele można dowiedzieć się, gdy krok po kroku” przegląda się i czyta karty *Albumu*. Jest w nim właściwie wszystko, co działo się we Lwowie do czasu II wojny światowej i w czasie jej trwania, jakie były i są losy rodziny Zalewskich, ale nie tylko ich. To jest tło, które przybliży czytelnikowi początki XX wieku, jak rodził się i rozwijał Lwów, jakie były dzieje Krakowa, Warszawy, Polski, ale także styl życia. Zalewscy żyli wedle tego, co na tamte czasy było w dobrym tonie, jak na zamożnych mieszczan przystało: eleganckie mieszkania, art-deco we wnętrzach, w witrzynach, wystawne przyjęcia, drogie stroje, bale, prywatni lekarze, dobre szkoły dla dzieci, lecznica dra Tarnawskiego, latem kurorty, wakacyjne podróże, kabriolety – to

wszystko, rzecz jasna, do czasu... Zatem na kanwie opisów takiego życia, a przede wszystkim ówczesnych historycznych wydarzeń, łatwiej wyobrazić sobie życie Lwówian w tamtym okresie, a równocześnie jak bardzo czas wojny zrujnował to wspaniałe, wygodne życie.

Cukiernia Ludwika Zalewskiego przy ulicy Akademickiej we Lwowie była miejscem niedzielnych spotkań. To nie była tylko cukiernia. Przy kawie dyskusje prowadzili Mościcki, Bartel, Makuszyński, Badeni, Zbierchowski, później też Karolina Lanckorońska, Jan Kasprówic i inni z „tego świata”. Przychodzili tu także artyści, wśród nich Jarosław Wasylowicz Pstrak (urodzony w 1873 roku), jeden z najbardziej utalentowanych galicyjskich malarzy XX wieku. Był świetnym rysownikiem, portrecistą, ilustratorem, satyrykiem. Był również znakomitym obserwatorem współczesnego świata lwowskich ulic, restauracji, dansingów, a przede wszystkim, jako karykaturzysta, różnych „typów” ludzi. Mimo zdolności, popularności, żył w ubóstwie, chorował, opuścił Lwów w 1915 roku, zmarł w szpitalu wojskowym w Charkowie. W *Albumie* jest wiele jego rysunków. *Album*, owszem, jest bardzo rodzinny, ale można wiele dowiedzieć się o tym, jaki był przedwojenny Lwów, o uczonych, literatach, artystach, bo wszyscy oni „lubili łakocie”, ale najsmaczniejsze były w miłym towarzystwie u Ludwika Zalewskiego.

Jaką drogą podążał Ludwik Zalewski do tej cukiernianej sławy? Urodził się 22 sierpnia 1868 roku w Laszkach Zawiązanych koło Sambora. Wstępne nauki pobrał w cukierni w Samborze i z odpowiednim bagażem wiedzy pojechał do Krakowa. Tu spotkał się z Janem Michalikiem, właścicielem Cukierni Lwowskiej (1895), mieszczącej się przy ulicy „Floryańskiej 45” (dziś Jama Michalikowa) i został współpracownikiem właściciela.

Czas, który Ludwik spędził w Krakowie, był ważny dla niego nie tylko zawodowo, ale także osobiście, bowiem ożenił się z Ewą Kornecką (11 stycznia 1896 roku ślub w kościele św. Floriana) i został ojcem dwojga dzieci: Władysława (1897) i Jadwigi (1900). Druga córka – Halina – urodziła się już we Lwowie (1904). Po kilku latach postanowił pojechać z rodziną do Lwowa i tam rozwinąć cukiernicze skrzydła. Cukiernie lokował w różnych miejscach, ale najwięcej do dziś

mówi się o Akademickiej 10, a potem, jeszcze głośniejszy, o Akademickiej 22. Zresztą nad tym lokalem cukierni, na I piętrze, mieściło się w owym czasie mieszkanie rodziny Zalewskich.

Z początkiem lat trzydziestych, ze względu na stopniowo pogarszający się stan zdrowia, Ludwik, który coraz mniej angażował się w sprawy administracyjno-organizacyjne, przekazuje działalność synowi. W 1935 roku właścicielem zostaje Władysław, który pomimo słabnącej kondycji finansowej, z rozmachem rozbudowuje firmę według swojej pasji. Jednak sytuacja się pogarsza, pewne nieostrożne działania doprowadzają Władysława do kłopotów finansowych.

Wybuch wojny, dramatyczne losy mieszkańców Lwowa, oddziały niemieckie, oddziały radzieckie, okupacja rosyjska, działania wojenne, czas wojny zmienił całkowicie życie lwowian, także życie rodziny Zalewskich. Wkroczenie wojsk sowieckich 22 września 1939 roku do Lwowa spowodowało kres przedwojennej firmy Zalewskich. Jednakże zarówno sklep, jak i pracownia istniały, z tym że zostały znacjonalizowane. Oczywiście Władysław był zmuszony do ustąpienia ze stanowiska dyrektora, choć pracował w firmie nadal. To był straszny czas. Tato Pawła miał wtedy 8–9 lat i obserwował działania wojenne. Wśród wielu rodzinnych dokumentów zachowały się także sowieckie świadectwa Władysława jr. z lat 1939/40, 1940/41. No i oczywiście groza wojny... Niepokoje w domu, niespokojny sen w ubraniu, widmo wywózek na Sybir, spakowane torby, walizki, każda noc mogła być ostatnia we własnym mieszkaniu. Podobnie bezsennych nocy doświadczał wujek Pawła, Adam Macedoński.

A potem, od 1941 roku okupacja niemiecka, już na początku mord profesorów polskich na Wzgórzach Wuleckich, zbrodnie więzienne NKWD (Brygidki), dramat wojny nie do opisania.

Za czasów okupacji niemieckiej firma Zalewskich została przemianowana na „Süßwarenfabrik L Zalewski”. W dawnej pracowni cukierniczej Władysława Zalewskiego przy ulicy Zimorowicza w dalszym ciągu była prowadzona produkcja, głównie sucharów dla wojska na froncie wschodnim, ale także wyrobów cukierniczych, a Władysław był zatrudniony jako specjalista do

spraw technologicznych.

Zalewscy przeżyli obie okupacje, jakkolwiek był to czas bardzo trudny. 17 lutego 1940 roku zmarł senior rodu Ludwik Zalewski. Był chory, wyczerpany, załamany... Niepewność i niepokój towarzyszył rodzinie przez cały czas. Kolejne utraty mieszkań, obniżenie standardu życia, a przede wszystkim rujnacja w sferze ducha – odwrócił się dawny los. Ostatnie małe mieszkanie mieściło się przy ulicy Mochnackiego.

7 stycznia 1945 roku Dziadek Władysław został podstępnie wzięty do więzienia. Zaczęła się gehenna całej rodziny. To historia, która wyciska łzy i rani serce.

Usiłowania żony, by wykupić Dziadka z więzienia, mimo dużej łapówki wręczonej oficerowi NKWD nie dały rezultatu i z początkiem kwietnia 1945 roku został wywieziony do obozu w Karelinie, a następnie w marcu 1946 roku zesłany do Tiumenty. Miał tam przebywać pięć lat od dnia aresztowania, czyli do 7 stycznia 1950 roku. Pobyt na zesłaniu to dramatyczna opowieść zawarta w listach, kartach pocztowych, prośbach, ale przede wszystkim tęsknota, bieda, niemoc zarówno fizyczna, jak i psychiczna i coraz mniejsza wiara i nadzieja, że jeszcze spotka się z bliskimi. Przez jakiś czas umiejętności plastyczne pozwalały trwać. Z końcem 1946 roku i początkiem 1947 listy różniły się od wcześniejszych nastrojem – najwyraźniej gaśnie w Dziadku nadzieja, że ten los jeszcze się zmieni.

W 2014 roku ukazała się zbeletryzowana książka wnuka Władysława – Pawła Daniela Zalewskiego *Bez pamięci*³, o treści po części fikcyjnej, ale w dużej mierze prawdziwej,



Prof. Władysław Zalewski, ojciec autora omawianego Albumu. Fot. z archiwum Pawła Zalewskiego

³ Daniel Paweł Zalewski, *Bez pamięci*, Kraków 2014 – książka uhonorowana przez Śródmiejski Ośrodek Kultury w Krakowie Nagrodą Krakowska Książka Miesiąca Stycznia 2015.

o poszukiwaniu przez wnuka śladów dziadka. To wydarzyło się naprawdę!

Podróż wnuka Pawła i jego żony Joanny do Tiumeni ostatecznie pozbawiła ich nadziei. Dziadek nie doczekał końca wyroku. Zmarł w tiumeńskim szpitalu 6 grudnia 1947 roku bez pożegnania z kimkolwiek z rodziny. Jako przyczynę śmierci podano zawał serca. Tak zapisano w akcie zgonu, do którego Paweł dotarł. Natomiast miejsce pochówku Dziadka na zawsze pozostanie nieznane. Wzruszający jest tygodniowy czas spędzony w Tiumeni przez Pawła i Joannę. Wieczorami czytali listy Dziadka, które zabrali z Polski i tak „byli z Nim”...

Wracając do Lwowa, rodzina Dziadka opuściła ostatnie tamtejsze miejsce zamieszkania przy ul. Mochnickiego i przeniosła się do Krakowa. Mimo strat, złej sytuacji, różnych trudności życie musiało toczyć się dalej. Władysław, Tato Pawła, uczęszczał do Liceum im. Nowodworskiego, a po jego ukończeniu, jakby kontynuując, choć niespełnione, marzenia Ojca, wstąpił na studia na Akademię Sztuk Plastycznych (wtedy tak się nazywała Akademia Sztuk Pięknych) na Wydział Konserwacji Zabytków i 15.06.1956 roku otrzymał dyplom ukończenia studiów. Ale, ale ...Poznaje tam też, studiującą na tym samym wydziale, Wandę Macedońską, która później zostaje żoną Władysława i mamą Pawła.



Z wymienionych osób w spisie treści pozostały Halina i Jadwiga, siostry Dziadka. Ze względu na to, że osoby te pojawią się w II tomie albumu, podobnie jak Rodzice i rodzina Pawła, ograniczę się do kilku zdań.

Halina, nieco ekscentryczna kobieta, artystyczna dusza, działała na niwie, ogólnie rzecz biorąc, szeroko pojętej sztuki. We Lwowie przed wojną trochę działała w teatrzyku sa-

tyrycznym „Nasze Oczko”, ale jej prawdziwą pasją była fotografia portretowa i artystyczna. W *Albumie* znalazło się sporo zdjęć przez nią wykonanych. Atelier fotograficzne mieściło się w kamienicy przy ulicy Akademickiej 22 na I piętrze. W cukierni prezentowała rezultaty swojej pracy, urządzając małe wystawy, np. portrety lwowskich liryków czy portrety gwiazd teatrów i kin. Po jakimś czasie przeniosła studio do Warszawy. Podczas okupacji w Warszawie, po upadku Powstania Warszawskiego, trafiła, nie na długo, do niemieckich obozów koncentracyjnych. Po wojnie w Krakowie zatrudniła się jako aktorka w teatrze „Groteska”, potem w Teatrze Młodego Widza, a przez następne wiele lat pracowała w tymże teatrze jako inspicjentka. Dalszy ciąg kei losów poznamy z *Albumu Zalewskich*, tom II.

Jadwiga Mroczkova, z domu Zalewska, wyszła za mąż za Mieczysława Mroczka, mieli dwóch synów, Tadeusza i Jerzego. Z czasów panieńskich trochę więcej informacji, sporo zdjęć, z okresu późniejszego skąpa ilość materiałów; nie daje to pełnego obrazu życia tej rodziny, zachowało się niewiele listów i tekstów, w których zawarte są tylko smutne wiadomości. Mąż Dziuni, bo tak ją nazywano, zginął jeszcze przed wojną z rąk Ukraińców. Pod koniec okupacji niemieckiej wydarzyła się kolejna tragedia, syn Jerzy zginął w ataku bombowym w maju 1944 roku.

Podobnie jak w przypadku Haliny więcej dowiemy się z tomu II.

Tak więc powoli zamyka się tom I, ale to nie koniec opowieści o losach rodziny Zalewskich. Tom II ukaże się jesienią, a do tego czasu 462 strony tomu I... ponad 2000 listów, zdjęć... Jest co czytać i oglądać!

Jeszcze parę słów refleksji Pawła Zalewskiego:

Może nadchodzi ostatnia chwila, kiedy album-książka ma jeszcze sens. Wybiła taka ponura godzina: Tato zmarł, pandemia się rozpanoszyła, my zamknęliśmy się w domu z duchami przodków.

... odczuwam wzmoczone pragnienie dopełnienia rodzinnego dzieła, a przy okazji zamknięcia pewnej epoki i wyakcentowania jednego z największych Zalewskich, mojego Taty, którego życie przed chwilą dobiegło końca...

Paweł Zalewski

Lwów, Akademicka 22...

„Gazeta Lwowska” wspomina: *Na przełomie zeszłego i bieżącego wieku zjawił się na horyzoncie cukierniczym groźny współzawodnik. Pewnego dnia podniosły się żaluzje nowej cukierni przy placu Mariackim 5, w Hotelu Francuskim. (...) Ludwik Zalewski to tutejszy krajan, ale świeżo przybyły z Krakowa. (...) Zalewski był zbyt ruchliwy, ażeby długo popasać przy placu Mariackim. Rozwinął skrzydła, osiadł na jakiś czas przy ul. Hetmańskiej, a potem przeniósł się na Akademicką, gdzie objął cukiernię po Grossie pod nr 14. (...) Ale wszystkiego mu było za mało. Inicjatywa po prostu go ponosiła. Dawny lokal Grossa przebudował, wstawił tam szybę wystawową, jakiej Lwów nie widział, urządził z niebывałym przepychem skład cukrów. Z cukiernią skoczył dalej, pod numer 22.*

Wcześniej pod tym numerem na dole znajdował się sklep kolonialny Bodnara oraz trafika „cioci” Frani, pomalowana w charakterystyczne czarno-żółte pasy. Dzięki po-

życzce zaciągniętej u Erazma Rosiewicza, bliskiego znajomego, właściciela Cukierni Lwowskiej w Przemysłu, Ludwik Zalewski zadomowił się w miejscu prestiżowym, przy głównym deptaku Lwowa, choć w kamienicy nieco ponurej i mało dekoracyjnej. A z Rosiewiczem musiał pozostawać od dawna w przyjaźni, skoro w 1904 roku został on ojcem chrzestnym córki Ludwika, Haliny.

Słowo „zadomowić” zostało tu użyte celowo i z rozmysłem. Firma bowiem przetrwała w tym lokalu aż do wybuchu drugiej wojny światowej, a Zalewscy przez długie lata mieszkali na piętrze tego samego budynku, bezpośrednio nad kawiarnią. Nie wprowadzili się tu jednak od razu. Pierwszym ich lokum przy Akademickiej było mieszkanie mieszczące się tam, gdzie parę lat później wzniesiono reprezentacyjny budynek Izby Przemysłowo-Handlowej, pod numerem dziewiętnastym, czyli mniej więcej naprzeciwko przyszłej cukierni, po drugiej stronie alei. Tam w grudniu 1904 roku urodziła się



Cukiernia Zalewskich we Lwowie przy ul. Akademickiej 22

PROZA



Halina. Kamieniczka była niska, bo zaledwie jednopiętrowa, nazywana przez Halinę „biedermaierowską” (to określenie bardzo charakterystyczne dla niej, bo za stylem biedermaier przepadała do końca życia). Z tyłu tego budynku rozciągał się duży ogród – sięgał aż po równoległą przecznicę, ulicę Batorego. Tego Halina, rzecz jasna, nie pamiętała, bo gdy miała niespełna kilka miesięcy, kamienica numer 19 została sprzedana pod budowę Izby Przemysłowej i wszyscy lokatorzy musieli się stamtąd w mig wyprowadzić. Piękny zadrzewiony ogród wykarczowano, a przy okazji, podczas równania terenu, wykopano kilkaset szkieletów ludzkich, z czego miejsce to było potem przez jakiś czas sławne i o czym się rozmawiało. Przytaczał ten fakt mój Tato. Pamiętał strzępy opowiadań swojego Ojca, w 1904 roku dziecka siedmioletniego, które po tym ogrodzie przy Akademickiej 19 biegało i jego zakamarki nie były mu obce, a słuchy o wykopanych kościach żywo rozbudzały chłopięcą wyobraźnię. Tak więc Zalewscy przenieśli się na drugą stronę ulicy, pod numer dwudziesty drugi. Tym samym osiągnęli swój pierwszy ważny cel – duże eleganckie wielopokojowe mieszkanie, które utrzymali w tym reprezentacyjnym miejscu przez ponad trzydzieści lat. O przeprowadzce świadczy choćby fotografia małego Władysława Zalewskiego, pozującego w łańskim czaku na głowie na balkonie nad wejściem do kawiarni, a sądząc po wieku dziecka, pochodzi ona z około 1905 roku. Ponadto identyczne ujęcie około czterolatniej Jadwigi, z wieżą ratusza na Rynku w dalszej perspektywie, wykonane zostało

na tym samym balkonie, istniejącym tam zresztą do dziś. Z tych dwóch zdjęć wynika, że choć Halina przyszła na świat w mieszkaniu po drugiej stronie ulicy Akademickiej, jeszcze tego samego roku lub z początkiem następnego rodzina wprowadziła się do reprezentacyjnego obszernego i wygodnego mieszkania na pierwszym piętrze Akademickiej 22.

Ale samą cukiernię, wspomnianą w artykule prasowym, Ludwik otwo-

rzył w tym miejscu dopiero kilka lat później. Stało się to w roku 1910. Jan Bodnar, właściciel sklepu korzennego z pokojem do śniadań, przeniósł swoją działalność z Akademickiej 22 pod numer osiemnasty jesienią 1909 roku. W tym samym czasie, jesienią 1909 roku, w gazecie „Nasz Kraj” ukazała się wzmianka o nowym lokalu Ludwika Zalewskiego.

Ta „confiserie” stylem przypominała cukiernię-kawiarnię Michalika, Redolfiego właścicie Rosiewicza w Przemyślu, a najbardziej kawiarnie wiedeńskie. Był to okres mody fin-de-siecle. Duża sala od frontu i długa wąska do tyłu – wspominała po latach Halina Zalewska. Uwagę zwracała szymba wystawowa wielka, kryształowa, z ornamentem roślinnym i charakterystycznymi rzeźbami przyciągającymi wzrok przechodnia, jakby mieściła się tam galeria sztuki, a nie kawiarnia. Lokal w stylu wiedeńskim to miejsce szczególne nie tylko z uwagi na charakterystyczny wystrój z obszernym przeszkleniem witryn, mahoniową boazerią, eleganckim bufetem, stoliczkami o marmurowych blatach i wysmakowanymi dekoracjami. To także specyficzny duch. Wiernie odmalowywał tę atmosferę w swoich licznych utworach Stefan Zweig, właśnie wiedeńczyk i prawie równoletek Ludwika. Było to miejsce szczególne, swego rodzaju punkt regularnych spotkań, prawie klub, do którego przepustką były filiżanka kawy i ciasteczko. Albo i coś więcej. Wnosiło się bowiem do eleganckiego wnętrza tej cukierni pewną kulturę i rodzaj atencji skierowanej ku sprawom bieżącym, ale i tym artystycznym: literackim, naukowym, malarskim.

Tu się dyskutowało, komentowało aktualne wydarzenia. Najznamienitsi obywatele miasta Lwowa mieli tutaj swoje ulubione stoliki, przy których nikomu innemu nie wypadało usiąść i które wraz z momentem wkroczenia bywalca do wnętrza musiały być wolne, jakby cały dzień czekały zarezerwowane dla tego właśnie gościa. Z początku był to zwyczaj, potem niepisana zasada, z biegiem lat rygorystycznie przestrzegane prawo. Mój stryj Ludwik nieraz wspominał scenkę, której był świadkiem jako nastolatek. Pan w melniku ciągnął za poły marynarki siedzącego przy stoliku młodziana, wrzeszcząc: *Taż to mój stolik!* I tak lokal został przez wierną klientelę dokumentnie wzięty w posiadanie, detalicznie rozplanowany. Znalazł się więc tutaj za pewnością kącik polityczny dla starszych panów w binoklach, stolik wężących za sensacjami redaktorów, dyskretna wnęka dla aktorów, jakiś spokojniejszy kąt, gdzie profesorowie wpisywali do indeksów zaliczenia, a nawet czasami egzaminowali studentów. Ponad aromat kawy i słodyczy tortów wznosił się gwar lwowskiego towarzystwa. Z rozmów oraz gazet i czasopism można było zaczerpnąć wiadomości lokalnych i wieści ze świata.

Ludwik, przesiąknięty atmosferą na wskroś artystycznego Michalikowego miejsca, w którym spędził w Krakowie niemal pięć lat, marzył, by jego cukiernia we Lwowie stała się podobnym miejscem, enklawą spotkań lwowskich artystów. Artyści oczywiście bywali w cukierni-kawiarni Zalewskiego przy Akademickiej 22, ale mówi się, że liczniej odwiedzali to miejsce naukowcy, profesorowie akademicy, studenci. Mój Tato niejednokrotnie podkreślał, że Ludwik odczuwał w tym aspekcie niespełnienie. Fakt ów świadczy o tym, że również ważna co do brze prosperująca przedsiębiorstwo była dla niego idea, która kryła się za fasadą kawy, słodkości i trunków: koncepcja wiedeńskiego stylu życia towarzyskiego. A dokładnie – przeniesienie artystycznej gleby miasta do swojego lokalu, skumulowanie w tych kilku stylowych salach śmietanki bohemy Lwowa. Plany Ludwika w tej mierze nie do końca się spełniły. W rzeczywistości zamiast artystów gośćmi bywali częściej naukowcy i nauczyciele akademicy. *Na czarną kawę i spotkania dyskusyjne wpadali, z tych co pamiętam: prof. Mościcki, prof. Romer, prof. Bartel,*

Kazimierz Sichulski, Karolina Lanckorońska – wyliczała Halina Zalewska. *W stosunku do publiczności był Zalewski raczej typem sztywnym i chłodnym. Był przede wszystkim kupcem. Doglądał skomplikowanej maszyny swego przedsiębiorstwa, mnożył się, pracował zaś nie z chciwości, a z miłości do zawodu, który uważał za sztukę.* Miał opinię wytwornego pana o najwytrawniejszym podniebieniu. *Ten najbardziej dystyngowany poeta wśród cukierników, jak ktoś go określił, tajemnicę smaku swoich wyrobów zawdzięczał nie tylko doskonałej technice pracy, ale, może przede wszystkim, surowcom, z jakich sporządzał swoje wyroby.* Były to najlepszego sortu bakalie, olejki, ekstrakty z egzotycznych owoców, najlepsze gatunki orzechów, kawy i kakao. Kakao specjalnie z Holandii, olejki zapachowe – bułgarskie. I tak dalej, zgodnie ze swoją wiedzą i doświadczeniem, jakie surowce są dla jego produkcji najcenniejsze. Używał wyłącznie mąki o pięciu zerach w jakości, najczystszej kremowej śmietany, najszlachetniejszego masła. Pracownicy *confiserie* sami smażyli konfitury ze starannie przebranych owoców, dostarczanych tylko przez zaufanych plantatorów. Nalewki także były własnej produkcji Ludwika Zalewskiego. Ciasteczka niewielkie, ale porażające miksturą smaków. Czekoladki skrywały nadzienia o smakach tak wyrafinowanych, że wciąż zaskakiwały lwowian. Autorskie bogate dekoracje tortów, marcepanowe oryginalne słodkości, cukierki, karmelki – mistrzostwo formy i smaku zaskarbiało cukierni przy Akademickiej 22 wiernych klientów.

Nie wszyscy we Lwowie ulegli urokowi nowych eleganckich kawiarni o europejskim szlifie. Ta nowość burzyła bowiem lwowską tradycję tanich lokali do zabawy. *Pod wiedeńskim jednak błyszczącym pokostem dzisiejszych kawiarni znikły bez tadu dawne lwowskie typowe tego rodzaju przybytki. Ostatni zamknięty został w grudniu r. 1902. Była to najstarsza we Lwowie kawiarnia J. Dobrowolskiego, zwana popularnie „Piekielkiem”. Tradycyjna to była dziura, dzień i noc otwarta, a zawsze gwarem i szumem rozwydrzonych gości rozkołysana, zawsze pełna ruchu i typowych scen kawiarnianych, w które nocne życie wielkiego miasta tak bardzo obfituje. Wśród błękitnych warstw dymu, drgających promieni lamp i odbiciem*



ścian lakierowanych szumią tu przez pół wieku życie gwarne i krzykliwe, bez granic niby i miary, szerokie, jak rozbawiona ludzka natura... Te tradycyjne lwowskie lokale z połowy XIX wieku nie wytrzymały konkurencji z miejscami nowymi i europejskimi – jak cukiernia Zalewskiego. Kawiarniany komfort, przeszklenie odbijające punkty światła elektrycznego, wybór prasy, szeroka gama wysublimowanych wyrobów – te przymioty ostatecznie pokonały swojskie i obskurne lokale dawniejszego Lwowa.

W latach dziewięćdziesiątych nie mógł Tadeusz Mroczek (syn Jadwigi z Zalewskich Mroczkowej) wybaczyć Jerzemu Janickiemu przekłamanego opisu *confiserie* przy Akademickiej 22: *Duża sala od frontu, szafa, lada w mahoniowym drewnie i trzy długie wąskie sale, kryte ciężkimi boazeriami. Od podwórza trzyizbowa pracownia...* Mroczek replikuje więc: *Sala pierwsza – duża, tak. A dalej nie trzy, a jedna długa, wąska sala, z jednym oknem wychodzącym na podwórze.* Tadeusz Mroczek, nie dość że z natury bardzo skrupulatny, był najstarszy z generacji wnuków. Urodzony w 1923 roku, pamiętał z czasów przedwojennych o wiele więcej niż mój Tato czy stryj Ludwik. Dlatego, przyłapawszy Janickiego na nieścisłościach, pieklił się: *To, co pisze Janicki, to stek bzdur. Uzgodniłem z Haliną, że na 7 stron jego*

książki jest 20 błędów – z listu z 8 lutego 2000 roku.

We wspomnieniach Ludwik Zalewski określany jest jako *bardzo bogaty pan*. Wygląda na to, że szybko i sprawnie rozwijał swoją działalność. Dorabiał się, podnosił standard życia swojej rodziny. We Lwowie spore zmiany czekały również jego żonę, Ewę z Korneckich. Sposób życia

młodej dziewczyny z chaty w Gdowie, później przytulonej do obrzeży Krakowa, zmienił się radykalnie – w dostojne maniere żony cukiernika. W egzystencję pani, która obrasta w dobra i prowadzi, przy pomocy służby, wzorowy dom mieszczański. Obrasta też w piórka i wymyślne ubiory z falbanami i fantazyjnymi dodatkami. Widać to na zdjęciach z atelier fotograficznego państwa Mazurów.

Dawid Mazur był czynnym fotografem we Lwowie i Wiedniu. Od 1882 do 1887 roku wraz z Karolem Roszkiewiczem prowadził zakład fotograficzny w pawilonie na podwórzu budynku przy placu Mariackim 3. Od 1887 roku działał już sam przy ulicy Pańskiej 5. W 1899 roku zakupił willę Richtera przy ulicy Piekarskiej, następnie zlecił jej przebudowę, by zaadaptować budynek na potrzeby atelier. Zakład funkcjonował w tym miejscu w latach 1906–1911, po czym nieru-



Ludwik i Ewa Zalewscy z dziećmi: Haliną, Władysławem i Jadwigą

chomość została sprzedana, a Mazur przeniósł się na plac Halicki 12, gdzie działał do 1914 roku. Zmarł wkrótce po przeprowadzce do Wiednia, w 1916 roku.

Taka przyjaźń i wzajemna zależność pomiędzy fotografem a stałym klientem jego atelier to znak tamtych czasów. Rolę, jaką pełniła fotografia ponad sto lat temu, można śmiało porównać do dzisiejszej komunikacji elektronicznej. Ówczesna wizyta w salonie fotografa to jak dzisiejszy MMS czy Skype. Nader często prywatne zdjęcia przygotowywane były i drukowane jako pocztówki z miejscem na adres, znaczek i treść listu. Dziś nadal pokazujemy się, pozujemy, wysyłamy zdjęcia swoje i naszych rodzin. A potem wyczekujemy reakcji znajomych, wpatrując się w monitor czy ekran telefonu. Ludzkie relacje są podobne, tylko rozwój techniki zmienił ścieżki porozumiewania się.

Ktoś (brak źródła – spisane przez Tatę jako cytata z artykułu prasowego) tak zapamiętał cukiernię Zalewskiego z Akademickiej 22 z czasów tuż po pierwszej wojnie światowej: *Zapamiętałem z lat najmłodszych: brązy, złocenia, dym z papierosów. Przy małych stolczkach masa eleganckich, plotkujących pań, z rzadka przetykanych mężczyzną. Dzieci przychodzą tu raczej niechętnie, chyba że należało mamę wyciągnąć stąd na obiad. Są i grupki literatów. Jest i twórca naszej szkolnej czytanki, Stanisław Maykowski, współautor wspólnego wszystkim gimnazjalistom polskim podręcznika „Mówią wieki”. Są i redaktorzy gazet codziennych. U Zalewskiego przesiadują też żony panów o tej południowej porze czynnych gdzie indziej – ich mężowie prowadzą właśnie próby w teatrze. Jeśli pustawa kieszeń pozwoli, pojawiają się tu także młodzi poeci. Trafiają tu i ci w przejeździe, odwiedzający stare kąty: Kornel Makuszyński, pianista Stefan Askenaze. Tamtego Lwowa już nie ma. Jego kawiarnie i cukiernie są już tylko legendą.*

Towar u Zalewskiego był zawsze luksusowy. Choć dostawcy surowców namawiali go na tańsze gatunki, nigdy Ludwik nie zawahał się w wyborze. Pistacja czy kakao musiały być holenderskie. Do cukierków, zamiast smaków eterowych, szły olejki bułgarskie. Cena takiego surowca była niebotycznie wysoka, także i ceny. Ale najwyższa jakość była Ludwika najświętszym przykazaniem. Ludwik hojną miał rękę dla wszyst-



Na fotografii moja Prababka Ewa Zalewska z przyjaciółką A. Mezerową w atelier D. Mazura w jego willi przy ulicy Plekarskiej 11 we Lwowie

kich. Przed wielkimi świętami na długim stole w firmie leżały pakunki ze słodyczami opatrzone adresami służby, pracowników i nauczycieli jego dzieci. Jeśli w karnawale paczki nie były wyprzedane, wysyłał je do domów dla niewidomych, głuchoniemych i innych instytucji opiekuńczych.

W swojej nastrojowej kawiarni, w oparach tytoniowego dymu i aromacie kawy, Ludwik pracowicie doglądał interesu. Ewa wraz z dziećmi korzystała z wolnego czasu w modnych miejscowościach letniskowych. Wakacje letnie Zalewscy spędzali głównie dość typowo dla lwowian, bo w podlwo-wskich Brzuchowicach.

Brzuchowice. Stacya kolejowa na linii Lwów–Bełżec. Odległość od Lwowa niespełna 1 mila. Pociągi spacerowe w lecie, co niedziela w zwiększonej liczbie, i co dzień. Osada wiejska założona przez mieszczactwo lwowskie za czasów Władysława Warneńczyka. W ostatnich czasach zwrócono uwagę na piękne położenie tej wsi wśród wysokiego sosnowego boru, w miejscu nie wystawionem na gwałtowne wiatry, a przeto nadającym się do założenia i rozwoju stacyi klimatycznej, która by dla spragnionych powietrza lwowian mogła

Brzuchowice. Ewa Zalewska z dziećmi: Władysławem, Dzitunią i Haliną oraz pani Mezerowa z córką. Służąca wykreślona, bo psuła kadr



się stać miłym etapem wśród skwarów letnich miesięcy. Rada m. Lwowa wydzieliła w r. 1889 24 morgów z zakresu gospodarstwa leśnego i przeznaczyła tę przestrzeń pięknego boru sosnowego w części na budowanie letnich mieszkań, z warunkiem zachowania charakteru leśnego, w części na park spacerowy. Dziś cała ta przestrzeń zabudowała się willami i letniami mieszkaniami, co niedzieli zaś tysiące lwowian szuka w lasach brzuchowickich wytchnienia i świeżego powietrza.

Z tego czasu pochodzi seria pozowanych fotografii zainscenizowanych w ogrodzie. Tak czy inaczej stanowią ciekawe scenki rodzajowe, nacechowane przestrzenią i pejzażem, w przeciwieństwie do innych rodzinnych zdjęć z tego okresu. Są podpisane: *W Brzuchowicach u Państwa Drekslerów. Na zdjęciach także A. Mezerowa z córeczką.*

Na fotografiach malujących sielski dobrobyt i rajski wypoczynek na łonie natury w Brzuchowicach pod Lwowem uwagę zwracają zamazane czarnym mazidłem postaci – ledwie odcinają się na roślinnym tle. W ten sposób pozbywano się z zdjęcia niechcianej postaci, która się tam zawieruszyła: służącej czy pokojówki, a może jakiejś krewnej, z którą oziębły się stosunki. „Psuła” kadr. Na fotografiach czasem kopiovym ołówkiem skreślano „złego” męża (jak w przypadku Jana Nowakowskiego – rozdziła Nowakowsy) czy kogoś, na kim rodzina się srodze zawiodła. Moja mama wycinała swoją twarz na grupowych szkolnych zdjęciach, gdyż zawsze uważała, że „źle wypadła”. Czasem przecinano fotografie

na kilka części, pasków, by oddzielić daną osobę od reszty, wyeksponować ją lub wyeliminować. Pozowanie i uwypuklanie swego statusu aż bije z tych zdjęć. To jednak nie ich krytyka. Taki był fason, fotografia była sztuką stosunkowo nową, nowa też była klasa mieszczańska. Ewa z Korneckich wciąż przebierała się w wymyślne stroje w atelier Mazurów, przybierając pretenjonalne pozy, grając rolę hrabiny czy śpiącej księżniczki.

Pozowała z wachlarzem, z parasolką, z książką. Albo przeglądała się w zwierciadélku. Czasem w przebraniu pokojówki, kiedy indziej podparta na sofie, zadumana. Te wszystkie zabiegi świadczą pewnie o mieszczańskiej próżności. Szczególnie dziś wydają się śmieszne, nawet prymitywne. Obecnie za pomocą Photoshopa można przeschepiać głowy, poprawiać rysy twarzy, odmładzać, dowolnie zmieniać tło. Człowiek z natury jest zawsze taki sam, zmieniają się tylko narzędzia, jakimi się posługuje.

No i ta fotografia z chłopcem. Halina nawet pod koniec życia zwracała się do swojej siostry Jadwigi słowami: *A pamiętasz, Dzitunia, mojego Żuzu. Mój najdroższy, kochany Żuzu!* Tropię tę znajomość na kartach książki. Myślę, że Żuzu to Tadeusz Klimkiewicz.

Z chwilą ponownego wkroczenia Sowietów Dmyterko, przywrócony przez władzę na kierownicze stanowisko, ponownie przysłał do mieszkania Zalewskich przy Zimorowicza 19/9 robotnika z pracowni, by ten sprowadził Władysława z powrotem do fabryki. Dziadek obawiał się, że to pułapka, że Dmyterko zamierza go po prostu wydać. Nie poszedł więc do swojej fabryki, choć wystarczyło zbiec z czwartego piętra i przejść na drugą stronę ulicy, a zasięgnął, jak wspominałem, rady Bronka Grabowskiego. A ten poradził Władysławowi stawić się u Dmyterki, bo: *Jak zechcą, to cię i tak tu znajdą.* Okazało się, że pułapki tym razem nie było. Dmyterko przywrócił Zalewskiego na stanowisko *technoruka*, a nawet *planowszczyka*. Pełniąc tę funkcję, Dziadek Władysław rozpisывał pla-

ny produkcji na lata czterdzieste i pięćdziesiąte. Akademicka 10 nadal sprzedawała słodycze. Według niektórych źródeł *za czasów okupacji sowieckiej był tam pokazowy sklep z najlepszymi ciastkami, wielkości sporego talerzyka, przywożonymi podobno z samej Moskwy samolotami i wszelkiego rodzaju eksportowymi towarami sowieckimi, do których szary człowiek w głębi Rosji nie miał dostępu*. Stosunki w fabryce wydawały się poprawne. Ukraińiec Iwan Dmyterko odczuwał wobec Władysława jakąś wdzięczność, prawdopodobnie za pomoc w ukrywaniu go w czasach niemieckich. Dlatego wielkim rozczarowaniem dla rodziny Zalewskich była wizyta u Dmyterki Babci Katarzyny Zalewskiej kilka miesięcy później, gdy sytuacja stała się tragiczna. Katarzyna gotowa była błagać, a on *nic nie poradził, zimno przyjął. Dmyterko musiał być wtedy przerażony*, tak mój Tato komentował ten chłód i nagły zwrot Dmyterki w relacji z Zalewskimi.

Wiele osób z fabryki wiedziało, że Władysław Zalewski od 1942 roku funkcjonował jako administrator czy zarządca fabryki. Nie było tajemnicą, że stało się to możliwe za sprawą i z wyraźnym poparciem Niemców. Władysław w tamtym czasie wiele wygrał poprzez zaprezentowanie okupantowi sprawnie działającego zakładu, fabryki na miarę czasów: nowoczesnej technologii, organizacji pracy, wzorcowych warunków sanitarnych. Zrobił na nich bezspornie wrażenie dobrego organizatora, profesjonalisty w swoim fachu. Zalewscy liczyli, że uda im się utrzymać *status quo*. I nawet jeśli ich stan posiadania będzie mizerny, uda im się pozostać we Lwowie i, w lepszych czasach, odbudować dawną pozycję. Nie myślało się o powrocie władzy sowieckiej, a z niemiecką jakoś się Władysław ułożył, nadzorując produkcję, której leitmotivem były suchary na front wschodni. Być może mój Dziadek zaczął wierzyć, iż sprostał „kultowi ojca” fabryki, że jako patriarchalny szef nie mógł po prostu zniknąć czy na zawsze pozostać robotnikiem. Słowem – mógł w 1942 roku pomyśleć, że jednak los mu sprzyja. Ale ten dar od losu to był dar przeklęty. Lwów, także sama fabryka, to istna mieszanina narodowościowa: ludzie o różnych przekonaniach, niektórzy bardzo sprzyjający nowej sowieckiej władzy, zawistni, szukający jakiegoś odwetu na klasie „panów” czy

po prostu formalnie wprzęgnięci w struktury tajnych służb. Wiara Zalewskich w przetrwanie, ratowanie firmy (która i tak przed wojną już w zasadzie upadła), układy z okupantem, trzymanie się Lwowa za wszelką cenę, pozostawanie do końca, wbrew rozsądkowi przy mieszkaniu, salonie, z przekonaniem, że wszystko da się jeszcze reaktywować – to wszystko było skrajnie ryzykowne. Współpraca z Niemcami – to, w kontekście drugiej wojny światowej, brzmi przerażająco. Ale domniemanie cichej kolaboracji Zalewskiego z niemieckim okupantem przyczaiło się w ludzkiej pamięci. Czekają.

Przydzielone przez Niemców wygodne mieszkanie na rogu Zimorowicza i Ossolińskich, dwa kroki od fabryki i sklepu, na prestiżowym ostatnim piętrze, zostało Zalewskim w jeden dzień odebrane przez władzę sowiecką. *Inżynierowi Zalewskiemu W.L. należy udzielić urlopu na jeden–dwa dni w związku z przeniesieniem go do innego mieszkania. Mieszkanie, które on opuszcza, otrzymuje zasłużony artysta Związku Radzieckiego profesor Bragiński. Podpisano: A. Wołgin*. To wtedy Zalewscy przenieśli się na ostatni swój przyczółek – na ulicę Mochnackiego. Władysław z żoną, trzynastoletnim synem, teściową Wincentyną i psem Gackiem. To się stało na Mochnackiego 21. Ten „ostatni” adres Zalewskich, zamieszkanie w niewielkim parterowym domku, dawnej willi Wiśniewskich, mój Tato nazywał *wygnaniem*, choć było to nadal centrum Lwowa. Obniżenie standardu życia to sprawa oczywista. Jednak najistotniejsza degradacja przebiegała w sferze ducha, emocji. Przeprowadzka na Mochnackiego podsyżyła była niezbywalnym poczuciem straty, końca, przegranej. Sytuacja finansowa nie pozwalała na utrzymanie pokoi przy Zimorowicza. To, co się wydarzyło na Mochnackiego, przewijało się w opowiadaniach i Babci, i Taty jako jeden z najtragiczniejszych i przełomowych momentów w życiu rodziny. Różne detale umykały z czasem, inne zaś podpowiadała imaginacja lub, wprost przeciwnie, wyostrzona starcza pamięć, która – jak wiemy – odkrywa bardziej zamierzczłą przeszłość, zaślaniając mgłą wydarzenia bliskie. Wersji więc było kilka. Ja je uśredniłem, tworząc paradokumentalną scenę, którą umieściłem również (choć w nieco innym brzmieniu)

w swojej powieści *Bez pamięci* jako opowieść Babci Siuni.

Tam wegetowaliśmy. Już ani śladu naszego mieszkania, auto dawno zdane Niemcom, brak monety. Żyliśmy z Marysią kątem u obcych. Przed wojną była ledwie żoną parobka z naszej cukierni, ale na pokątnym handlu i na swoich bolszewickich sympatiach wyszła na panią z marnym, bo marnym, ale domkiem i ogródkiem. Ten dom zabrali Sowieci radcy Pieniężnemu, a dali parobkowi. I ona wynajęła nam, niby z sentymentu. A naprawdę wydzieriała nam ta baba z kieszeni ostatni grosz. Złośliwa mała była, bo nocą wdmuchiwała swoje śmieci przez szparę pod drzwiami, węgle wydzielala zbyt mało, a nocą ta hadra piła bimber i hałasowała. A węgiel, jak przywozili, sam Władek musiał sprowadzać do piwnicy, także i dla niej, jakby to teraz on był parobkiem. Wszystko na odwrót. Mieszkał tam także sowiecki pułkownik, miły, wyrozumiały. Nie wadził nam, nawet czasem pomagał jak mógł: uśmiechem, częstując męża papierosem, pogawędką o czymkolwiek. Z tyłu domu był dość spory ogród i tam sobie oni z Władkiem czasem gwarzyli.

Jeden mundurowy przyszedł. Wolnym krokiem, jakby zajrzał na przechadzce do znajomych. Zapukał w niedzielę rano, wczas.

Siódmego stycznia 1945 roku. Posterunkowy Gawryszkin. Zwykły pedel z męskiego gimnazjum na Łyczakowie, ale w czterdziestym czwartym nagle awansowany na dzielnicowego. Zналиśmy go z tego, że przychodził pod dom sprawdzać, czy śnieg jest dobrze odgarnięty. Zastał nas przy śniadaniu. W kuchni, jedynej ogrzewanej izbie, bo opału nie starczało. Żadnych frykasów. Chleb, biały ser, masło, marmolada – tak się wtedy u nas jadło. My z Marysią tylko spojrzaliśmy po sobie. Od razu zaczęłyśmy przygotowywać ciepłe palto, kalessony, wełniane skarpety zrobione na drutach, angielski sweter. Zaśmiał się ten Gawryszkin. Ręką machnął. *Ale panie dyrektorze, ta nie trzeba się tak rychtować jak na Sybir. Toż tylko zwykłe przesłuchanie, na co kalisony! A słuchani będziecie, oczywista, na okoliczność waszej cukierni. Pani dyrektorowa, toż małżonek niebawem wróci do domu. W try miga. Można i galante meszty włożyć, bo to zwykła rozmowa będzie. Taka zwykła rzecz, parę pytań. Nowa władza, nowe porządki, wiecie...* Ja mu na to, że już od początku wojny my żadni dyrektorzy, tylko dziady. Przecież Władek teraz żaden kapitalista, a tylko jako technoruk, planowczyk, plany rozwoju wam kreśli, dwuletnie, pięcioletnie, pokazuje, jak wzrośnie sowiecka produkcja konfietów. A on na to z uśmie-



Zalewscy i Schmidtowie na spacerze. Fritz Schmidt pełnił funkcję komisarycznego zarządcy fabryki Zalewskich, przemianowanej przez Niemców na „Sussenwarenfabrik”, z zachowanym logotypem przedwojennej firmy – zamasztyłem podpisem Ludwika Zalewskiego. Nie bez znaczenia okazały się wojenne kontakty Władysława Zalewskiego, mianowanego na zastępcę Schmidta, dla jego losów po powtórny wkroczeniu Sowieców



Ostatnie wojenne zdjęcie Władysława – w biurze jego dawnej fabryki

chem: *Ja wiem, że tak się teraz niefortunnie wypadło zatrudnić, takie czasy, ale ja tak nazywam z czystego szacunku do pana Zalewskiego. Pozmieniało się nam we Lwowie. Przecie Dmeterko, przed wojną zwykły majster, a teraz sam naczelnik – dyrektor. Władza ludowa! No i zaprosiliśmy Gawryszkina, żeby dosiadł się do naszego skromnego stołu i z nami pokosztował śniadania. Nawet miodu mu ze spiżarni własną ręką dołożyłam do herbaty, bo mleka już zabrakło. On, szakał, dobrze wiedział, że zaraz zabierze go nam na zawsze, że bierze go na śmierć, ale uśmiechnął się, usiadł i nałożył sobie sera, miodu i jadł. Łokcie położył na stole, czapkę też. Taki poczęstunek. Jak ostatnia wieczera. A Władek i tak, wbrew zapewnieniom, ubrał te ciepłe kalessony i porządne zimowe buciory. I włożyłam mu chusteczkę i trochę cukierków do kieszeni płaszcza. Łgarstwa. Tak samo było za Fryca jak za Iwana. Tylko ci pierwsi brali służbiście, z krzykiem, ale i z *Ordnungiem*, w wyglancowanych butach i w kantkę odprasowanych mundurach, a ci drudzy z lisim uśmiechkiem i z oberwanymi guzikami, a jeszcze prosili o papierosa albo o szklankę wódki. Gawryszkin też, jak tylko najadł się i beknął, przytknął do warg palec, dając znak, że chętnie by sobie zapalił. Judasz. Dał mu Władek ostatniego papiero-*

sa. Za bezdurno bandzioch chlebem sobie napchał, a jak dziażdżał te kromki i siorbał herbatę, to ja wyjrzałam przez okno, bo myślałam, że wezmą Władka na jaką ciężarówkę. A Gawryszkin na to: *Pani dyrektorowa, a czego to Pani tak wypatruje? Kibitki? Ta, przecie my nie na wywózkę czy do tury bierzemy i bez żadnego samochodu. Ja tu jako przyjaciel z rana zawiątał, by razem pójść z panem Władysławem, by go zawiadomieniem na piśmie nie fatygować. Spacerem, elegancko na posterunek. Zwykłe zeznanie; nie minie godzina, dwie, jak małżonek wróci. Ciuję obie rączki szanownej pani! I poszli. Władek jeszcze odwrócił się, pomachał z samego zakrętu. Bardziej uniół rękę. Czeкалиśmy strwożeni, coraz bardziej z godziny na godzinę. Potem staliśmy przy oknie, aż*



Zdjęcie przedwojenne z atelier Haliny Zalewskiej

do zmroku. Na próżno. Wieczorem poszłam na komisariat. Wyśmiali mnie. Skierowali do więzienia na Łackiego. Babcia Katarzyna zanotowała tego dnia w kalendarzyku pod datą 7 stycznia 1945 roku: *Dziś dzień rozpaczy. Podstępnie wzięty Władek do więzienia na Jachowicza. Następnego dnia pełna nadziei pobiegła do Dmyterki. Nic nie poradził. Zimno i nieprzychylnie przyjęł. Dwa dni później: Po raz pierwszy dałam mu peredacze – jedzenie, nic o nim nie wiem. Dopiero 17 stycznia Katarzyna otrzymała karteluszek pisany po rosyjsku: Odebrał paczkę z własnoręcznym podpisem Zalewski, także cyrylicą.*

Mój Tato już w gimnazjum był znany ze swoich zdolności plastycznych. Wciąż coś szkicował, namiętnie rysował, wielokrotnie był za to upominany na lekcjach.

W najstarszej klasie w 1945 roku zdarzyło się, że jeden z uczniów, kolega z klasy Taty, napisał wiersz, ilustrując go rysunkami. To była cała seria rysunków, historyjka obrazkowa z podpisami. Ten kolega nazywał się Homola, był synem lekarza. *Podobnie jak ja rysował sprawnie różne rzeczy, między innymi zrobił taki jakby komiks z treścią ośmieszającą sowieckie awanse społeczne. Serię rysunków opatrzył satyrycznym, wywrotowym wierszem.* Tato przytaczał zawsze taki fragment tych wierszowanych podpisów: *But ja na seli tam ja pasał byki, a teper u Lwowi komysar welyki, / But ja na seli tam ja pasał krowy, a teper u Lwowi pan posterunkowy.* Ten fragment, komiczny i chwytliwy w swym rymowaniu, wszystkim w mig wbił się w pamięć. Homola stworzył obrazkową serię, przedstawiał tego pastucha, chłopca, potem nobilitowanego po linii narodowościowej i partyjnej. Doprawdy udana była postać tego komisara. Wzbudzała wesołość i zainteresowanie. Kiedy Homola puszczał rysunki pod ławkami podczas lekcji, a na kolejnej dorabiał, ku uciechu kolegów, nowe fragmenty, cała klasa aż falowała z wrażeń i szeptem powtarzała fragmenty rymów. Wszyscy, ławka po ławce, przechwytywali tę historyjkę, oglądali, śmiali się. Katastrofa nastąpiła na lekcji ukraińskiego. Ten przedmiot prowadziła młoda nauczycielka z Ukrainy. Energiczna, atrakcyjna działaczka. Wszystkim się podobała, choć potrafiła być groźna. To ona zauważyła, że chłopcy podają sobie coś pod ławkami, przyłapała ten zestaw rysunków. Usiadła i z wypiekami na twarzy, w absolutnej ciszy, która zapadła, wszystko to przeczytała z kamienną twarzą. Rysunki schowała i zaniosiła do dyrektora. Tymczasem Tato zaziębił się i przez kilka kolejnych dni nie było go w szkole. Nie zdawał sobie sprawy, że na niego padło całe podejrzenie. Ale na Mochnackiego przybiegli po lekcjach dwaj zatrwożeni koledzy. Bali się nawet wchodzić do kuchni. Zza siatki opowiedzieli, że Władkowi przypisuje się autorstwo rysunków, a nieobecność na zajęciach jeszcze bardziej w jego winie całą szkołę utwierdza. *Uważaj, bo dali znać na NKWD i podali ciebie jako autora tych rysunków.* I faktycznie, dyrektor już nazajutrz wezwał mamę, Katarzynę, do szkoły i pokazał jej te rysunki jako dzieło autorstwa jej syna. Katarzyna wróciła do domu załamana,

zrezygnowana. To się działo już po aresztowaniu męża Władysława i uwięzieniu go na Jachowicza. Miała męża w areszcie, głowiła się, jak go wykupić i zapobiec grożącej mu wywózce, a tu trafił się nowy, wcale nie mniejszy kłopot. Tato przekonał ją, że jest niesłusznie podejrzany, jedynie przez swoje skłonności do szkicowania. Katarzyna znów udała się do dyrektora szkoły ze łzami w oczach, z gorącym zapewnieniem, że to pomyłka. Ale to w niczym nie pomogło – machina NKWD ruszyła. Tato tak opowiadał: *Ponieważ mój ojciec był już aresztowany, byłem pierwszym podejrzany. Bez szans. Doktor Homola wtedy zdobył się na niesłychany gest. Dowiedziawszy się, że jestem posądzony, a mój ojciec w areszcie, poszedł odważnie i uczciwie do Dyrektora i przyznał, że to jego syn jest autorem rysunków. Miał przy sobie zaświadczenie, że syn jest niepoczytalny. Przekonywał, że chłopak wymyśla i rysuje takie historie, bo jest nie w pełni sprawny umysłowo. On sam to, jako lekarz, zaświadczał. Po powrocie do szkoły za kilka dni, już było powszechnie wiadomo, że Zalewski jest niewinny, nikt już nawet mnie nie wzywał, nie przesłuchiwał. Oczyszczony z zarzutów. Homola zaś był bez końca przesłuchiwany przez kogoś z nauczycieli, skierowanego przez bezpiekę, a w każdej polskiej szkole był taki funkcjonariusz. Mama musiała to bardzo przeżyć. Nie miała zamiaru wcześniej się rejestrować w urzędzie polskim, tym bardziej wobec faktu aresztowania męża, na którego powrót do domu miała nadzieję. Ale po tym incydencie dostała takiej nerwowości. Przestraszyła się, że nawet mnie utraci. Ludwik wzięty do wojska kościuszkowskiego, Ojciec w areszcie, zagrożony wywózką. Mama wtedy postanowiła, że dłużej czekać niepodobna. Bez dalszego namysłu i bez pytania posłała do urzędu repatriacyjnego zapisać się na wyjazd do Polski. Było to gestem w kierunku ratowania rodziny. Przydzielono nam termin do repatriacji wraz z gazownią lwowską, która jechała jako załoga elektrowni do Wrocławia.*

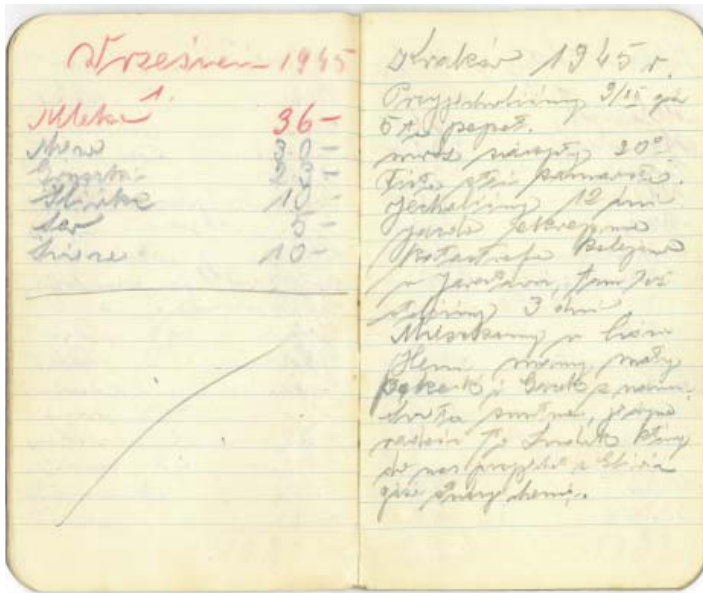
Podróż niedobitków rodziny Zalewskich do Krakowa trwała aż dwanaście dni. Obecnie, jadąc takimi samymi torami, odległość tę pokonuje się w kilka godzin. Rzeczy osobiste, ocalałe obrazy, pamiątki i jedno jedyne krzesło (dziś jest u mojej córki w Warsza-

wie) – wszystko, co jeszcze mieli Zalewscy, poupuchane zostało w kufry, walizki i paczki. Te bagaże stały pod ścianami wagonu, a na samym środku królował żelazny piecyk z kominem wystawionym na zewnątrz. Na postojach Władek ze staruszką, krewnym dyrektora gazowni, kradli węgiel z sowieckich lokomotyw, jeśli takie stały w zasięgu wzroku. Postoje były nader częste, więc w wagonie mieli dość ciepło. *Na noc paliło się w żelaznym piecyku, dokoła którego spaliśmy. Pociąg wciąż stawał, bo panował bałagan, nikt do końca nie wiedział, co i kiedy pojedzie, którym torem. Ale była i inna przyczyna. Maszynista co chwilę zatrzymywał pociąg i domagał się paliwa. Czyli spirytusu. Wtedy młody i energiczny dyrektor gazowni chodził z czapką od wagonu do wagonu i zbierał na wódkę dla maszynisty. Zafatwianie potrzeb fizjologicznych odbywało się pod wagonem, gdy pociąg na dłużej lub tylko na moment przystanął. Trzeba było zdążyć, umieć rozpoznać każdy dźwięk pociągu: syk, stukot, okrzyk. Tacie utknęło w pamięci, że zawsze, gdy wchodził pod wagon, widział wielki herb imperium z dwugłowym orłem. Maszynista cały czas był pijany. W Jarosławiu nie zatrzymał się przy zamkniętym semaforze, więc polscy kolejarze skierowali pędzący pociąg na boczny tor. Ale on rozpedem lokomotywy pokonał zabezpieczenia, kozły ślepego toru i z impetem wprowadził cały skład na jarosławską ulicę. Lokomotywa zajmowała całą szerokość ulicy, a wagony w różnych konfiguracjach rozłożyły się na długości kilkuset metrów. W wagonie, którym podróżowali Zalewscy, wszystko się zawaliło, sprzęty przygniotły ludzi. Wystraszony Gacek skowyczał, a podróżni pytali się nawzajem, czy są cali. Nie dało się otworzyć wagonu, bo zacięły się rozsuwane drzwi, umocowane na metalowych kółkach. Nie można było więc opuścić tego groźącego zapaleniem się wnętrza. Ktoś się mocno potłukł, staruszek, który podkradał węgiel, był najciężej poturbowany. Wyważanie drzwi i wyciąganie wagonów zajęło kolejarzom cały dzień. Z powodu wypadku postój w Jarosławiu trwał aż trzy doby. Pasażerowie nie dostali nic oprócz kubka słabiułkiej herbaty i kawę tak bardzo rozpuszczoną, że miała herbaciany kolor. W końcu wymieniono lokomotywę i maszynistę. I ta mozolna podróż trwała jeszcze parę następnych dni.*



Portret Taty pędzla Antoniego Bartkowskiego. Tato podkreślał: „zapłacony przez Ojca, zapewne jeden z większych dochodów tego malarza w czasie wojny”

Pociąg dojechał do Krakowa 9 grudnia o piątej po południu. Na dworcu w Płaszowie wylądowano Zalewskim skrzynią i paczkami, wytaszczono walizy. Stanęli na peronie. Dyrektor lwowskiej gazowni życzył im szczęścia i powodzenia w nowym mieście i skład odjechał do Wrocławia, gdzie załoga lwowska miała objąć tamtejszą gazownię. Na troje repatriantów nie czekała żadna ciężarówka, *nie było jak i skąd wynająć czegokolwiek*. Była zima i o tej porze panował już całkowity zmrok. Dokuczał siarczysty mróz, minus dwadzieścia stopni za dnia. Katarzyna zdecydowała, że Władek jako najmłodszy dostanie się jakoś do ciotki Henryki na Pułaskiego, zawiadomi ją o przyjeździe rodziny i dzięki temu zorganizują transport. Ona zaś w tym czasie będzie wraz ze starą matką pilnować bagażu na peronie. Jakiś młody człowiek zaofiarował się, że zaprowadzi Władka do ciotki Dutkiewiczowej, żeby wszystko poszło szybko i sprawnie, a chłopiec nie musiał nocować na zewnątrz. To był sympatyczny młodzian, nic za przysługę sobie nie zażyczył, po prostu chciał pomóc. Jechał w tamtym kierunku. Oł, przysługa „po drodze”. Tato pamięta, że ze stacji Kraków-Płaszów mężczyzna zaprowadził go na pobliski przystanek tramwajowy. Tam wsiadli do wozu linii numer 6, a szóstka kursowała wtedy z Płaszowa na Salwator. Wsiadli pod Poczta Główną, po czym Sienną udali się w górę, pod Sukienice. Władek był w Krakowie po raz pierwszy i bardzo dokładnie, mimo panujących



Notatka z kącika Katarzyny Zalewskiej: „Przyjechalimy 9/XII godz. 5-ta popoł., mroz siarczysty. Wisła stoi zamazniena. Jechalimy 12 dni. Jazda okropna. Katastrofa kolejowa w Jaroslawiu... Mieszkamy u Cioci Heni i Gacek z nami”

ciemności, zapamiętał charakterystyczne budynki: Dom Prasy przy Wielopolu, bryłę budynku Poczty Głównej z szerokimi schodami, następnie Mały Rynek z wychodzącą zeń wąską ulicą Sienną z kocimi łbami, z widokiem na Sukiennice. A w końcu na Rynku olbrzymie wieże kościoła Mariackiego. Już wtedy, mimo chłodu, zmęczenia i ważnej misji, jaką miał przed sobą, zachwyił się zabytkami Starego Miasta. W Sukiennicach były wtedy w bocznych częściach budynku (zresztą do niedawna czynne) publiczne toalety. Pod jedną z nich mężczyzna zostawił Władka, każąc mu czekać, a sam zbiegł schodkami w dół za nagłą potrzebą. Czternastoletni Władek czekał tam kwadrans za kwadrans, niepokojąc się coraz bardziej. Gdy minęła godzina, zszedł do toalety szukać swojego przewodnika. Ale nikogo tam nie było. *Wszedł to toalety i już stamtąd nie wyszedł.* Nieraz pytałem Tatę, czy zapamiętał twarz tego człowieka i czy nigdy później, zwłaszcza w kolejnych kilku latach, kiedy miał jego fizjonomię jeszcze z pewnością żywo w pamięci, a Kraków nie był tak zaludniony jak obecnie, nie spotkał nigdy tego człowieka i nie odkrył tajemnicy jego zniknięcia. Zaprzeczył. Nie przychodzi do głowy żad-

ne logiczne rozwiązanie tej zagadki – co ów mężczyzna zyskał na swoim oszustwie, prócz wątpliwej satysfakcji, że wyprowadził chłopca w pole? Na szczęście Władysław zawsze dysponował fotograficzną pamięcią i łatwo odnalazł drogę powrotną: pod Pocztę do tramwaju, a potem linią numer 6 na peron, gdzie z tobołami stały zmarznięte Katarzyna z Wincentyną, a dookoła skrzyń z dobytkiem wesoło biegał Gacek.

Noc przyszło więc wszystkim spędzić w okowach mrozu na pustej stacji. *Zdarzyli się tam dwaj polscy żołnierze berlingowcy, którzy siedzieli w budce kolejowej. Budka ta nie miała okien i drzwi, ale miała piec. Oni byli uzbrojeni, mieli władzę. Brali sobie z sowieckich węglarek stoją-*

cych między torami węgiel. Te tory były jak pajęczyna, tory zbiegały się i rozchodziły, płatanina była taka, że jak tylko zbliżały się światła jakiegoś pociągu, nadchodziła obawa, że zahaczy o naszą górę bagaży – były one bowiem wyłożone jakoś między torami, zgromadzone pomiędzy drogami przejazdu pociągu. Baliśmy się każdego pociągu. Bagaże ciężkie i w skrzyniach podpisanych, ale i tak trzeba ich było pilnować. Czujność przez całą noc, bo w okolicy kręciły się różne typy. Gacek był tej nocy jedyną rozrywką. Zawsze w niedzielę, kiedy babcia gotowała obiad, a my wszyscy z mamą, z ojcem i Ludwikiem siedzieliśmy przy wspólnym stole, obowiązywał w domu pewien rytuał. Tuż po posiłku, a Gacek zawsze wiedział, kiedy nastąpi ten moment, z kredensu wyciągane były ciastka. On zawsze jedno dostawał i nauczył się, że pod koniec obiadu ma już siedzieć i prosić. Tej nocy na stacji w Płaszowie znaleźli się też przesiedleńcy z Niemiec, wśród nich wiele dzieci. Te dzieci coś jadły, a pies był bardzo głodny. Podeszedł, merdając ogonem, do tej grupy dzieci i zaczął prosić. Gacek pięknie prosił, ku uciesze dzieci. Czasem wchodziłem do budki tych dwóch żołnierzy, oni pozwalali. Mieli tam całe puszki unrowskich sucharów

wojskowych. Jak wchodziłem do nich ogrzać się z Gackiem, on zawsze sprytnie porywał z uchylonej puszkii kilka sucharów i wynosił je na zewnątrz, gdzie się nimi szybko raczył. Późno w nocy zdarzyło się tak, że jeden z berlingowców wyszedł z budki, a drugi przysnął. Wtedy ja zgarnąłem garść tych sucharów i zakopałem je szybko w śniegu poza budką. Gacek od razu zrozumiał, na czym polega trik. Zostałem na zewnątrz, a Gacek kursował między budką a mną i nosił kolejne suchary. Ja mu je odbierałem i szybko zakopywałem. Gdy żołnierz obudził się, Gacek zaczął odkopywać te suchary, bezbłędnie je wynajdując. Obaj odkopywaliśmy je na wyścigi. Każdy był głodny i tyle można było zjeść, ile się samemu znalazło i zdołało w pośpiechu przełknąć. Gacek był zawsze szybszy, a ja wciąż głodny. Muszę się przyznać, że niejeden suchar przydeptałem nogą, tak by pies nie zauważył. Miałem dzięki temu okazję zjeść to, co niepostrzeżenie wyjąłem spod buta. Podkradanie żołnierskiego wiktury przy pomocy psa, a potem przydeptywanie jedzenia butem i pożeranie na wyścigi – to mój Tato najlepiej zapamiętał z tej mroźnej nocy. Zaginiony przewodnik i zimna głodna noc na torach to dwa pierwsze wspomnienia mojego Ojca z Krakowa.

Pierwsze listy od Władysława nadeszły z Karelina ze *swierdłowskiej* oblasti, jeszcze zanim Katarzyna z matką i synem Władkiem ewakuowali się do Krakowa. Ze Lwowa Katarzyna zdołała, parę tygodni przed repatriacją, nadać dwa przekazy pieniężne do łagru.

Kochanie,

Niemam jeszcze żadnej wiadomości od Ciebie. Jestem o tyle, jeśli to można nazwać, pocieszony, że inni dostają dziś listy pisane przed dwoma lub trzema miesiącami. Opierając się na tem, winieniem otrzymać pierwszą wiadomość dopiero z końcem stycznia. Boże Narodzenie już za trzy tygodnie, więc życzę, Siuneczko Najdroższa, ażebyś jak najspokojniej, jeśli ze łzami, to tylko łzy radości padały z Twoich, dla mnie drogich oczek. I pamiętaj o tym, że myślami będę wciąż przy Tobie, boś mi jest Jedyna Najdroższa. I dziś kocham tak gorąco, za-



pewne mocniej jak w dniu ślubu. Oby tylko Matka Boska w swojej łasce złączyła nas z powrotem, to żyć i pracować będziemy na chwałę Bogu, cenić dobro i szczęście. Oby nasi synowie stali się chlubą i naszą podporą. Ponawiam prośbę posłania mnie co następuje: smalec lub inny tłuszcz, słonina, cukier, kawa konserwowa, suchary, konserwy mięsne, koncentraty kaszano-zupowe, koncentrat grochowy, machorka i tani tytoń, około 2 do 3 kilogramów, papier gazetowy do palenia papierosów, listowy z kopertami. Proszą bieliznę, sweter ciepły, szalik, ręcznik, mydło, 2 pary skarpet ciepłych. Czosnku, który teraz bardzo lubię i nie mam, cebulę. Owoce suszone (jabłka). Garnek emalowany lub menażkę emalowaną. Jedynie dobry apetyt wpływa ujemnie na serce, które mam osłabione, ale pieniądze i pakunek, jeśli dostanę, to poprawię sobie zdrowie. Proszę wysłać i mama, Władeczek, Marjan mogą też wysłać, bo Tobie można tylko ograniczoną ilość wysłać. To byłoby trudno dla Ciebie tyle wszystkiego wysłać, ile mnie się zachciało, ale piszę wszystko, żebyś się nie musiała głowić, co posłać.

Kochanie! Karelino, 27 XII 1945 r.

Pierwszego dnia Świąt wieczorem doręczyli mi paczkę, więc miałem ucztę i tyle radości, że niemożesz sobie wyobrazić. Wystroiliem się w koszulę moją, starą, nos podcierałem moją chusteczką, obliżywałem mleko kond., a pierniczki do rana znikły w moim żołądku. Paczka przyszła nienaruszona i nic w niej niebrakło. Co się dzieje z listami? Jeszcze żadnej od Ciebie niemam wiadomości.

Paweł Stachnik

UMIERANIE POLSKICH KRESÓW

W roku 2019 uka-
zała się książka
Agnieszki Rybak
i Anny Smółki pod
intrygującym tytu-
łem *Wieża Eiffla
nad Piną*¹. Autor-
ki opisały w niej
podejmowane
w dwudziestole-
ciu międzywojen-
nym próby unowo-
czeźnia polskich
Kresów. Wytwórnia od-
biorników radiowych
braci Chwolesów z Wil-
na, fabryka sklejki Kono-
packich w Mostach koło
Grodna, kamieniołomy
bazaltu w Janowej Do-
linie i tamtejsze wzoro-
we osiedle robotnicze,
uzdrowisko w Zaleszczy-
kach – to tylko niektóre
z tych „kresowych wysp
nowoczesności” przy-
pomnianych, a niekiedy
wręcz odkrytych przez
badaczki. Świetnie napi-
sany reportaż historyczny
zyskał pochlebne opinie,
wobec czego autorki po-
szły za ciosem i przygo-
towały kolejną kresową po-
zycję. Tym razem jest to dzieło niebagatelne
– prawie 700 stron tekstu, a i temat zgoła
odmienny – odchodzenie polskich Kresów.

Wydana przez krakowskie Wydawnic-
two Literackie książka nosi znamieny tytuł
*Kresy. Ars moriendi*². Tytuł nieprzypadkowy,
chodzi bowiem o przemijanie – ba! – do-
stojnie umieranie polskości na wschód od
Bugu. Proces ten, zapoczątkowany w po-
łowie XIX w., trwa nieprzerwanie do dziś,
bez względu na to, jak bardzo przykra jest
to dla nas konstatacja. Książka Agnieszki
Rybak i Anny Smółki pokazuje owo umie-
ranie rozciągnięte w czasie: od powstania

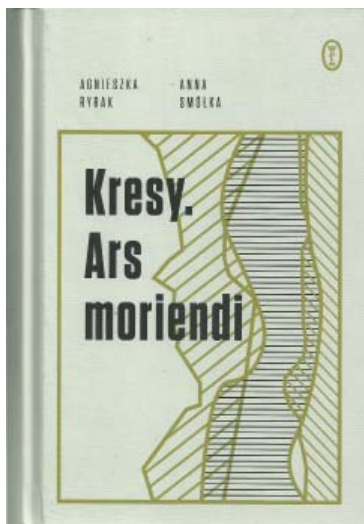
styczniowego do
współczesności.
Lektura to bole-
sna, ale świetnie
napisana.

Zaczyna się od
sylwetki Edwarda
Woyniłłowicza,
ziemianina i spo-
łecznika z guber-
ni mińskiej, posta-
ci niezwyklej, choć
mocno dziś zapo-

mnianej. Jednego z tych
kresowych ziemian, któ-
rzy ratowali polską sub-
stancję na ziemiach za-
branych w dobre represji
po powstaniu styczniow-
ym. Represji, o któ-
rych skali i zaciętości
nie mamy dziś większego
pojęcia. Po etapie fizycz-
nej eksterminacji insur-
gentów rosyjskie władze
przeprowadziły konfiska-
tę majątków uczestników
powstania, a następnie
niekorzystne dla właścicieli
uwłaszczenie chłopów.
Zakazano używania
języka polskiego w szko-
łach, teatrach, sklepach
i na ulicy. Z urzędów usu-

nięto Polaków i zastąpiono ich Rosjanami.
Zamknięto wiele kościołów i klasztorów,
pozbawiając rzesze wiernych posługi du-
chowej, księży próbowano zaś zmusić do
odprawiania nabożeństw po rosyjsku. Pola-
cy nie mogli zakładać żadnych organizacji.
Wprowadzono zakaz kupowania przez nich
ziemi, a na wszystkich polskich właścicieli
ziemskich i właścicieli nieruchomości nało-
żono ogromny podatek. Według wytycznych
cara Aleksandra II z 1870 roku obciążenie
to można było znieść dopiero, gdy w guber-
niach zachodnich cesarstwa dwie trzecie
powierzchni majątków ziemskich przejdzie
w ręce Rosjan i będą oni stanowić połowę
ziemian. Polskość miała zostać wyrugowa-
na z dawnych ziem Rzeczypospolitej, któ-
re były teraz częścią imperium rosyjskiego.

W takiej właśnie sytuacji przyszło działać
polskim ziemianom i drobnej szlachcie na



Kresy. Ars moriendi

¹ Agnieszka Rybak, Anna Smółka, *Wieża Eiffla nad Piną. Kresowe marzenia II RP*, Czarne, Wołowiec 2019.

² Agnieszka Rybak, Anna Smółka, *Kresy. Ars moriendi*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2020.

Kresach. *Od tej pory na ziemiach zabranych każdy nadgnity płotek szlachecki staje się murem obronnym, a każdy zaścianek kresową stanicą Rzeczypospolitej*³ – piszą autorki. Edward Woyniłłowicz z majątku Sawicze koło Nieświeża był jednym z ważnych uczestników tej walki; na terenie Mińszczyzny jednym z najważniejszych, a kto wie, czy nie najważniejszym. Wspierał radą i pieniędzmi miejscowych Polaków, starając się nie dopuścić do uszczuplenia polskiego stanu posiadania. W latach 80. XIX w. wstąpił do rosyjskiego Mińskiego Towarzystwa Rolniczego i z czasem doprowadził do przejęcia go przez Polaków (wśród członków byli Melchior Wańkowicz z Kałnoberży, ojciec późniejszego pisarza, Jerzy Czapski z Przyłuków, ojciec pisarki Marii i malarza Józefa, a także Henryk Grabowski z Hruszówki, praprawnuk Tadeusza Rejtana).

Pod jego kierownictwem Towarzystwo działało sprawnie i prężnie. Utworzono skład materiałów rolnych, oddział handlowy z milionem rubli obrotu rocznie, a wreszcie bank udzielający kredytów. Z kolei w 1901 roku Woyniłłowicz powołał Towarzystwo Pożyczkowo-Oszczędnościowe w Klecku. Wspierał też ruch białoruski, finansując rozmaite jego przedsięwzięcia narodowe i społeczne, w tym tygodnik „Nasza Niwa”. Pomagał w budowie synagogi w Klecku i meczetu w Moskwie. Gdy po rewolucji 1905 roku carski reżim nieco zelżał, uzyskał zgodę na wzniesienie kościoła katolickiego w Mińsku. Wybrał architekta i projekt, finansował budowę, doglądał prac. Rok później jako przywódca mińskiego ziemiaństwa wszedł do Dumy Państwowej. Był duchowym obywatelem wielonarodowego Wielkiego Księstwa Litewskiego, o wskrzeszeniu którego w unii z Koroną marzył. W parlamencie zetknął się z liderem Narodowej Demokracji Romanem Dmowskim, człowiekiem o zupełnie innej wizji polskości (dziś kreowanym na wzór patriotyzmu), który zmroził Woyniłłowicza stwierdzeniem, że „*provincje zachodnie, bo tak wówczas kresy wschodnie nazywano, uważać trzeba za stracone dla Polski*...⁴

Wypędzony przez bolszewicką rewolucję z majątku, pozbawiony ojczyzny przez traktat ryski, Woyniłłowicz osiadł w Bydgosz-

czy, gdzie żył pełen goryczy wobec polskich władz za odstąpienie Mińszczyzny bolszewikom. Tam też spisał arcyciekawe wspomnienia⁵. Zmarł 16 czerwca 1928 roku. Po wielu latach przypomniano sobie o nim w białoruskim Mińsku. W 2006 roku zwłoki prezesa Towarzystwa Rolniczego przewieziono z Bydgoszczy do stolicy Białorusi i uroczystie pochowano przy ufundowanym przez niego kościele pw. św. Szymona i Heleny. Dziesięć lat później w miejscowej diecezji rozpoczął się jego proces beatyfikacyjny. Edward Woyniłłowicz wrócił do domu.

Dziedzic na Sawiczach to tylko jedna z postaci przywołanych w *Kresach*. Postaci rozpiętych między przywiązaniem do dawnej polskości, rozumianej w kategoriach Rzeczypospolitej Obojga Narodów, a nowymi czasami i nowymi narodowymi namiętnościami. Inny z książkowych bohaterów to Stanisław Narutowicz, brat pierwszego prezydenta RP Gabriela Narutowicza. Pochodził z dawna osiadłego na Litwie rodu, którego członkowie w równym stopniu czuli się i Polakami, i Litwinami. Bo jak pisał inny kresowiak z tamtych stron, ks. Walerian Meysztowicz: *Przynależność do dwóch narodów stanowiących jedną Rzeczpospolitą była powszechnie przyjęta. Nie znano zasady „wylącznieści narodowej”. Nie zabraniano Litwinowi być Polakiem, ani Polakowi Litwinem*⁶. To dopiero nadchodzące czasy kazały ludziom wybierać jedną narodowość, i to bez żadnych kompromisów.

Ofiarą tych nuruch czasów stał się właśnie Stanisław Narutowicz. Uczył się w gimnazjum w Lipawie, studiował prawo w Petersburgu i Kijowie, gdzie zaangażował się w działalność studencką, w tym także tę nielegalną, związaną z I Proletariatem Ludwika Waryńskiego. Potem w Warszawie razem z Ludwikiem Krzywickim wydawał „Tygodnik Powszechny”, ożenił się też ze studentką filozofii Joanną z Billewiczów. Gdy władze rosyjskie zamknęły „Tygodnik”, Narutowiczowie wrócili na Litwę do rodzinnych Brewik Stanisława. Tam rozwinęli działalność oświatową wśród miejscowych chłopów, ucząc ich czytać i pisać po litewsku.

⁵ Edward Woyniłłowicz, *Wspomnienia 1847–1928*, cz. 1 i 2, Klinika Języka, Warszawa–Szczęśne 2016.

⁶ Agnieszka Rybak, Anna Smółka, *Wieża Eiffla...*, op. cit., s. 83.

³ Tamże, s. 36.

⁴ Tamże, s. 54.

Z czasem zbliżyli się do ruchu litewskiego odrodzenia narodowego. Stanisław (jako Stanislovas Narutavičius) został wybrany do miejscowego ziemstwa, a w 1905 roku wziął udział w zjeździe nazwanym Sejmem Wileńskim, na którym Litwini zażądali od Moskwy autonomii. Potem tworzył tzw. Republikę Olsiadzką, w której próbowano czynnie sprzeciwić się rosyjskim władzom (został jej prezydentem). W 1907 roku Narutowiczowie założyli za własne pieniądze protogimnazjum dla dziewcząt, a potem gimnazjum dla chłopców w Telszach, a ich szkoła stała się ośrodkiem krzewienia kultury litewskiej.

W 1917 roku Stanisław wszedł do Rady Litewskiej (Taryby), która 16 lutego 1918 ogłosiła akt niepodległości Litwy. On sam był jednym z jego sygnatariuszy (znamiennie, że podpisał się po polsku, jako S. Narutowicz). Wśród wileńskich Polaków został uznany za zdrajcę i zaprzańca narodowego, nawoływano do towarzyskiego bojkotowania go. Wśród Litwinów – choć szanowany – nie był popularny, bo zbyt często sprzeciwiał się antypolskim wystąpieniom i działaniom, nawoływał do chrześcijańskiej współpracy i porozumienia. Ścierał się z narodowcem Antanasem Smetoną na tle stosunku do Polski i ostatecznie przegrał. Wycofał się



Stanisław Narutowicz, litewski działacz niepodległościowy, brat Gabriela Narutowicza

z życia politycznego, wrócił na wieś i działał społecznie. W miarę pogarszania się stosunków między niepodległymi już Polską i Litwą był coraz bardziej oskarżany o sprzyjanie Polakom, a gdy w 1929 roku władze litewskie rozpoczęły reformę rolną, zabrano mu dużą część majątku. Pogrążony w depresji, przygnieciony życiowymi niepowodzeniami popełnił samobójstwo w 1932 roku.

To był drugi etap umierania polskości na Kresach opisany przez autorki na przykładzie Stanisława Narutowicza. Rodzące się nacjonalizmy młodych narodów: litewskiego, białoruskiego, ukraińskiego, zrządzeniem losu – lub częściej decyzją swoich ideologów – formowane były w opozycji czy wręcz wrogości do polskości. To właśnie polska kultura, tradycja i historia zostały uznane za niebezpieczny bagaż dawnych czasów, który jak najszybciej należy porzucić, aby broń Boże nie powtórzył się szkodliwy proces polonizacji. Stanisław Narutowicz stał się ofiarą tego trendu. Nie mógł być tak jak jego przodkowie jednocześnie Litwinem i Polakiem. Musiał wybrać jedną narodowość, a wybierając ją, automatycznie stawiał się w opozycji do tej drugiej. Nacjonalizm zatriumfował. Dzisiaj zresztą triumfuje ponownie – zwycięstwo narodowych szowinizmów dokonuje się w Polsce i Europie na naszych oczach.

Ale potem było jeszcze gorzej. Rozdział *Pelisa* opowiada o mieszkającej od wieków na Ukrainie rodzinie Orłowskich z Berdyczowa. Losy jej przedstawicieli od połowy XIX wieku drobniawo odtworzyły autorki. Małżeństwa, romanse, narodziny dzieci, praca, życiowe sukcesy i porażki Antoniego, Mariana, Bolesława Makarego, Kazimierza, Edwarda i innych Orłowskich składały się na losy Polaków mieszkających na Ukrainie. Najpierw względnie spokojna egzystencja w czasach carskiej Rosji, potem zawirowania I wojny światowej i rewolucji, jeszcze potem okres rządów bolszewickich, a wreszcie lata 30., stalinizm i operacja polska NKWD. Decyzją Stalina latem 1937 roku rozpoczęto aresztowania, sądy i egzekucje mieszkających w ZSRR Polaków. Uznani za element niepewny, szkodliwy i wrogi wobec państwa radzieckiego przeznaczeni zostali na eksterminację. W ciągu dwóch lat skazano prawie 140 tys. osób, z czego 111 tys. zamordowano. Porażająca masakra, o której



Hrabia Wiktor
Baworowski,
założyciel
Baworowianum

wiedza w Polsce nadal jest niewielka. Z opisanej w książce rodziny Orłowskich ofiarami represji stali się m.in. Kazimierz, Edward, Bolesław Makary, Przemysław, Zygmunt, Tadeusz, Marian... Tak zadano druzgocący cios polskiej społeczności na Kresach, Nie dały jej rady carskie prześladowania, wojny i rewolucje, dał jej radę brutalny reżim stalinowski, który po prostu fizycznie unicestwił sporą część radzieckich Polaków. To był kolejny krok do śmierci polskich Kresów. Kolejnymi będą wrzesień 1939, deportacje 1940 i 1941 roku, rzeź wołyńska...

Po wojnie przyszła sowiecka stabilizacja, brak nadziei na zmiany i zwykłe codzienne życie, które ma wszak swoje wymogi. *Syn Aliny, Wiktor, jest wykładowcą na politechnice w Żytomierzu. Nie mówi po polsku, podobnie jak dzieci i wnuki Tadeusza. Są prawosławni. Najmłodszy, Wiktor, ten, z którym Julia biegła na rękę do NKWD w sprawie męża, kandydował do ukraińskiego parlamentu w 2002 roku z Batkiwsczyny – partii Julii Tymoszenko. Nie dostał się. Jeden z wnuków Tadeusza służył w sowieckiej flotyli w Pińsku. [...] Bella wróciła do Leningradu i wyszła za Tatara. [...] Anatol chwali sobie Związek Radziecki, bo dawał pracę, dobre zarobki i poczucie stabilizacji*⁷ – czytamy o dzisiejszych potomkach Orłowskich. Ostateczny kres polskości na dawnych ziemiach Rzeczypospolitej przyniosły powojenne czasy i realia ówczesnej

rzeczywistości. Przez lata odcięci od Polski, ojczystego języka, kultury i literatury, Polacy w ZSRR wynaradawiali się nieopatrzenie dla siebie samych. Trzeba było dużego samozaparcia i wysiłku, by utrzymać polskość swoją i swoich dzieci. Bywało to trudne i nieopłacalne, i decydowało się na to niewielu. *Nastąpiło to, na co w 1846 roku liczył kijowski gubernator Dymitr Bobikow: „zupełne połączenie się polskiej szlachty ze społeczeństwem rosyjskim i jej zniknięcie na zawsze”*⁸...

Chwilą optymistycznego oddechu są w tej smutnej książkowej opowieści dwa rozdziały poświęcone Galicji. Tam warunki egzystowania dla Polaków – poza mocno represyjnym okresem I połowy XIX w. – były o niebo lepsze niż w zaborze rosyjskim, a zwłaszcza na ziemiach zabranych. Dzięki autonomii we Lwowie, Krakowie, Tarnowie, Bochni, Nowym Sączu, Rzeszowie, Stanisławowie i innych galicyjskich miastach i miasteczkach można było w urzędach, szkołach, sądach i sklepach mówić po polsku. Można było zakładać polskie organizacje, wydawać polskie gazety i książki, rozwijać polską kulturę, naukę, a nawet politykę. O takich rzeczach Polacy z Kongresówki, Ukrainy, Białorusi i Litwy mogli tylko marzyć.

Przykładem możliwości, jakie dawała ta wykpiwana dziś autonomia galicyjska, jest działalność hr. Wiktora Baworowskiego, bohatera rozdziału *Pokój z wykuszem*.

⁷ Tamże, s. 218.

⁸ Tamże, s. 219.

To kolejna fascynująca, barwna i zapomniana postać opisana przez autorki *Ars moriendi*. Rodzina chciała, by młody Wiktor zajął się majątkiem lub chociaż służbą publiczną, on wołał jednak literaturę i sztukę. Przekładał Goethego i Schillera, pisał własne utwory, które publikował w prasie. W 1853 roku udał się do Paryża i spotkał z Adamem Mickiewiczem. Spotkanie okazało się rozczarowaniem, bo wieszcz nie przypominał natchnionego geniusza, lecz zaściankowego szlachcica z Litwy. Po powrocie z Paryża 27-letni Baworowski objął po podziale rodzinnego spadku duży majątek w okolicach Tarnopola. Mógł się teraz bez przeszkód poświęcić swoim pasjom: tłumaczeniom oraz tworzeniu zakładu naukowego wzorowanego na Ossolineum.

Zakład taki powstał w jego pałacu przy ul. Lipowej we Lwowie. Drogą kupną Baworowski nabywał księgozbiory innych kolekcjonerów, rękopisy, dokumenty, starodruki. Najpierw pozyskał bibliotekę znanego historyka i prawnika Kazimierza Stadnickiego, m.in. z materiałami dotyczącymi konfederacji barskiej i targowickiej. Następnie 120 rękopisów i druków dotyczących dziejów Krakowa od innego znanego kolekcjonera Ambrożego

Grabowskiego. Potem rękopisy językoznawcy Alojzego Osińskiego, w tym wielki słownik *Bogactwa mowy polskiej*, jeszcze potem 130 cennych rękopisów od Kazimierza Stronczyńskiego, a wśród nich źródła do historii prawa polskiego, rękopis kroniki Wincentego Kadłubka i dzieła Długosza. W 1856 r. biblioteka liczyła 6 tys. dzieł polskich, 3 tys. obcych i 500 rękopisów. Hrabia zbierał też obrazy, wyroby artystyczne, rzeźby.

Mimo że Baworowski wzorował się na Bibliotece Raczyńskich i Ossolineum, nie chciał udostępniać swojego zbioru. Nie życzył sobie, żeby do jego pałacu przychodzili jacyś przypadkowi ludzie. Dopiero około 1892 roku udało się go uprosić, żeby niektórzy uczeni za rekomendacją dyrekcji Ossolineum mogli korzystać z biblioteki. Inna sprawa, że było to niełatwe, bo nadal brakowało całościowego katalogu, nie było godzin otwarcia i regulaminu. Jednocześnie hrabia z czasem dziwaczał i stawał się odludkiem. Rzadko przyjmował gości, słynął ze skąpstwa i skrajnej oszczędności, nie ożenił się, nie miał dzieci. Pod koniec życia zaczął tracić wzrok, a 3 grudnia 1894 roku w swoim pałacu popełnił samobójstwo, podcinając sobie gardło.



Pałac Baworowskich przy ul. Baworowskich 2, obecnie Bibliotecznej 2 we Lwowie

W testamencie przekazał majątek Galicji i Lodomerii. W 1900 roku bibliotekę udostępniono dla badaczy, przeprowadzono wstępne skatalogowanie, potem cały czas powiększano kolekcję przez nowe zakupy. Obok Zakładu Narodowego im. Ossolińskich Biblioteka Baworowskich funkcjonowała jako ważny ośrodek kulturalny i naukowy. Kres przyniósł wybuch wojny. Bibliotekę w 1939 roku najpierw przejęły władze sowieckie, potem Niemcy, a w 1944 znowu Sowieci. Razem z Ossolineum stała się częścią Ukraińskiej Akademii Nauk jako Sektor Polski. Jego polski kierownik Mieczysław Gembarowicz starał się potajemnie wysyłać do Polski co cenniejsze eksponaty. W kraju żywno przekonanie, że strona sowiecka przekaże narodowi polskiemu „w darze” część zbiorów Ossolineum. Oczekiwano na delegację i rozmowy, ale okazało się, że w dwóch transportach w 1946 i 1947 przyjechały średnio wartościowe, dowolnie wybrane i nieskatalogowane rzeczy. Był to drobny ułamek zbiorów Ossolineum, Baworovianum i innych polskich placówek kultury ze Lwowa. Resztę, która pozostała za kordonem, rozdzielono między dotychczasową siedzibę przy Lipowej, Lwowską Bibliotekę Akademii Nauk USRR, Lwowską Galerię Obrazów i inne instytucje. Część książek zniszczono, uznając je za mało wartościowe i nieprzydatne (np. literaturę religijną). Tak oto zniknęły ważne i zasłużone polskie placówki kulturalne we Lwowie, samo zaś miasto zostało poddane sowietywizacji i ukraiinizacji. Nieliczni Polacy, którzy tam zostali, niewiele mogli zrobić.

To właśnie im w dużej mierze poświęcony został ostatni rozdział książki – *Gdzie jest generał?* Ta część opowieści to pasjonujące dziennikarskie śledztwo w sprawie grobu gen. Tadeusza Rozwadowskiego. Oto w 2013 roku w „Kurierze Galicyjskim” ukazało się takie ogłoszenie: *Rodzina Rozwadowskich zwraca się z uprzejmą prośbą o kontakt do osób, które dysponują wiedzą o obecnym miejscu spoczynku śp. Generała Tadeusza Jordan-Rozwadowskiego. Prochy generała zostały przeniesione z jego grobu w bezpieczne miejsce podczas dewastacji Cmentarza Orłąt przez władzę radziecką. Rodzina poszukuje wszelkich informacji o miejscu spoczynku generała Rozwadowskiego. O co chodzi? W latach 90. we Lwowie i w śród-*

wiskach lwowiaków w Polsce zaczęły krążyć pogłoski, że na odnawianym Cmentarzu Orłąt groby kilku bohaterów są puste. Trumny m.in. gen. Rozwadowskiego, gen. Iwaszkiewicz, brygadiera Mączyńskiego, abp. Teodorowicza i jeszcze kilku innych osób miały zostać w latach 70. ukradkiem przeniesione przez lwowskich Polaków z dewastowanego Cmentarza do prywatnych grobów na Łyczakowie. Rzeczywiście w 2011 roku w jednym z nich odnaleziono ciała abp. Teodorowicza i ks. Gerarda Szmyda, prezesa oddziału lwowskiego ZHP.

Agnieszka Rybak i Anna Smółka rozpoczęły własne dochodzenie w sprawie trumny gen. Rozwadowskiego. Poszukiwały śladów w literaturze i archiwach, spotykały się z krajowymi lwowiakami, kilka razy odwiedziły Lwów i dotarły do mieszkających tam Polaków. Sprawa nie była łatwa, bo przeniesienia trumny dokonano prawie 50 lat wcześniej, w dodatku po kryjomu i w tajemnicy. Ci, którzy brali w tym udział, już dawno nie żyli, tych, którzy mogli o tym słyszeć, zostało naprawdę niewiele. Czy tajemnicza Straż Mogił rzeczywiście istniała? Gdzie trafiła trumna generała? Krok po kroku, za pośrednictwem życzliwych ludzi, autorki docierały do nesterek polskiej społeczności we Lwowie – co nie zawsze było łatwe – i wypytywały o sprawę tajemniczych pochówków z początku lat 70. Przy tej okazji odkrywały niezwykły, ginący świat ostatnich lwowskich Polaków (a w zasadzie Polek).

Jeszcze nie wiemy, przekazywane z rąk do rąk, że w ciągu kolejnych dni przejdziemy przez polski Lwów: miasto samotnych, starszych kobiet. Każda mieszka od lat w tym samym miejscu, gromadząc jak w Arce Noego resztki sprzed potopu: obraz uratowany z zamkniętego właśnie kościoła, polskie książki ze zbiorów Ossolineum wystawione przez Sowietów na zniszczenie do zrujnowanego kościoła Bernardynów z przeciekającym dachem. Któraś nie wyjechała, żeby opiekować się chorym ojcem, innej narzeczony zginął, więc pozostała na zawsze w miejscu, w którym oboje byli młodzi. Zastygły w swojej polskości jak mucha w bursztynie, załał je żywioł napływowych Ukraińców i Rosjan⁹.

Jakiż to fascynujący temat, aż proszący się o osobną książkę: lwowscy Polacy

⁹ Tamże, s. 568–569.

i ich powojenne losy. Jak radzili sobie w sowieckim Lwowie? Jak przeżywali rusyfikację miasta i usuwanie polskich śladów? Jak wyglądało podziemne polskie życie? Gdzie się spotykali? Gdzie uczyli dzieci religii? Jak opiekowali się grobami na Łyczakowie? Jak podchodziła do nich władza sowiecka i sąsiedzi Ukraińcy? Jak żyje im się w niepodległej Ukrainie? Niektóre odpowiedzi znajdziemy w *Kresach*. Opisy realiów życia w mieście za kordonem należą do najciekawszych fragmentów książki (np. środowisko Strasznego Dworu czy wątek o. Władysława Kiernickiego), ale tylko zaostają apetyt. Aż prosiłoby się o więcej. To ostatni moment, by napisać taką książkę, ostatnie chwile, by porozmawiać z tymi, którzy mogą o tym opowiedzieć. Bo już niebawem przecież najstarsze pokolenie lwowskich Polaków odejdzie w niebyt.

A co z zagadką pochówku gen. Rozwadowskiego? Prowadzone drobiazgowo śledztwo (to także wciągająca lektura!) prowadzi do Marii Tereszczakówny, rocznik 1881, obrończyni Lwowa w 1918, potem mającej właścicielki hurtowni tytoniu we Lwowie, w czasie wojny zesłanej do Kazachstanu. Po zwolnieniu wróciła do Lwowa i opiekowała się Cmentarzem Orłąt. Sama o sobie pisała w 1972 roku w liście do gen. Romana Abrahama: *ostatni sekretarz Straży Mogił naszych bohaterów*. Wspomniała też tam akcję przenoszenia szczątków pilotów (Stefana Bastyra, Stefana Steca i Władysława Torunia) z niszczonej właśnie części nekropolii do innych grobów. Zmarła w 1977 roku i tajemnicę zabrała do grobu. Poszukiwania wskazują też, że w akcję zaangażowane były panie Otko i Domaszewska. To kolejny trop, którym idą autorki. Znów szukają, sprawdzają, piszą, dzwonią. Kim były wspomniane panie, gdzie mieszkały, czy ktoś znał je we Lwowie, czy żyją ich potomkowie? Krok po kroku, rozmowa po rozmowie pojawiają się kolejne wątki prowadzące do innej lwowianki – Janiny Zamojskiej, osoby-instytucji w polskim Lwowie. Autorki miały okazję z nią rozmawiać przed śmiercią. Panią Janinę pochowano w grobowcu rodziny Pape na Cmentarzu Łyczakowskim.

Gdy podczas pogrzebu otwarto grobowiec, okazało się, że w środku są dwie dodatkowe trumny. Czy jedna z nich kryje szczątki gen. Rozwadowskiego?

Książka Agnieszki Rybak i Anny Smółki to świetnie napisany reportaż historyczny. Przypomina tematy mocno zapomniane, mniej znane lub w ogóle nieznanne. Wiele z nich w pełni zasługuje na osobne opowieści i osobne książki. Miejmy nadzieję, że powstaną takie: o popowstaniowych represjach na ziemiach zabranych, o obronie polskiego stanu posiadania na Kresach, o powojennym życiu lwowiaków za kordonem, o egzystencji Polaków w ZSRR. No i że tajemnica pochówku gen. Tadeusza Jordana Rozwadowskiego (dla wielu autora zwycięstwa w bitwie warszawskiej) zostanie rozwiązana¹⁰. Może w to ostatnie powinno włączyć się państwo polskie? Wydaje przecież miliony na absurdalne akcje typu tropienie antypolskich wątków w serialach Netfliksa, mogłoby więc wesprzeć poszukiwanie prawdziwego miejsca pochówku jednego z bohaterów wojny 1920 roku.

Kresy. Ars moriendi pokazuje umiowanie polskich Kresów. Tam, gdzie przez setki lat rozwijało się i kwitło polskie życie i polska kultura, w wyniku drastycznych zmian politycznych pojawiało się obce państwo, w dodatku wrogo nastawione do polskości (choć nie od razu, ale to zupełnie inna historia, warta odrębnej opowieści). Od pewnego momentu polskość i Polacy zostali uznani za element wrogi i szkodliwy, który należy usunąć. Odtąd rozpoczęły się represje trwające w różnych formach przez wiele lat. Ich celem było odpolszczenie tych terenów, czystka etniczna, która miała na stałe zmienić strukturę narodowościową. Kolejne jej etapy opisały w książce Agnieszka Rybak i Anna Smółka. Godne podziwu jest jednak to, że po tylu prześladowaniach, wywózkach i czyszczeniach na dawnych Kresach wciąż mieszkają Polacy i wciąż widoczne są ślady polskości.

¹⁰ A może czytelnicy „Cracovia–Leopolis” mają jakieś informacje na ten temat?

Katarzyna Frankowiak

„Portret aktorki. Moje dzieciństwo za kulisami teatru”

Znane postaci kultury polskiej

Od dawna chciałam opisać swoje dzieciństwo, które dzięki zrządzeniu losu po części upłynęło za kulisami teatrów Wrocławia i Olsztyna. To miał być główny temat mojej książki. Jednak, kiedy odeszła mama i zapoznałam się szczegółowo z dokumentami, jakie po sobie pozostawiła, zrozumiałam, że nie powinnam ograniczyć się jedynie do moich dziecięcych i młodzieńczych przeżyć związanych z teatrem. Powstała więc książka o życiu i pracy scenicznej Danuty Koryckiej – aktorki, mojej mamy. Wśród pamiątek rodzinnych i teatraliów jest wiele takich, które dotyczą znanych osób. Prezentowany tekst napisałam w oparciu o moją książkę. Jednym z głównych wątków książki jest chęć upublicznienia tych bezcennych dokumentów. Zadałam sobie wiele trudu, aby przejrzeć górę teatraliów, zdjęć prywatnych, listów, a następ-

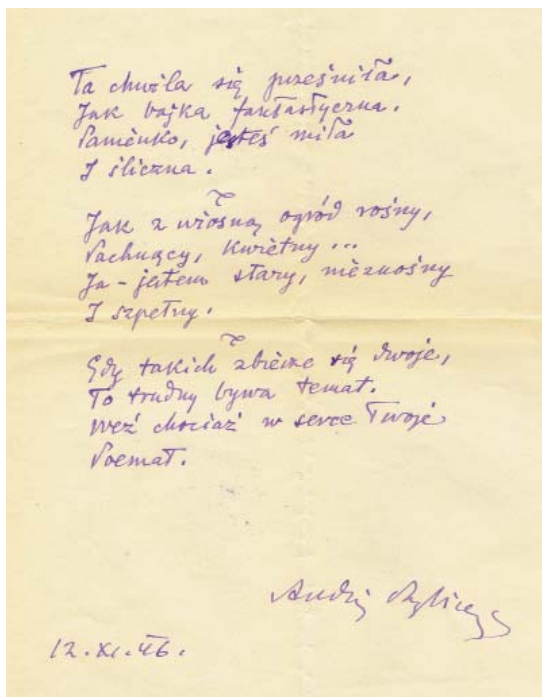
nie podjąć decyzję, co powinno znaleźć się w książce. Chcę wierzyć, że wybrałam rzeczy najcenniejsze i właściwe. Te 196 zdjęć ilustrujących *Portret aktorki. Moje dzieciństwo za kulisami teatru* to jedynie wierzchołek góry lodowej posiadanych materiałów.

Danuta Kucka urodziła się 24 stycznia 1927 roku we Lwowie. Wraz z rodzicami i siostrą Alą mieszkała przy ulicy Zielonej. Jako niespełna trzynastoletnia dziewczynka – 1 stycznia 1940 r. – postanowiła pisać „Dzienniczek”. Była w tym zamiarze bardzo konsekwentna – pisała codziennie do lipca 1945 r., do czasu kiedy wraz z zespołem Teatru Polskiego wyjechała do Katowic. „Dzienniczek” był bardzo przydatny przy pisaniu *Portretu aktorki...* W zamieszczonych poniżej cytatach często pojawiają się będą autentyczne wypowiedzi bohaterki mojej książki oraz osób przez nią przywołanych. Po roku 1945 i wyjeździe ze Lwowa zapiski były już mniej regularne, dotyczyły tylko bardzo ważnych wydarzeń i przeżyć. W roku 2020 udało mi się opracować i wydać drukiem pierwszy rok wojennych zapisków mojej mamy. Książka nosi tytuł *Dzienniczek. Rok 1940*.

Bardzo wczesnie objawiły się zdolności aktorskie Danusi Kuckiej, szlifowane w Sodalicii Mariańskiej pod kierunkiem znanych aktorów Polskiego Teatru Dramatycznego takich jak Tadeusz Surowa (ur. w 1911 w Krakowie – aktor, absolwent Konserwatorium w Krakowie w klasie skrzypiec). Wystawiane tam były między innymi utwory Andrzeja Rybickiego (ur. w 1897 we Lwowie), dramaturga, prozaika, poety i tłumacza, który posiadał wspaniały talent rymotwórczy i improwizatorski. Jego utwory poetyckie w większości nie zostały nigdy opublikowane, część zaginęła, a to, co pozostało, przechowywują w postaci rękopisów biblioteki: Narodowa, Ossolineum i Jagiellońska. Pojawia się też



Danuta Kucka w 1946 roku



postać ówczesnego dyrektora Teatru Polskiego we Lwowie – Bronisława Dąbrowskiego (ur. w 1903 r. w Bielicach – Besarabia).

Pierwsze występy

„Wróćmy do pierwszych publicznych występów Danusi Kuckiej. Po recytacjach na szkolnych uroczystościach przyszedł czas na inscenizacje przygotowywane w Sodalicii Mariańskiej pod okiem profesjonalnych aktorów. Na cieniutkich bibułkach wklejonych do dziennika zachowały się programy tych występów. Jasełka odbyły się 26 stycznia 1944 roku o godzinie 14.30. Utwory Fryderyka Chopina grała prof. Borowiczowa, wiersz *Lawina* Henryka Zbierzchowskiego recytowała Danuta Kucka, a następnie młodzież przedstawiła *Jasełka* Andrzeja Rybickiego. W rolę Maćka wcielił się aktor teatralny Tadeusz Surowa. Kolejny wieczór artystyczny miał miejsce 6 lutego 1944 roku o godzinie 17.00. Danusia Kucka deklamuje *Głoszę św. Teresy* Krasińskiego. Wśród wykonawców są Tadeusz Surowa, chór i młodzież.

I jeszcze *Misterium wielkopostne* zaprezentowane 25 marca 1944 o godzinie 9.30. W programie *Stabat Mater* Rossinie-

go i inscenizacja *Niewiast jerozolimskich* A. Rybickiego. W roli Aglai – niewidomej Greczynki – Danuta Kucka. Na jednym z występów był ówczesny dyrektor lwowskiego Państwowego Teatru Dramatycznego Bronisław Dąbrowski.

Chciałabym zwrócić uwagę na autora *Jasełek* – Andrzeja Rybickiego. To postać nietuzinkowa i niejednoznaczna, dla mnie trudna do określenia. Na pewno był poetą, choć – jak przeczytałam – większość jego twórczości pozostaje w rękopisach, w zbiorach szacownych bibliotek. Wśród rodzinnych pamiątek zachowało się kilka odręcznie pisanych wierszy specjalnie dla Danusi¹.

Teatr Polski we Lwowie

„Z zajęć w Sodalicii Mariańskiej już niewielki krok do prawdziwego teatru dramatycznego. Tu pojawia się osoba, już wcześniej wymienionej, znanego aktora Tadeusza Surowy, który przygotowywał wraz z młodzieżą inscenizacje i sam w nich występował. Dzięki skrupulatnym zapiskom „Dziennika” będziemy mogli na chwilę wejść do teatru lwowskiego zaraz po wojnie, poczuć atmosferę tego miejsca, usłyszeć toczące się tam rozmowy i poznać myśli siedemnastoletniej Danusi Kuckiej z początku jej przygody z teatrem.

25 sierpnia 1944 roku pisze:

Wiem, że jestem bardzo dziewczęca gdy śpiewam: „Zielony kapelusik z czerwonym piórkiem, / Będziemy mieli domek z małym podwórkiem”. Ale zbyt prędko pryska urok. Nagle przypominam sobie, że mam już 17 lat – że jest wojna, że życie nie jest snem, że nie mam się w co ubrać.

A pod datą 30 sierpnia znajdujemy wzmiankę o tym, że Tadeusz Surowa kazał jej koniecznie przyjść do teatru. Pojawiła się tam 31 sierpnia 1944 roku:

Nie, wcale nie przyjęli mnie od razu. W ogóle byłam tak onieśmielona, że nie wiedziałam, czy przemówię słowo. Aktualnie była przerwa (...) pierwszego dojrzałam Młodnickiego. Na mój widok podeszli do mnie z Tadeuszem i podali mi ręce. (...) Wszystko tak oficjalnie – P. Dąbrowski przyjął mnie w dyrekcji i od razu przystąpił do rzeczy: „Sprawa jest o tyle skomplikowana, że teraz przeprowadzamy redukcję aktorów

¹ Cytat z rozdziału *Lwów*, s. 31–32

zawodowych więc przyjęcie pani mogłoby być źle widziane – w każdym razie proszę nigdzie się nie angażować, bo pani może być i będzie u nas w teatrze (...) Wysłałam mniej więcej zadowolona”².

* * *

Kiedy Danusia została przyjęta do prawdziwego teatru i równocześnie uczęszczała do studia teatralnego, jej nauczycielem był Aleksander Bardini (ur. 1913 w Łodzi), wspaniały aktor, reżyser i pedagog.

„A kiedy ponownie tam poszła 4 września 1944 roku okazało się, że od następnego dnia może chodzić na lekcje do Studia Dramatycznego przy Teatrze Polskim we Lwowie. To Zofia Patryn, którą znała, przedstawiła ją wszystkim. Píše, że źle się czuła w towarzystwie wyelegantowanych pań i panów: *Pomyślałam, że jestem źle ubrana, że lepiej ubrać się nie będę mogła, że... no nie wiem, czy tutaj jest dla mnie miejsce?* Zdaje sobie sprawę z tego, jak trudno będzie jej połączyć naukę z teatrem, że z czegoś będzie musiała zrezygnować. Tymczasem magia tego miejsca i ludzi działa. Kilka dni później dodaje: *Jestem zachwycona lekcją z Bardinim. Najpierw, kiedy było dziś z koleżankami i kolegami moje poznanie pierwsze i powiedziałam im wiersz, to zawyrokował, że jestem bardzo interesującą osobką (naturalnie w sensie scenicznym), ale w dykcji mam poważne mankamenta*³. Aleksander Bardini był wspominany przez mamę jako świetny pedagog, wspaniały aktor i ciepły, dowcipny, bardzo inteligentny człowiek. Po latach podobnie będzie mówiła też o innym nauczycielu i aktorze – Aleksandrze Sewruku, ale nie wyprzedzajmy faktów”⁴.

„W pewien poniedziałek, 30 października, wybrali się razem do Teatru Miniatur. Wtedy zobaczył ich Bardini.

Wracałam z Bardinim i robił mi wymówki:

– *Jak można, tamten w tęsknocie pewnie wygrywa jakieś trele, a ta tutaj znów w objęciach. (–) Jak pani przyszła do teatru, to myślałam że do trzech nie umiesz zliczyć, a teraz to masz psiakrew opinię uwodzicielki.*

² Cytat z rozdziału *Lwów*, s. 32–33.

³ Cytat z rozdziału *Lwów*, s. 33.

⁴ Cytat z rozdziału *Lwów*, s. 33.

– *Tak? No więc od dzisiaj ignoruję wszystkich mężczyzn.*

Śmiał się. – No wie pani, po cóż popadać nagle z jednej skrajności w drugą. Tylko dam pani dwie rady, pani Danusiu: 1. Niech pani robi tak, żeby pani było dobrze. 2. Niech pani nie zajdzie w ciążę.

*Teraz wiem... To jest Teatr*⁵.

* * *

We Lwowie Danusia poznała też Romana Cieślewicza (ur. w 1930 r. we Lwowie), autora jej ekslibrisu – późniejszego współtwórcę polskiej szkoły plakatu, który był kolegą siostry Ali. W rodzinnym archiwum zachowały się młodzieńcze prace tego artysty, w większości dedykowane właśnie Ali Kuckiej. Na marginesie dodam, że moja mama była też uzdolniona plastycznie – namalowała kilkanaście akwarel i rysunków, które po części ilustrują obie książki. Pisała także wiersze, kilka z nich znalazło się również na kartach *Portretu*... W swej książce tak piszę o ich znajomości:

„Przy okazji plastycznych skłonności rodzinnych muszę wspomnieć o kimś, kto ze Lwowa poprzez Opole i Kraków wyruszył w szeroki świat i zdobył międzynarodową sławę jako twórca plakatu. Do końca życia tęsknił do swojego rodzinnego miasta. Jego przyjaciele mówili, że był chory na Lwów.

Już wcześniej wspominałam o niedostatku, w jakim przyszło żyć rodzinie we Lwowie. Było biednie, szaro, nie cieszyły święta, a dni urodzin i imienin miały domownikom powszednio, bez echa. Danusia zdobyła w jakiś sposób pieniądze i kupiła swojej siostrze oprawny w szare płótno pamiętnik z błękitnym chabrem. Na pierwszej stronie jest dedykacja: Kochanej Alusi w dniu 20 III 1940 Siostra Danka. Wśród niewielu pamiętników, jakie zachowały się po mojej ciotki Ali, ten pamiętnik wygląda tak, jakby czas nie miał do niego dostępu. Kartki trochę pożółkły, ale oprawa niemal nietknięta. Obok koleżanek i kolegów pod datą 25 XII 1943 wpisał się Romek C. Na rysunkach przedstawiających dziewczynkę wróżącą sobie z płatków kwiatu i chłopca na drewnianym koniku jest już pełny podpis: Roman Cieślewicz. Przy przeglądaniu korespondencji udało mi się

⁵ Cytat z rozdziału *Lwów*, s. 35.



odnaleźć kilka młodzieńczych prac Cieśliewicza wykonanych specjalnie dla Ali, która sądząc z treści listów, była mu bardzo bliska. Ta sympatia ma swoją kontynuację po przyjeździe do Polski⁶.

* * *

Po ewakuacji Teatru Polskiego do Katowic w tamtejszym Teatrze Śląskim spotkała swojego rówieśnika Tadeusza Łomnickiego, który urodził się w Podhajcach blisko Lwowa – oboje grali w *Dwóch teatrach* Jerzego Szaniawskiego. Spotkanie to zaowocowało przyjaźnią na całe życie. Ich drogi artystyczne rozeszły się, ale pisali do siebie i zachowało się wiele listów Łomnickiego do mamy. W jednym z nich pisze o przygotowaniu prapremiery swojej sztuki pt. *Noe i jego menażeria* w Teatrze Starym w Krakowie. Kiedy po latach kręcił we Wrocławiu filmy, bywał często u nas w domu i pamiętam go bardzo dobrze. Tadeuszowi Łomnickiemu poświęciłam oddzielny podrozdział w rozdziale pt. *Mój Wrocław*:

„Pierwszy, z odnalezionych przeze mnie listów, datowany jest 18 IX 1948 roku i wysłany do Bydgoszczy, gdzie przeniosła się z Katowic Danuta Kucka. Jak wcześniej wspomniałam, Łomnicki po jednym katowickim sezonie wrócił do Krakowa. Z listu wynika, że znał moją ciocię Alę, która w pewnym momencie była również zainteresowana teatrem, a on zobowiązał się jej pomóc. Co z *Twoją Siostrzyczką* – dlaczego nie zgłosiła się do mnie – czyżby zrezygnowała już z kariery teatralnej? A może jest u Ciebie. Może się obraziła na mnie – gubię się w domysłach – zatem daj mi jakąś odpowiedź. Po prostu chcę wiedzieć. Dziewczyna była tak zapalona do teatru i aktorstwa! Dalej pyta o Bydgoszcz – jak przebiegła podróż i czy już coś gra lub przygotowuje. Z dalszych pytań o stan duszy wynika, że był wtajemniczony w rozterki miłosne Danusi. Stara się bagatelizować trochę te uczucia i skierować jej myśli na pracę: *A żeby być twórczym, a żeby osiągnąć maximum ludzkiej wydajności trzeba być potężnym egoistą – egoistą wobec siebie samego.* (–) *Ale myślę, że to, co powiedziałem w Zakopanem, pokrywa się z tym, co piszę obecnie.* (–) *napisz mi otwarcie, co Cię gnębi i niepokoi.* Tak więc spotkali się podczas opisywanych już przeze mnie wakacji w Zakopanem. Na karteczce z datą 17 VIII 1948 pisze, że był i nie zastał. Jutro idzie na Orlą Perć o 5 rano. Obiecuje, że pogadają solennie w niedzielę.

Korespondencja między Łomnickim a moją mamą trwała przez lata. Informował przede wszystkim o swojej pracy. Z listów wynika, że był bardzo wrażliwy i odpowiedzialny. W październiku 1948 roku pisze między innymi: *Obecnie jestem w stadium wyczekiwania premiery „Noego”* (–) *Wyobrażasz sobie, co ja przeżywam. Chodzę na próby prawie codziennie. To może być albo b. piękny rewelacyjny spektakl albo zupełne fiasko. Są tylko dwie ewentualności.* Mowa o debiucie dramatopisarskim Łomnickiego, sztuce pt. *Noe i jego menażeria*, wyreżyserowanej przez Romana Zawistowskiego z udziałem Gustawa Holoubka i Haliny Miłkołajskiej. A dalej w tym samym liście pisze o roli Puka w *Śnie nocy letniej* Wiliama Szekspira: *Czasem mam małe chwile, kiedy czuję się dobrze, a przeważnie po prostu lęk i wstręt czuję przed wejściem na scenę. Naturalnie w czasie akcji gdzieś się to zatracą.*

⁶ Cytat z rozdziału *Lwów*, s. 26–28.

Rozgłośni Polskiego Radia w Bydgoszczy. Tam zaczynał swoją karierę. Razem też prowadzili rewię mody w tamtejszej Resursie Kupieckiej. Tak opisałam ich znajomość:

„Pisząc o Bydgoszczy, trudno nie wspomnieć o koledze, z którym występowała Danusia Kucka w radio i na estradzie. Jeremi Przybora pracował wówczas w rozgłośni bydgoskiej Polskiego Radia przy ulicy Gdańskiej do czerwca 1948 roku i tam napisał ponoć swój pierwszy poemat satyryczny do gazetki, którą nazwał „Organ Wiszący”. Tekst nie zachował się w całości, ale zapoczątkował publiczną twórczość poety. Przybora był najpierw spikerem, a następnie kierownikiem literackim bydgoskiego radia. Programy nadawane były na żywo (wiadomość z internetu). Poza audycjami radiowymi, które często wspólnie nagrywali, wystąpili razem podczas rewii mody, zorganizowanej przez Ligę Kobiet. Impreza miała miejsce 30 listopada 1947 o godzinie 17.00. Jedną z gazet („Ilustrowany Kurier Polski”) tak zapowiada to wydarzenie kulturalne Bydgoszczy: *Rewia będzie wszechstronną. Zobaczymy więc także i modę męską, którą zaprezentują panowie: Mieczysław Wielicz, Kazimierz Wichniarz i Jeremi Przybora. Pokazy łączyć będzie tryskająca humorem i talentem konferansjerka, którą poprowadzą pp.: artystka Teatru Miejskiego Danuta Kucka i znany z radia – Jeremi Przybora, który również napisał tekst konferansjerki.* Tak więc Jeremi Przybora wystąpił w potrójnej roli – autora, modela i prowadzącego rewię. Następna zapowiedź imprezy w tej samej gazecie ukazała się 24 listopada i była ilustrowana karykaturami obojga. Szczegóły współpracy Danuty Kuckiej i Jeremiego Przybory poznałam dopiero z wycinków prasowych. Wcześniej wiedziałam tylko, że pracowali razem w radiu. Pamiętam, że Mama mówiła o nim zawsze z szacunkiem należnym postaci nietuzinkowej. Kolejne premiery Kabaretu Starszych Panów były wyczekiwane z niecierpliwością. Jeremi Przybora prezentował ten rodzaj intelektualnego humoru, który Mama ceniła najbardziej – lekkość, finezja, niedopowiedzenie”⁹.

* * *

Inną ważną postacią w życiu Danusi był Henryk Szletyński (urodzony w Homlu na Białorusi w 1903 r.). To właśnie jemu zawdzięczała mama pracę w Teatrze Polskim we Wrocławiu. Był mentorem i opiekunem młodziutkiej aktorki i w pełni doceniał jej zdolności. Stawał też w jej obronie i pomagał wyjść na prostą z trudnych sytuacji.

„Tymczasem, wspominany już kilkakrotnie Henryk Szletyński zaproponował pani Kuckiej współpracę jako dyrektor scen wrocławskich. Nastąpiła wymiana korespondencji. Poza listami od Szletyńskiego zachowały się brudnopisy listów Danusi, która pisze o korzyściach, artystycznych wynikających z pracy w teatrze kierowanym przez taką osobowość, ale ponieważ ma na utrzymaniu matkę i siostrę, ubiega się o mieszkanie dwupokojowe i gażę w wysokości 45 tysięcy. Po listownych pertraktacjach dochodzą do porozumienia i nowy sezon 1949/1950 zaczyna Danuta Kucka we Wrocławiu”¹⁰.

* * *

We Wrocławiu od 1949 roku Danuta Kucka występuje już pod nazwiskiem Korycka. Autorem pseudonimu był wspomniany wcześniej Aleksander Bardini. Na deskach Teatru Polskiego zagrała między innymi w *Człowieku z karabinem* Nikołaja Pogodina u boku niezapomnianego Ludwika Benoit pochodzącego z Wołkowyska na Białorusi, aktora charakterystycznego. O tym przedstawieniu rozpisowały się gazety. Wszyscy chcieli przypodobać się ówczesnej władzy. Takie czasy... Tak napisałam o tym na łamach swej książki:

„Kolejna rola to *Nadzieжда w Człowieku z karabinem* Nikołaja Pogodina w reżyserii Jakuba Rotbauma. Premiera tej sztuki miała miejsce 1 maja 1952 roku i określona została przez Wojciecha Dzieduszyckiego mianem wielkiego wydarzenia teatralnego. Posypał się grad entuzjastycznych recenzji. Nadzwyczajność spektaklu polegała na tym, że pierwszy raz na polskiej scenie pojawiły się razem sylwetki Lenina, w którego wcielił się Feliks Żukowski, oraz Stalina grane go przez Władysława Dewoynę. Kiedy dziś oglądam zdjęcia, myślę, że dzięki podobieństwu obu aktorów do wodzów Rewolucji Paź-

⁹ Cytat z rozdziału *Bydgoszcz*, s. 65–67.

¹⁰ Cytat z rozdziału *Bydgoszcz*, s. 69.



dziennikowej i wspaniałej charakteryzacji, wrażenie musiało być piorunujące. W roli tytułowej *Człowieka z karabinem* wystąpił Ludwik Benoit. Do żadnej z opisywanych sztuk nie mam tak bogatej dokumentacji. We wspomnianej już recenzji Wojciecha Dzeduszyckiego zamieszczonej w „Słowie Polskim” (brak numeru i daty) znalazłam fragment dotyczący Nadii: *A jakże piękną, jak żywą i prawdziwie wzruszającą postać Nadieżdy, żony Szadrina dała Danuta Korycka*. „Wrocławskie zwycięstwo *Człowieka z karabinem*” to tytuł kolejnej recenzji autorstwa Tadeusza Lutogniewskiego („Sprawy i Ludzie” 10–11 V 1952).

I tam również Nadia Danuty Koryckiej jest według autora wzruszająca, ale przede wszystkim niezwykle realistyczna. ...*sukcesów aktorskich jest we wrocławskim przedstawieniu znacznie więcej niż dotychczas omówione. Wśród nich trzeba wymienić przede wszystkim niezwykle realistyczną, naprawdę wzruszającą interpretację roli*

żony Szadrina, Nadii przez Danutę Korycką; pełną młodzieńczej werwy i szczerości postać młodego marynarza-rewolucjonisty w wykonaniu Stanisława Jasiukiewicza. (To aktor, którego mama ceniła szczególnie i zachwycała się jego późniejszymi kreacjami.) Ale to nie koniec – ten sam Tadeusz Lutogniewski na łamach „Wolności” z dnia 30 maja 1952 roku pisze: *Do wybitnych sukcesów aktorskich trzeba też zaliczyć interpretację roli petersburskiego robotnika-rewolucjonisty Czibisowa przez Adolfa Chronickiego, Nadii przez Danutę Korycką*. W „Przyjaźni” z 6 VII 1952 roku tekst T. Lutogniewskiego tym razem pod tytułem „Człowiek z karabinem na scenie Teatru Polskiego we Wrocławiu” bogato ilustrowany świetnymi zdjęciami z przedstawienia. Znużonemu czytelnikowi przypominam, że to wszystko działo się w 1952 roku, stąd wybór sztuki i nagłośnienie tego wydarzenia. Oczywiście aktorzy na pewno dali z siebie wszystko i byli przekonujący realistyczni. O Ludwiku Benoit moja mama zawsze mówiła jako o jednym z najlepszych aktorów, z którymi przyszło jej współpracować. Jakub Rotbaum uhonorowany został nagrodą państwową właśnie za realizację *Człowieka z karabinem*”.¹¹

* * *

W latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku Teatrem im. Stefana Jaracza w Olsztynie zarządzał Aleksander Sewruk (urodzony w miejscowości Kornyn na Ukrainie) – wspaniały organizator i aktor. Mama partnerowała mu w kilku przedstawieniach. Mówiono nawet, że była jego ulubioną aktorką. Dzisiaj Teatr w Elblągu nosi jego imię, a w Olsztynie działa Studio Aktorskie im. Aleksandra Sewruka. Pamiętam tę budzącą respekt postać. Pamiętam też większość świetnych olsztyńskich przedstawień z tego okresu.

„Trudno powiedzieć, czy to Aleksander Sewruk, poszukując aktorów do zespołu olsztyńskiego teatru, wysłał jakiś sygnał do Wrocławia, czy mama i ojczym, szukając

¹¹ Cytat z rozdziału *Babcia*, s. 87–88.



nowego miejsca, wybrali Olsztyn i wysłali swoją ofertę. Zachowały się listy od pana dyrektora dotyczące naszego przyszłego mieszkania w Olsztynie. Od nowego sezonu mieli grać w Państwowym Teatrze Dramatycznym im. Stefana Jaracza, który – jak się okazało – miał dwie bazy: Olsztyn i Elbląg. Nasze wrocławskie mieszkanie zostało wynajęte z tą myślą, że ja kiedyś wrócę do Wrocławia, aby tam mieszkać i studiować¹².

* * *

Ludzie związani z Kresami w dużej mierze współtworzyli kulturę w Polsce po II wojnie światowej. W prezentowanych cytatach pojawiła się cała plejada znanych osób związanych z teatrem.

Portret aktorki. Moje dzieciństwo za kulisami teatru to opowieść o matce, aktorce i kobiecie. Znajdą w niej Państwo też anegdoty związane z moją obecnością za kulisami teatrów, co sygnalizuje podtytuł. Zamieściłam także pamiątki rodzinne, które nie dotyczą teatru. Opublikowałam dokumenty ilustrujące walkę członków mojej rodziny o odzyskanie niepodległości w 1918 i 1920. Mój dziadek Stanisław Kucki był obrońcą Lwowa, a wujek mojej mamy Stanisław Nawrocki zaginął podczas walk z bolszewikami

¹² Cytat z rozdziału *Mój Wrocław*, s. 136.

w 1920 r. Można też znaleźć w *Portrecie...* wiadomości dotyczące trudów zawodu aktorskiego poparte wypowiedziami znanych współczesnych aktorów, między innymi Mariana Opani.

Książka napisana została w układzie chronologicznym. Pierwszy rozdział nosi tytuł *Lwów* i zawiera wiele dokumentów związanych z tym miastem. W tytułach następnym pojawiają się kolejne miasta na trasie scenicznej podróży Danuty Koryckiej. Są jednak dwa wyjątki od tych prawideł. Wśród rozdziałów pojawia się *Babcia* – tytuł, który burzy schemat. W jednym fragmencie książki zakłócona zostaje też chronologia. Tadeusza Łomnickiego znałam osobiście i dobrze go pamiętam, dlatego postanowiłam poświęcić mu oddzielny podrozdział w rozdziale *Mój Wrocław*. Ponieważ niektóre z postaci występują w książce wielokrotnie, miałam możliwość wybrania ciekawszych cytatów. Jednak opisywane osoby uszeregowane zostały w kolejności pierwszego spotkania z bohaterką *Portretu aktorki...*

Zachęcam do przeczytania zarówno *Portretu aktorki...*, jak i *Dzienniczka. Rok 1940*. Obie te książki stanowią ciekawą całość. W niniejszym artykule zasygnalizowałam tylko jeden z tematów. Chciałam zaprezentować kilka sylwetek znanych postaci kultury od strony unikalnych wiadomości i dokumentów.

Fotografie z archiwum rodzinnego autorki

Poniżej podaję hurtową cenę książek, które wysyłam na podany adres i proszę o uiszczenie należności dopiero po otrzymaniu przesyłki.

Katarzyna Frankowiak, *Portret aktorki. Moje dzieciństwo za kulisami teatru* – 32 zł

Danuta Kucka, *Dzienniczek. Rok 1940* red. Katarzyna Frankowiak – 29 zł

Koszt przesyłki – 4 zł

Zainteresowanych proszę o kontakt telefoniczny pod numerem **509 710 275** lub mailowym: **k.frankowiak@wp.pl**

Krótką historia teatrów lwowskich

Początki sceny lwowskiej sięgają XV w., gdy zespoły amatorskie znajdujące się przy szkołach prowadzonych przez duchownych urządzały z okazji wielkich uroczystości kościelnych lub z powodu przyjazdu do miasta jakiejś znanej osobistości przedstawienia na głównym rynku lub w innym miejscu. Organizowali takie występy jezuiti, później w ich ślady poszli pijarzy i teatyni. W XVII w. we Lwowie miał siedzibę teatr hetmana Rzewuskiego, jeden z kilku dworskich teatrów we wschodniej Galicji¹.

Lwowska tradycja teatralna, na równi z kulturą teatralną innych polskich, ukraińskich i europejskich miast, jest bardzo dawna. W stolicy Galicji mieszały się religie i kultury różnych narodów, kształtując wielkość i niepowtarzalność tego ośrodka miejskiego. „Lwów od zarania wieków zamieszkiwali przedstawiciele wielu narodowości, które współistniały, współżyły, współpracowały ze sobą, tworząc niezwykłą atmosferę konglo-

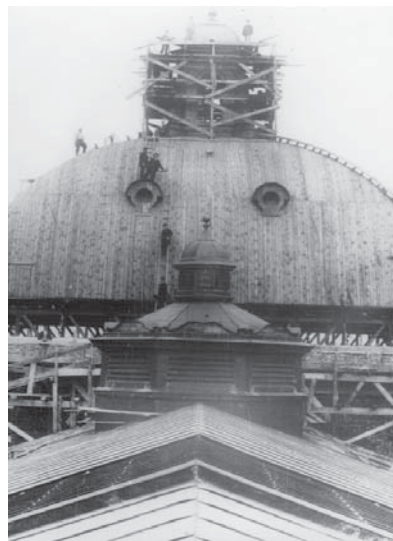
meratu różnych narodowych i wyznaniowych tradycji i kultur”². Ponieważ Lwów był i pozostaje miastem wielonarodowościowym, różne nacje determinowały rozwój jego życia teatralnego. W Kolegium Ormiańskim w 1666 r. miała premierę *Tragedia nabożna wierszami ormiańskimi i intermediami polskimi ułożona*³. Znacznie później powstał teatr ruski. Od 1889 r. funkcjonował teatr żydowski. O teatrze ukraińskim zaczęto wspominać pod koniec XIX w., gdy narody Galicji uzyskały prawo głosu i mogły się rozwijać nie tylko gospodarczo. Początkowo teatr ukraiński nazywano teatrem ruskim, chociaż z rosyjskim teatrem nie miał żadnego powiązania – wynikało to z nazwy, jaką przypisywali kiedyś Ukraińcom – Małorusini. Rok 1864 – był datą założenia ukraińskiego teatru, który powstał dzięki staraniom towarzystwa Ruska Besida⁴.

¹ A. Marszałek, *Cztery wieki lwowskiego teatru*, „Cracovia–Leopolis” 1996, z. 4 (8), s. 7.

² L. Mazepa, *Adam Didur we Lwowie*, Wrocław 2002, s. 167.

³ A. Marszałek, op. cit., s. 7.

⁴ L. Mazepa, op. cit., s. 168.



Budowa Teatru Miejskiego we Lwowie w latach 1896–1900. Wszystkie fotografie w niniejszym artykule pochodzą z domeny publicznej i ze zbiorów autorki



Przez dłuższy czas niezbyt dobrze wiodło się teatrowi polskiemu. Historię profesjonalnego teatru datuje się od 1780 r., kiedy zaczęli do Lwowa zjeżdżać z Warszawy aktorzy sceny narodowej (Truskolascy, Orwiński). W 1781 r. przyłączył się do tej trupy Wojciech Bogusławski. Najważniejszą rolę odgrywał początkowo teatr niemiecki, w którego gmachu w późniejszych czasach mieścił się teatr polski, podlegający mu przez prawie 100 lat⁵.

Lwów doczekał się pierwszego i jednego z największych budynków teatralnych w ówczesnej Europie dopiero w 1842 r. Jego fundatorem był hr. Stanisław Skarbek, który u cesarza uzyskał nowy przywilej teatralny, gwarantujący jednocześnie prawo istnienia sceny polskiej. A zatem teatr polski mógł działać, chociaż był uciskany przez władze teatru niemieckiego.

„Nie różami była usłana, droga rozwoju teatru w Polsce. Ale naprawdę, jeżeli o którejś z wielkich scen naszych, to przede wszystkim o scenie polskiej we Lwowie powiedzieć można bez przesady, że istotnie nie z roli ani z soli, ale z tego, co boli, urosła. (...) Przez długie dziesiątki lat nie miała ona swojego własnego kąta, bo jej go mieć nie było wolno, wyzyskiwana bezlitośnie i upokarzana boleśnie, tułać się musiała w gma-

chu, w którym butnie się panoszyła muza niemiecka. Karmić ją i utrzymywać musiała aż po pamiętny rok 1872, w którym znikła wreszcie z powierzchni Lwowa”⁶.

Zbudowana w latach 1837–1842 według projektu architektów Ludwiga Pichla i Johanna Salzmannna w stylu wileńskiego klasycyzmu sala mogła pomieścić 1460 osób⁷. Na początku XX w. budynek skarbkowski zmienił swój profil – został przekształcony w filharmonię. Wnętrze jednak nieznacznie zmieniono. W dwudziestoleciu międzywojennym radni musieli również do tego gmachu wprowadzić kino, ponieważ gmina borykała się z trudnościami finansowymi i nie mogła pozwolić sobie na utrzymywanie jeszcze jednego budynku, przynoszącego mały dochód. Po drugiej wojnie światowej teatr odzyskał swoje pomieszczenia, obecnie jest to Państwowy Akademicki Ukraiński Teatr Dramatyczny im. Marii Żankowieckiej przy ulicy Łesi Ukrainki.

Kolejna ważna data dla teatru polskiego we Lwowie to rok 1872, kiedy to dzięki staraniom Jana Dobrzańskiego i jego zwolenników założono scenę opery i operetki, wówczas jedyną w Galicji (Kraków jeszcze nie posiadał zespołu operowego)⁸.

W latach 1896–1900 wzniesiono, według projektu znanego architekta Zygmunta Gorgolewskiego, Teatr Miejski w stylu neorenesansowym (w tym samym czasie, zaledwie kilka lat wcześniej, zbudowany został gmach teatru w Krakowie, którego projektantem był Jan Zawiejski). Jego wnętrze ozdobili malowidłami i rzeźbami najwybitniejsi ówcześni artyści lwowscy: Tadeusz Popiel, Tadeusz Rybkowski, Zygmunt Rozwadowski, Walery Kryciński, Stanisław Dębicki, Julian Zuber, Aleksander Augustynowicz, Stanisław Batowski Kaczor, Stanisław Rejchan, Antoni Popiel i Piotr Wojtowicz. Kurtynę wykonał podobnie jak w teatrze krakowskim Henryk

⁶ H. Cepnik, W. Kozicki, op. cit., s. 5–6.

⁷ Zob. J. Biriulow, *Lwów. Ilustrowany przewodnik*, Lwów–Wrocław 2001, s. 30.

⁸ A. Marszałek, op. cit., s. 8. Zob. także: H. Cepnik, W. Kozicki, op. cit., s. 22–23. Za dyrekcji Jana Dobrzyńskiego i dzięki jego staraniom, z teatru skarbkowskiego usunięto nakazem cesarskim z dnia 20 października 1871 r. haniebny przywilej, obarczający fundację skarbkowską obowiązkiem utrzymywania sceny niemieckiej w pomieszczeniach teatru.

⁵ A. Marszałek, op. cit., s. 7. Także: H. Cepnik, W. Kozicki, *Scena lwowska 1780–1929*, Lwów 1929.

Siemiradzki⁹. Uroczyste otwarcie Teatru Miejskiego nastąpiło 4 października 1901 r. Obecnie nosi on nazwę – Teatr Opery i Baletu im. Salomei Kruszelnickiej, chociaż jeszcze zaledwie kilka lat temu jego patronem był Iwan Franko. Gmach ten do tej pory jest dumą i chlubą miasta.

W tym samym czasie (1898–1900) został wzniesiony (zaprojektowany przez architektów Michała Fechtera i Artura Schleyena) jeszcze jeden budynek teatralny, secesyjny gmach Teatru Colosseum, który mieścił się przy bocznej ulicy Słonecznej w pasażu Hermana (obecna ulica Kulisza 23–25A).

Na widowni mogło pomieścić się 1054 osób. W latach 30. XX w. znany był jako Teatr Nowości. Obecnie już nie istnieje. Ze względu na stan techniczny został zamknięty, a później po drugiej wojnie światowej w 1945 r. przerobiony na halę fabryczną. Aktualnie jest to zamieszкана kamienica i nic nie wskazuje na to, że kiedyś w tym budynku działał teatr¹⁰.

W roku 1918 po rezygnacji Ludwika Hellera teatr przeszedł pod zarząd miasta, do którego w kolejnych latach (do 1930 r.) należały również gmachy Teatru Małego i Teatru Nowości. We Lwowie działały także inne teatry.

Teatr ukraiński wówczas nie posiadał własnego budynku, przyczyną tego była pierwsza wojna światowa i polityczne zamieszki pomiędzy władzami miasta a ludnością ukraińską, przeszkadzające w zbudowaniu gmachu. Początkowo pojawiły się problemy z wykupieniem placu pod budowę. Odpowiednią kwotę zebrano już w 1903 r. Wykonano również projekt. Niestety teatr ukraiński pozostał w gmachu Muzycznego Instytutu im. M. Łysenki przy ulicy Kotlarewskiego 5 (obecnie plac Szaszkewycza). W latach 20. teatr nosił nazwę „Koooperatywy”, a dyrektorem był J. Stadnyk¹¹.

⁹ H. Cepnik, W. Kozicki, op. cit., s. 38–39. Zob. A. Marszałek, op. cit.; W. Bartiakow, J. Jarmasz, *Teatry lwowskie*, Lwów 1997.

¹⁰ Ibidem.

¹¹ S. Czarniecki, *Dzieje ukraińskiego teatru w Galicji (1864–1934)*, Lwów 1934; W. Bartiakow,



Teatr żydowski dawał przedstawienia przy ulicy Jagiellońskiej 11 (Hnatiuka). Działał pod dyrekcją S.M. Gimpla. Oprócz tej budowli, jak podają ówczesne gazety lwowskie, gmina żydowska dysponowała gmachem Domu Narodowego, powstałym w latach 1851–1864 na potrzeby wspólnoty ruskiej.

Z początkiem października 1925 r. we Lwowie rozpoczął działalność nowy eksperymentalny teatr „Semafor” przy ulicy Rejtana 5, mający na celu „szukanie nowych form scenicznych”¹². Teatr ten powstał jako zrzeszenie Związku Artystów Scen Polskich. Kierowali nim: Józef Mayen, Andy Kitschmann, Emil Zopotha, Konstanty Mackiewicz i Henryk Mund.

Wielkim powodzeniem u mieszkańców miasta w latach 30. XX w. cieszyły się różnorodne kameralne widowiska. Zazwyczaj urządzano je w salach kasyn, np.: „Katołickiego” (Rynek 1/30), „Skały” (Mickiewicza 28 – obecna Listopadowego Czynu), „Ogniska” (Sykstuska 42 – Doroszenki), „Rządowego” (Rutowskiego 8 – Teatralna), „Casino de Paris” (Rejtana – Kurbasa; jego sukcesorem w latach 20. XX w. był teatr „Bagatele”, obecnie mieści się tu ukraiński młodzieżowy teatr im. Ł. Kurbasa) i inne. Poza kasynami i klubami urządzano widowiska w parkach. Oprócz tego każdy wielki

J. Jarmasz, *Teatry lwowskie*, Lwów 1997.

¹² „Wiek Nowy” 1925, nr 7278.



Gmach byłego Teatru Małego

hotel miał specjalnie wyposażoną scenę¹³. Placówki wojskowe również posiadały sceny, czego przykładem było uroczyste otwarcie w dniu 17 lutego 1924 r. nowego Teatru Żołnierskiego (już czwartej placówki teatralnej prowadzonej przez żołnierzy)¹⁴.

W latach 20. XX w. Teatr Skarbka zamieniono na kino¹⁵, było to wówczas dosyć popularne i dochodowe przedsięwzięcie. Przeciwko temu wystąpiła kulturalna elita miasta. Salę w Teatrze Nowości też „wypożyczono” dla kina, co wzbudziło powszechne niezadowolenie publiczności¹⁶. „Kinoteatry” stanowiły poważne zagrożenie dla teatrów – oferowały stosunkowo tanie bilety i urozmaicony repertuar. „Kinoteatrów mnóstwo w różnych stronach miasta” – pisano w jednym z przewodników z epoki¹⁷. We Lwowie

wówczas działało 10 kin: Apollo, Palace, Lew, Kopernik, Marysieńka, Chimera, Fata Morgana, Avenue, Casino, Luna¹⁸.

Pod własnym zarządem funkcjonował jeszcze jeden teatr polski – Teatr Mały. Od 1925 do 1929 r. jego dzierżawcą i dyrektorem był Ludwik Czarnowski. Budynek znajdował się przy ulicy Gródeckiej 1/2 (teraz jest to ulica Gródecka 36; w chwili obecnej gmach należy do Wojskowego Teatru Dramatycznego Zachodniego Dowództwa Operacyjnego). W latach 30. teatr ten stanowił największą konkurencję dla teatrów miejskich¹⁹.

Lwów był również jednym z niewielu polskich miast, w którym drukowano nieprzerwanie czasopismo poświęcone teatrowi. Wychodziło ono systematycznie od 1921 do 1928 r. pod nazwą „Życie Teatralne”. Potem nazwę zmieniono na „Wiadomości Teatralne – Lwowskie Sceny Miejskie”. Zmienił się także charakter pisma. Bardziej przypominało ulotkę reklamową, z umieszczonymi niekiedy artykułami o teatrze. Pomysłodawca czasopisma Ludwik Czarnowski wydawnictwo zatytułował ostatecznie „Program Teatrów Miejskich we Lwowie”. Świetność czasopisma powróciła dopiero za dyrekcji Wilama Horzycy, ukazywało się wówczas jako „Scena Lwowska”.

Pierwsze lata po odzyskaniu przez Polskę niepodległości po pierwszej wojnie światowej były dla Lwowa wielką próbą zarówno z powodu utraty statusu stolicy Galicji, jak i walk z ludnością ukraińską i bolszewikami. Sytuacja ta wpłynęła zarówno na mieszkańców, jak i na teatr. Stefania Skwarczyńska widziała w tamtym Lwowie ośrodek żywego polskiego patriotyzmu. Wynikało to z poglądów lwowian, które niekiedy według Skwarczyńskiej były bliskie szowinizmowi. Nazywano to patriotyzmem „kresowym” lub po prostu „lwowskim”²⁰. Lwów nawet w naj-

¹³ W. Bartiakow, J. Jarmasz, op. cit.; J. Biriulow, op. cit.

¹⁴ „Gazeta Lwowska”, 22.02.1924.

¹⁵ Kino nazywano wtedy kinoteatrem.

¹⁶ „Wiek Nowy” 1928, nr 3.

¹⁷ M. Orlicz (oprac.), *Ilustrowany przewodnik po Galicji, Bukowinie, Spiżu, Orawie i Śląsku Cieszyńskim*, Lwów 1914.

¹⁸ Ponoć we Lwowie w tym czasie było więcej kin, ale miejscowe gazety – „Wiek Nowy”, „Chwila”, „Gazeta Poranna” – podawały zawsze tylko tę dziesiątkę. Zob. J. Biriulow, op. cit., s. 151.

¹⁹ Gazety lokalne oraz dokumenty archiwum regionalnego miasta Lwowa.

²⁰ S. Skwarczyńska, *Leona Schillera trzy opracowania teatralne „Nieboskiej Komedii” w dziejach inscenizacji w Polsce*, Warszawa 1959, s. 303.

cięższych czasach wojennych i powojennych nie wyparł się swego patriotyzmu, przejawiającego się w kulturze i postawie mieszkańców miasta.

Przedwojenny Lwów był jednym z głównych centrów polskiej twórczości teatralnej, szczególnie w okresie działalności Tadeusza Pawlikowskiego i Ludwika Hellera. Nieodłącznym elementem życia teatralnego była prasa, o której pisano wówczas: „Krytyka teatralna lwowska, bardziej na ogół obiektywna i rzeczowa niż w innych miastach polskich, zwłaszcza w stolicy, miała za złe zmieniającym się dość szybko kierownikom teatrów, że nie zdołali nawiązać do dawnej tradycji, pociągała ich do odpowiedzialności za degradację miasta, przejawiającą się we wszystkich dziedzinach, a więc i w teatralnej”²¹.

Wiele informacji o przeszłości polskiego lwowskiego teatru pozostaje nieznanymi lub są one fragmentaryczne. To, co pozostało w archiwach i bibliotekach, jest niekompletne lub niszczone na półkach. Wielu dokumentów nie udostępnia się z przyczyn technicznych lub z powodu niechęci przedstawiciela danej instytucji²². Pozostałości archiwum teatralnego, których nie wywieziono podczas drugiej wojny światowej, przechowywano w piwnicach Teatru Miejskiego (w dwudziestolecie międzywojennym Wielkiego). Niestety podczas prac rekonstrukcyjnych w latach 1977–1984 „przypadkowo” doszło do podtopienia piwnic²³. Pracownikom nie udało się niczego uratować. Dlaczego tyle cennych materiałów zostało zniszczonych bądź w najlepszym wypadku wywiezionych? Wiedza zawsze była darem. Czy tak jeszcze niedawną przeszłość można ocalić od zapomnienia?

²¹ Ibidem.

²² Walentyna Węgrzyn-Klisowska z Wrocławia na VII Międzynarodowej Konferencji Naukowej w Riaszewie w swoim wykładzie oświadczyła, że 650 jednostek archiwum teatru lwowskiego znajduje się w Katowicach, „Proscenium” 2003, z. III.

²³ Niniejszą wiadomość otrzymałam od pracownika teatru Wasyla Mychajłowycza.

Aleksandra Solarewicz

KRESY W BEZKRESACH SIECI

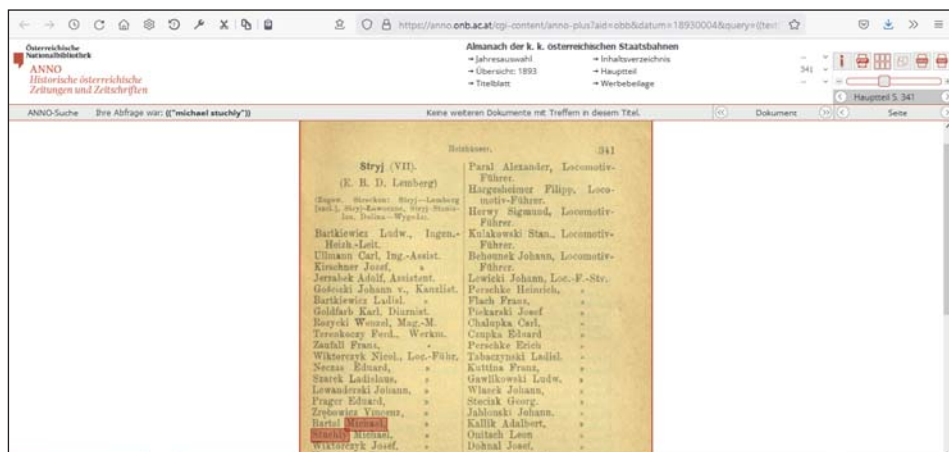
Koła skupiające mieszkańców dawnych miejscowości kresowych fizycznie się kurczą, ale wirtualnie kwitną. W internecie spotykają się już wnuki i prawnuki ekspatriantów i od nich można dowiedzieć się o ciekawych bazach danych na temat kresowych przodków.

Bazy danych mają to do siebie, że pojawiają się i znikają. Internet to kopalnia, można tu zyskać, ale i stracić czas. Jest kilka ogólnie znanych serwisów, jak Pradziad, czyli zdigitalizowane archiwum za-
bużańskie w Warszawie, FamilySearch.org, czyli metryki zeskanowane przez mormonów, czy też ukraińskie archiwum we Lwowie (usługi słono płatne). Tutaj chcę polecić kilka takich, które odkryłam niedawno, a ciągle są one dla mnie workiem bez dna.

Przede wszystkim **ogólna baza danych polskich archiwów państwowych**. Jej wyszukiwarka umożliwia „namierzenie” dokumentów, a często i samych skanów (odsyła więc też do Pradziada). Pozwala zorientować się, gdzie są rozproszone zbiory jednej kancelarii parafialnej albo dokumenty ekspatriacyjne dziadka. Filtr wyszukiwania pozwala na penetrowanie pod kątem zbiorów online www.szukajwarchiwach.gov.pl

Zasoby Ossolineum. Dyrektor Adolf Juzwenko uczynił rzecz genialną. Przeprowadził digitalizację zbiorów lwowskich oraz wrocławskich ZNiO i umieścił je w internecie. W tej chwili zdalnie można przeszukać cenne kolekcje, nie wyjeżdżając do Lwowa. Są tam różne różności: od metryk, również ormiańskich, przez inwentarze majątków (nazwiska poddanych!), listy, dzienniki podróży. Pliki dobrze zeskanowane, czasem mylące z opisu („nazwiska szlacheckie” z metryk są po prostu polskimi nazwiskami), więc warto je dokładnie przeglądać. <https://dbs.ossolineum.pl/kzcd/index1.php>

Państwowe archiwum w Wiedniu. Wyszukiwarka wskazuje, jakie dokumenty



dotyczące konkretnego nazwiska znajdują się w tutejszych zasobach. Po wpisaniu nazwiska pojawia się informacja co do osoby, ewentualnie zawodu i dat. Nie natknęłam się tutaj, jak dotąd, na skany dokumentów. Ale dobrze jest wiedzieć, gdzie ewentualnie zasięgnąć wiadomości. <https://www.archivinformationssystem.at>

Austriacka Biblioteka Narodowa. W jej wirtualnych zasobach znajdują się liczne skany czasopism i periodyków. Po wpisaniu w okienko wyszukiwania nazwiska trafiają się niespodzianki. Choćby w „Gazecie Lwowskiej” informacja o tym, że dziadek złamał rękę, ciocia miała sprzeczkę z sąsiadką i ta rzuciła w nią talerzem, a prababcia została odznaczona medalem... Są też np. wydawnictwa kolejowe, spisy obsady parowozowni, słynne *schematismusy*, czyli roczniki urzędników państwowych. Wyszukiwarka dokładnie lokalizuje nazwisko. <https://www.onb.ac.at/>

ARCHIWUM OFIAR NAZIZMU W BAD AARLOSEN

Jest to stacjonarne i wirtualne archiwum zawierające dokumenty dotyczące 17,5 miliona ofiar niemieckich zbrodni. W archiwum online znajduje się około 30 milionów dokumentów. Można tu znaleźć po nazwisku krewnych, po których ślad zaginęła w czasie

wojny. Bo „poszedł we wrześniu na wojnę i nigdy nie wrócił” – a on tymczasem trafił na przymusowe roboty... Są tu kartoteki z obozów koncentracyjnych, listy jeńców, ankiety polskich wyzwolenców, którzy po wojnie udawali się ze strefy okupacyjnej amerykańskiej na Zachód... Skany są dobrej jakości, wśród nich trafiają się fotografie. <https://collections.arolsen-archives.org/en/search/>

Narodowa ukraińska baza danych o represjonowanych. Rzecz jasna, w poczet ofiar wliczone są osoby narodowości polskiej, zamieszkujące Kresy. Kłopot leży w tym, że strona pisana jest po ukraińsku i nazwisko również trzeba wpisać w transkrypcji: <http://www.reabit.org.ua>

To są propozycje, które dają inspirację do dalszych poszukiwań. Linki i adresy przekazują sobie wzajemnie hobbyści, którzy łączą się na przykład na Facebooku. Różni pasjonaci sami tworzą, na własny koszt, indeksy metrykalne oraz bazy danych. Należy do nich na przykład strona <https://bazakolejarzy.pl/> i <http://kolejarze-online.pl>, gdzie pasjonaci gromadzą nazwiska przedstawicieli tego szanowanego przed wojną zawodu.

Niektórzy nieśmiało proszą o datki na pokrycie kosztów benedyktyńskiej pracy. I po trzykroć warto.

POEZJA

Marcin Hałaś

Cmentarz Łyczakowski, nieopodal grobu Marii Konopnickiej

Tu śpi historia.
Pod warstwą ziemi, kocem mchu.

Pod kurzem, liśćmi i śniegiem.
Zastygła w piaskowcu.

Twierdzą nam będzie
Każdy grób.

*Nim zabrzmi złoty róg
Kamienie mówić będą.*

Górka powstańców styczniowych (2)

*Z prochów naszych
powstaną mściciele*

po napisie pełzną
ślimaki

rdza trawi
rząd krzyży
królestwo ciszy
i mchu
kamień się kruszy

Powstaną

Profesor Stefan Banach

Podobno niektórych równań kreślonych
przez profesora Stefana Banacha na serwetach
w „Szkockiej” do dziś nikt nie potrafi rozwiązać.

Ale nawet on nie był w stanie wyprowadzić
wzoru Apokalipsy. Może dlatego widząc
czerwoną falę zalewającą siedem wzgórz

wołał tylko:

Noli turbare polis meos!



In memory

Józef Waguś (1929–2014), murarz, ze Lwowa, twarz pomarszczona i czerstwa jak pumeks, albo ciemny chleb w kolorze gliny. Ile nikotyny przeszło przez jego płuca, ile alkoholu zmielonego w pokornej pracy wątroby. Ile cegieł, zaprawy, ruchów kielni i potu na plecach, niczym w „Balladzie” Miłosza: *Pod obłokiem krzyczeli murarze, podciągali w górę nowe domy.*

Dzieciństwo, drewniana zabawka wystrugana przez ojca, pierwsza komunia, pierwszy pocałunek, pierwsza kobieta. Pierwszy dom, dziesiąty dom, setny dom – taka jest praca murarza, nie wiem, czy posadził drzewo, ale spłodził syna i córkę.

Szwagier mej babci, wujek Józek, spotykaliśmy w przelocie, na ulicy albo cmentarzu. I teraz przyszło zakończyć to wszystko, zatknąć wiechę na gmachu życia: syn umarł dwa lata temu, więc teraz jego – Józefa Wagusia, lat 85, zamieszkałego Beuthen O/S (w przekładzie na polski: Bytom, Górny Śląsk) – dopada śmierć.

Skrada się jak w wierszu z dzieciństwa: *Idzie rak nieborak...* Zachodzi ukradkiem, ma mocne szczypcy. Wujek Józek nie chce umierać w szpitalu. Umiera w domu, przykrywając oczy, czekając na to, co przyjść musi. *Idzie rak nieborak, idzie noc, idzie ból...*

Józef Waguś, murarz ze Lwowa, lat 85, dwa tygodnie przed śmiercią, leżąc w łóżku, bezbronny jak dziecko uśmiecha się znowu – jak dziecko. Ma spokój na twarzy, kiedy córka na starym adapterze odtwarza mu lwowskie piosenki: Z takim uśmiechem u Prusa umierał Ignacy Rzecki, subiekt z Warszawy, lat pięćdziesiąt kilka. Świat zmniejsza się do średnicy srebrnego pieniążka.

A my wciąż trzymamy w rękach szeleszczące

banknoty.

* * *

To miasto, które
zawstydziło Paryż,
bo nie jednego
tylko miało
Gavroche'a.

Lecz całe ich setki,
dziecięce figurki
w ogrodzie Politechniki,
wśród wzgórz Łyczakowskiego
Cmentarza, za rogiem
każdej kamienicy

Lwowski Gavroche
śmiał się prosto
w żółto-siną
twarz śmierci



Wspomnienia

Będąc rodowitym lwowiakiem, 14 kwietnia 1940 roku jako 5-latek zostałem wraz z rodzicami i dziadkami wywieziony do Kazachstanu. Władze rosyjskie w taki sposób pozbywały się wszystkich „niewygodnych” obywateli polskich (dziadek był sędzią, ojciec dyplomata). W czasie pobytu na wygnaniu cierpieliśmy głód oraz prześladowania. Dziadek i babcia nie wytrzymali tych warunków i zmarli na wygnaniu.

Ojciec, będąc konsulem polskim w Semi-pałatyńsku, po wyjściu Armii Polskiej dowodzonej przez generała Władysława Andersa z ZSRR został aresztowany przez NKWD i zmarł w kazamatach więziennych w Magnitogorsku.

W kwietniu 1946 roku, w ramach porozumienia między Polską a sowiecką Rosją, został zorganizowany transport Polaków do Polski, docelowo do Wrocławia, gdzie uczestnicy transportu mieli być zakwaterowani w opuszczonych ponemieckich domach. Niestety byłem w tym czasie bardzo chory i w związku z tym nie mogłem być przyjęty do transportu. Bardzo pomógł nam nasz gospodarz, były oficer armii carskiej (też zesłaniec z Moskwy), który sporządził drewnianą skrzynię, w której przemycono mnie do transportu jako bagaż. Wraz z mamą transport opuściliśmy w Krakowie, gdzie prawdopodobnie miała przebywać siostra mamy wraz z rodzicami po ewakuacji ze Lwowa w 1945 roku. Zostałem na dworcu z małym bagażem, a mama udała się do centrum w poszukiwaniu jakichś kontaktów. Będąc pierwszy raz w Krakowie, idąc do centrum, zobaczyła kościół Mariacki, gdzie chciała wstąpić, by się pomodlić. Jakaż była jej radość, gdy w drzwiach kościoła niespodziewanie spotkała swoją siostrę. Teraz wszystko potoczyło się pozytywnie. Zamieszkaliśmy na Starej Olszy we wspólnym małym mieszkaniu. Lata późniejsze spędziłyśmy w wynajętym mieszkaniu na Osiedlu Oficerskim. Po skończeniu studiów zootechnicznych i odbyciu stażu w Rolniczych Zakładach Doświadczalnych na Bielanach,



jako miłośnik zwierząt, a szczególnie ptaków zgłosiłem zamiar w 1967 roku zatrudnienia się w Krakowskim Ogrodzie Zoologicznym będącym wcześniej pod zarządem Zieleni Miejskiej Urzędu Miasta Krakowa. Dyrektorem zoo był wówczas Stanisław Czerny, do niedawna Prezes Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo Wschodnich, który doprowadził do utworzenia niezależnego przedsiębiorstwa jako Miejski Park i Ogród Zoologiczny w Krakowie. Po okresie próbnym zostałem zatrudniony w ZOO Kraków na stanowisku kierownika działu zwierząt, gdzie pracowałem do czasu przejścia na emeryturę w 2004 roku. Równocześnie jako działacz i sędzia kolarstwa w 1973 r. w Cardiff w W. Brytanii uzyskałem tytuł sędziego międzynarodowego Międzynarodowego Związku Kolarskiego UCI z siedzibą w Genewie. W 1977 roku zostałem powołany na członka Komisji Technicznej UCI, co dało mi możliwość uczestniczenia jako członka komisji odwoławczej (jury d'appel) we wszystkich mistrzostwach świata i olimpiadach, gdzie były rozgrywane konkurencje kolarskie. Tak więc brałem udział w Olimpiadzie w Moskwie w 1980 r. oraz w Olimpiadzie w Los Angeles w 1984 r. oraz we wszystkich mistrzostwach świata w kolarstwie do r. 1985. ▶

► Następnie do roku 2000 byłem delegowany jako sędzia główny na wyścigi narodowe, m.in. do Szwecji, Niemiec, Grecji, Włoch, Turcji, W. Brytanii, Polski (Wyścig Dookoła Polski).

Jako członek Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich staram się uczestniczyć czynnie w imprezach związanych ze Lwowem. Moim hobby jest filmowanie ważnych imprez, szczególnie muzycznych. Bardzo związałem się z Zespołem Kresowym Chawira i występującymi w nim artystami. Bardzo sobie cenię współpracę z kierownikiem i reżyserem zespołu panem Karolem Wróblewskim, któremu staram się dostarczać moje amatorskie nagrania filmowe z organizowanych przez niego koncertów.

Mam nadzieję że okres pandemii wreszcie się skończy i spotkania Towarzystwa oraz imprezy o tematyce lwowskiej i kresowej będą mogły znów się odbywać.

Janusz Kuciński

Michał Kawęcki

Piłkarska wizyta Lwowian na Górnym Śląsku w 1920 roku

W dniach 20 i 21 grudnia 1919 roku trzydzieści jeden klubów piłkarskich założyło Polski Związek Piłki Nożnej. Wśród uczestników zjazdu nie zabrakło przedstawicieli największych lwowskich drużyn: Pogoni i Czarnych. Na siedzibę związku wybrano Kraków, a piłkarską mapę Polski podzielono na pięć okręgów: krakowski, lwowski, łódzki, warszawski i poznański. Jedną z pierwszych decyzji nowo powstałego związku było wysłanie polskich piłkarzy na teren Górnego Śląska, celem pomocy

P O Ż E G N A N I A

W Warszawie 18 października 2021 r. zmarła **śp. profesor Anna Czekanowska**, wybitna polska muzykolog, wieloletni wykładowca i dyrektor Instytutu Muzykologii Uniwersytetu Warszawskiego. Urodziła się we Lwowie 25 czerwca 1929 r. jako córka Jana Czekanowskiego, antropologa, profesora i rektora Uniwersytetu Jana Kazimierza. We Lwowie uczęszczała do szkoły muzycznej Sabiny Kasparkówny. W 1952 r. ukończyła studia z muzykologii na Uniwersytecie Poznańskim pod kierunkiem Adolfa Chybińskiego (również wykładowcy UJK we Lwowie). Od 1957 r. Anna Czekanowska związała się z Instytutem Muzykologii UW, gdzie wykładała do 2005 r. Do znanych jej pozycji naukowych należą m.in. *Etnografia muzyczna. Metodologia i metodyka* (1971), *Kultury muzyczne Azji* (1981), a do wspomnień *Świat rzeczywisły – świat zapamiętany. Losy Polaków we Lwowie (1939–1941)* (2010).





Na zdjęciu: drużyny Pogoni i Czarnych Lwów w czasie wizyty na Górnym Śląsku w 1920 roku. W górnym rzędzie (od lewej): Gulicz, Scott, Batsch, Kmicieński, Chrypiak, Rudzki, Słonecki, Schrom. Drugi rząd (od lewej): Miller, Garbień, Kopeć, W. Kuchar, H. Bilor, Wójcicki, Karnecki, Marion. Trzeci rząd: (od lewej): Schwarz (Polonia Przemysł), Loth (Polonia Warszawa), T. Kuchar, R. Wacek, M. Bilor, Hipp, Darski. Siedzą (od lewej): Miciński, Hawling, Winnicki, M. Kuchar, Piotrowski, T. Kowalski

w organizacji ruchu sportowego oraz rozegrania pokazowych meczów, które miały propagandowo pomóc przed zbliżającym się plebiscytem¹.

W 1920 roku na Górnym Śląsku trwała walka o tożsamość narodową. Wobec ludności polskiej Niemcy stosowały terror i przekupstwo. Zarozumiałe i pewne siebie niemieckie gazety głosiły, iż w Polsce sport w ogóle nie istnieje. Lwowska ekspedycja miała pokazać, że jest inaczej. *Tym ludziom przyzwyczajonym do ciężkiej, znoјnej pracy*

*mogła zaimponować tylko siła, tylko zwycięstwo, oni musieli naocznie przekonać się, iż w walce na zielonym boisku potrafimy ich ciemężcom nie tylko sprostać, lecz nawet ich pobić*². Polski Komitet Plebiscytowy w Bytomiu od początku 1920 roku kierował do Warszawy wezwania, by wysłać na Śląsk sportowców, gdyż ci *mogą tu spełnić tak samo ważną rolę agitacyjną jak polski teatr, polskie odczyty, polskie zboże*...³

Na nadchodzące apele postanowili odpowiedzieć lwowianie. Latem 1920 roku stworzono we Lwowie dwie piłkarskie reprezentacje. Pierwsza – silniejsza, oparta była na zawodnikach lwowskiej Pogoni, których uzupełnili piłkarze Czarnych: Henryk Bilor, Stanisław Hawling i Romuald Kopeć. 26 czerwca 1920 roku lwowski team skazany na porażkę z bardziej doświadczonym nie-

¹ Plebiscyt na Górnym Śląsku (niem. Volksabstimmung in Oberschlesien) – głosowanie ludności dotyczące przyłączenia etnicznego pogranicza polsko-niemieckiego, które wyznaczono w 1919 roku w wersalskim traktacie pokojowym kończącym I wojnę światową. Plebiscyt przeprowadzony 20 marca 1921 roku był poprzedzony dwoma powstaniem ludności Górnego Śląska domagającej się przyłączenia regionu do Polski (powstania śląskie).

² *Pogoń Lwów 1904–1939. Księga pamiątkowa.*

³ Tamże.



mieckim zespołem, pokonał Dianę Katowice⁴ aż 5:0. Następne spotkanie rozegrane 29 czerwca miało największe znaczenie propagandowe. Polacy zwyciężyli w nim przy wielotysięcznej niemieckiej widowni 3:2 drużynę Beuthen 09⁵. Mecz był wyjątkowo zacięty i brutalny, zawodnik Czarnych Henryk Bilor w drugiej minucie drugiej połowy został zniesiony z boiska ze złamaną nogą. Po meczu piłkarzom podziękował Wojciech Korfanty⁶, który stwierdził, że zwycięstwo przyniesie *20 000 nowych głosów do wspólnej sprawy*⁷. Druga reprezentacja prawie w całości była złożona z piłkarzy I. Lwowskiego Klubu Sportowego. W pierwszym spotkaniu polski team wygrał z reprezentacją Sosnowca (10:1). Następnie pokonał reprezentację

Górnego Śląska 8:3 oraz zespół obwodu bytomskiego 8:1.

Po zwycięskiej wizycie lwowskich piłkarzy na Śląsku nastąpiła masowa dezercja sportowców polskich z niemieckich drużyn, a polskie kluby zaczęły powstawać jak grzyby po deszczu. Ośmiodniowa wyprawa na Górny Śląsk stała się chlubną kartą lwowskiej piłki nożnej. Była wypełnieniem patriotycznego obowiązku i świadectwem, jakie znaczenie odgrywa sport w podtrzymywaniu ducha narodu. Po zakończeniu piłkarskiej eskapady na Górnym Śląsku do Lwowa nadszedł list ze Związku Towarzystw Sportowych Okręgu Górnos Śląskiego. Jego treść świadczyła o sukcesie oraz o ogromnym znaczeniu lwowskiej wizyty: *Po ostatniej Waszej bytności sport polski o wiele się polepszył i dziś liczymy już 160 klubów. Na Górnym Śląsku wciąż o Was wspominają nie tylko polscy sportowcy, ale i niemieccy. (...) Górnos Ślązacy Was pokochali. Dla samego plebiscytu byłoby dobrze, żebyście tu jeszcze raz przyjechali...*

W lipcu 1920 roku reprezentacja Górnego Śląska przyjechała do Lwowa z rewizytą. W pojedynku ponownie górą byli Polacy. Zespół złożony z piłkarzy Czarnych i Pogoni zwyciężył gości 5:1.

MICHAŁ KAWĘCKI – założyciel i prezes Stowarzyszenia Sympatyków Czarnych Lwów. Autor wydanej w 2020 roku monografii klubu.

⁴ Diana Katowice – założony w 1905 roku niemiecki klub piłkarski. Mistrz Górnego Śląska z 1912 roku. Po wybuchu II wojny światowej i zajęciu Katowic przez władze niemieckie klub został rozwiązany za zbyt bliskie kontakty z drużynami polskimi.

⁵ Beuthener Spiel und Sport-Verein 1909 – założony w 1909 roku niemiecki klub piłkarski z Bytomia. Mistrz Górnego Śląska w latach 1914, 1920, 1921. Klub przestał istnieć w 1945 roku po przegranej III Rzeszy w II wojnie światowej i przyłączeniu reszty Śląska do Polski.

⁶ Wojciech Korfanty – polski przywódca narodowy Górnego Śląska, związany z chrześcijańską demokracją.

⁷ *Pogoń Lwów 1904–1939. Księga pamiątkowa.*

Walka KGB z przemytem we Lwowie na początku lat 90 XX w.

Burzliwe przemiany przełomu lat 80. i 90. XX w. sprawiły, iż sowieckie organy bezpieczeństwa boleśnie zderzyły się z nową rzeczywistością. Czekał, do tej pory przyzwyczajeni do gnębienia dysydentów i prześladowania potencjalnych wrogów władzy, stanęli nagle przed koniecznością zwalczania zdeterminowanych i doskonale zorganizowanych grup przestępczych.

Baza źródłowa

Tematyka działalności służb specjalnych oraz zwalczania przestępczości zorganizowanej do dziś dnia pozostaje jednym z najtrudniej uchwytnych źródłowo zagadnień w historii najnowszej. Do niedawna nieliczne informacje można było pozyskać jedynie ze wspomnień uczestników wydarzeń oraz oficjalnych statystyk dotyczących ilości popełnianych przestępstw. Sytuacja uległa zmianie w ostatnich latach, kiedy to dzięki odtajnieniu przez Służbę Bezpieczeństwa Ukrainy części materiałów archiwalnych oraz wydań periodycznych przeznaczonych niegdyś wyłącznie do użytku służbowego KGB historycy uzyskali choć częściowy dostęp do niedostępnych wcześniej materiałów.

Wśród odtajnionych dokumentów można znaleźć zarówno raporty KGB dla kierownictwa partii komunistycznej w Kijowie, jak i też interesujące artykuły publikowane w „Sborniku KGB”¹. W kontekście historii

¹ „Sbornik KGB” – opatrzony klauzulą tajności resortowy dwumiesięcznik (od 1988 r. miesięcznik) ukazujący się od kwietnia 1959 r. do grudnia 1991, początkowo wydawany przez IV Zarząd KGB ZSRR, następnie przez Wyższą Szkołę KGB im. F. Dzierżyńskiego. Pismo miało charakter naukowo-dydaktyczny. Oprócz materiałów programowych dot. aktualnej polityki KPZR zawierało szereg artykułów poświęconych bieżącej pracy poszczególnych wydziałów (wraz z opisami i analizą konkretnych działań), technice operacyjnej oraz historii sowieckich służb. W okresie pierestrojki

Lwowa początku lat 90. XX w. szczególnie cenny jest artykuł autorstwa L. Buldina, W. Wiesielowa i A. Gurskiego zatytułowany *Pieriewał*², w którym autorzy podpisujący się jako „speckorespondenci” opisują walkę lwowskich i zakarpaccich czekistów z przestępczością zorganizowaną. Sytuację we Lwowie oraz na terenie obwodu lwowskiego w rozmowie ze „speckorespondentami” dość szczegółowo opisywał mjr Gonczarow – ówczesny szef Wydziału ds. Zwalczania Przestępczości Zorganizowanej Lwowskiego Obwodowego Zarządu KGB USRR. Jako że pismo było przeznaczone dla wąskiego grona funkcjonariuszy, a prowadzona od kilku lat polityka głośności skutecznie zachęcała do wyjawiania wszelkich nadużyć i błędów systemu, to lwowski czekista był nad wyraz szczery – przynajmniej w porównaniu do podobnych wywiadów udzielanych przez innych funkcjonariuszy korespondentom „Sbornika” zaledwie kilka lat wcześniej.

Lwów – centrum przerzutowe kontrabandy

Według oceny KGB po 1989 r. Lwów przekształcił się w centrum przerzutu towarów z sąsiednich krajów – głównie Polski i Węgier – do Azji Środkowej. Intensywny wzrost ruchu osobowego i towarowego na granicy z Polską sprawił, iż niemalże natychmiast ogromne masy ludności zajęły się handlem, wykorzystując przy tym gigantyczne różnice cen i dostępności towarów. Reformy wolnorynkowe w Polsce oraz sztuczne utrzymywanie sowieckiego reżimu gospodarczego sprawiły, iż przywóz towarów i waluty do ZSRR stał się łatwo dostępny i dochodowy

w ramach głośności na łamach pisma zaczęto poruszać również problemy wewnątrz służby – przyp. autora.

² L. Buldin, W. Wiesielow, A. Gurskij, *Pieriewał*, „Sbornik KGB” 1990, nr 146–147, s. 19–28.

jak nigdy wcześniej. Archaiczne sowieckie prawo, które penalizowało niemalże każdą prywatną inicjatywę gospodarczą, sprawiło iż poważne „biznesy” zostały natychmiast przejęte przez zorganizowane międzynarodowe grupy przestępcze, współdziałające z milicją i organami celnymi. Ostrożne szacunki lwowskich kgbistów mówiły, iż w pierwszej połowie 1990 r. przez obwód lwowski przemycono na teren ZSRR sprzęt (głównie zachodnia elektronika) o wartości 90 mln rubli oraz nielegalnie wywieziono towar za 60 mln. W tym samym czasie czekiści skonfiskowali przemysł o wartości 11,5 mln rubli oraz 10 wykorzystywanych do kontrabandy samochodów³.

Zdaniem mjr. Gonczarowa głównym przeciwnikiem lwowskich czekistów stały się prężnie działające grupy polskich przemysłowców z Lublina, Krakowa, Warszawy i Gdańska. Według zebranych informacji ich członkowie posiadali liczne kontakty rodzinne wśród mieszkańców Lwowa i przygranicznych wiosek. Ku zaskoczeniu czekistów Polacy okazali się niezwykle mobilni. Dzięki posiadaniu nowoczesnych zachodnich samochodów bez problemu uciekali poruszającej się starymi wołgami i ładami „obserwacji”. Większość samochodów wykorzystywanych do przestępczych celów została skradziona w Niemczech i w razie wpadki po prostu porzucano je na terenie ZSRR. Prawdziwą zmurą funkcjonariuszy zwalczających przemyt były szybkie zachodnie samochody dostawcze, które nawet obciążone towarem bez większych problemów uciekały przed pościgiem.

Przy przerzucie bardziej wartościowych przedmiotów, takich jak komputery czy magnetowidy, przemysłowcy stosowali profesjonalną kontrolobserwację i grupy przykrycia, które niejednokrotnie odcinały śledczych od obserwowanej ciężarówce. W tym celu bardzo chętnie wykorzystywano wąskie uliczki w centrum Lwowa. Wykryta grupa obserwacyjna była skutecznie blokowana przez inne samochody, które np. pozorowały stłuczkę lub awarię, a obserwowany dostawczak z towarem spokojnie odjeżdżał na miejsce rozładunku. Według KGB w niektórych akcjach tego typu brało udział nawet

do sześciu samochodów kierowanych przez przemysłowców⁴.

Prężnie działające grupy przemysłowców były ochraniające nie tylko przez miejscowych bandytów, ale także przez sowiecką milicję. O ile napady na sowieckich „turystów” wracających z handlu w Polsce były normą, to polskich przemysłowców nikt nie ruszał, mimo że przewozili znacznie bardziej wartościowy towar oraz większe kwoty pieniędzy. Udział funkcjonariuszy milicji w przestępczym procederze był tajemnicą poliszynela, choć kierownictwo Ministerstwa Spraw Wewnętrznych USRR odrzucało wszelkie zarzuty, zapiekłe broniąc swoich podwładnych. Chwilowe uspokojenie przestępczej aktywności milicjantów nastąpiło dopiero po operacji „Pierewał” zorganizowanej wspólnie przez czekistów ze Lwowa i z Zakarpacia. Przestępczy schemat polegał na przewożeniu „tranzytem” przez Lwów z Węgier do Polski najnowocześniejszych jak na tamte czasy komputerów. Po drodze towar zniknął, a przekupieni celnicy potwierdzali jego wywóz poza granice ZSRR. Wypełnione drogowym sprzętem ciężarówce były ochraniające przez uzbrojonych milicjantów po cywilnemu.

Na wszelkie sugestie ze strony KGB kierownictwo milicji reagowało oburzeniem. Ostatecznie za jedną z ciężarówek puszczone „obserwację”, która dość szybko została wykryta przez doświadczonych milicjantów. Śledzona ciężarówka zatrzymała się na jednym z parkingów przy trasie z Użgorodu do Lwowa. W jej pobliżu funkcjonariusze KGB zorganizowali dwa standardowe punkty obserwacyjne oraz jeden dobrze zakamuflowany. Po prawie tygodniu oczekiwania i braku jakiegokolwiek reakcji ze strony przemysłowców zdjęto „jawną obserwację”, pozostawiając trzeci zakamuflowany punkt. W kilka godzin później dobrze ukryci czekiści sfotografowali umundurowanych milicjantów rozładowujących przemysłowców towar. W rezultacie operacji skonfiskowano komputery o wartości 7,5 mln rubli oraz czasowo przystopowano „biznesową” działalność milicji⁵.

W porównaniu do skali przemytu sukcesy czekistów były minimalne. Przyczynami były nie tylko przestarzałe metody pracy, ale tak-

³ Ibidem, s. 19–20.

⁴ Ibidem, s. 20–21.

⁵ Ibidem, s. 21.

że – co znacznie ważniejsze – totalny brak motywacji i świadomość bezcelowości własnych działań. Wielu pracowników KGB doskonale rozumiało, iż obrona archaicznego ustroju rozpadającego się imperium nie ma większego sensu. Mimo to nadal próbowali wypełniać postawione przed nimi zadania. Pododdział do walki z przestępczością zorganizowaną w krótkim czasie stał się jednym z najważniejszych i najbardziej obłożonych pracą w całym zarządzie lwowskim. Służących w nim funkcjonariuszy starannie (jak na sowieckie standardy) zakamuflowano, a siedzibę wydziału przeniesiono daleko od budynku KGB. Przyjęte środki ostrożności w nowej rzeczywistości nie miały jednak większego znaczenia, gdyż po niecałym miesiącu funkcjonowania Wydziału lwowski półświatek znał dokładne dane osobowe i wygląd wszystkich jego członków. Jak podkreślali sami czekiści, przestawał również działać istniejący od dziesięcioleci strach przed organami bezpieki. Coraz częściej dochodziło do pobić, a nawet do ostrzelania funkcjonariuszy. Część działających pod przykryciem kgbistów wyposażono nawet w skonfiskowaną na granicy broń gazową. Dość głośnym echem wśród czekistów odbiła się próba zlinczowania jednego z funkcjonariuszy na Zakarpaciu, gdzie grupa rozwścieczonych Romów zrzuciła do rowu operacyjną Ładę. Mocno poturbowany funkcjonariusz uszedł z życiem tylko dzięki użyciu służbowej broni⁶.

Opisane przypadki nie były jedynie przypadłością żyjących z przemytu regionów przygranicznych. Podobny rozkład całego systemu miał miejsce w innych częściach ZSRR. Skostniałe i biurokratyzowane struktury KGB nie nadążały za szybkimi przemianami. Identycznie jak w poprzednich dziesięcioleciach podstawą pracy sowieckich służb była rozbudowana sieć agenturalna, która w nowej rzeczywistości nie tylko okazywała się nieskuteczna, ale bardzo często służyła

do rozpracowywania KGB przez grupy przestępcze. Według oficjalnych danych lwowski wydział ds. zwalczania przestępczości zorganizowanej oficjalnie posiadał 38 agentów i 20 tajnych współpracowników. Ze względów bezpieczeństwa nie rejestrowano ich z ogólnej ewidencji (Wydział 10). Jak przyznawali sami czekiści, ryzyko ucieczki informacji było zbyt duże, zwłaszcza że w przestępstwach masowo brali udział milicjanci i inne osoby mające możliwość sprawdzenia przynależności agenturalnej w resortowych kartotekach. Według danych operacyjnych zweryfikowanie agenturalności kosztowało na milicji 500 rubli. Cena przekupienia funkcjonariuszy KGB była wielokrotnie wyższa, choć oficjalnie nie ujawniono żadnego takiego przypadku. Pokusa korupcyjna była jednak zbyt duża. Dotyczyło to szczególnie agentury, która wykruszała się w zatrzważającym tempie. Dla porównania wynagrodzenie wypłacane konfidentom przez KGB wahało się w zakresie 50–60 rubli miesięcznie, podczas gdy w przypadku lojalności wobec przemytników mogli liczyć na kwoty kilkaset, a nawet kilka tysięcy razy większe⁷.

Podsumowując dość szczerze przemyślenia mjr. Gonczarowa, możemy stwierdzić, iż kierownictwo KGB doskonale zdawało sobie sprawę, iż walka z przemytem stosowanymi dotychczas metodami była skazana na porażkę. Kuriozalność sowieckiego systemu gospodarczo-prawnego sprawiała, iż jedynym wyjściem z sytuacji mogły być jedynie szeroko zakrojone przemiany społeczno-ekonomiczne oraz aktualizacja nieprzystającego do epoki prawa, co zresztą sami autorzy nieśmiało sugerowali w swoim tekście. Bieg wydarzeń historycznych sprawił jednak, iż reformy okazały się zbędne. Upadek ZSRR i powstanie niepodległej Ukrainy spowodowały, iż zarówno przed przemytnikami, jak i przed dawnymi czekiściami otworzyły się nowe, niemalże niczym nieograniczone możliwości...

⁶ Ibidem, s. 22.

⁷ Ibidem, s. 22–23.

XXXIV Tarnopolski Zjazd Kresowian

Po rocznej przerwie spowodowanej wszystkim nam już mocno uprzykrzoną koronawirusową pandemią, w dniach od 7 do 10 czerwca 2021 miał miejsce XXXIV już Zjazd Tych, którzy mieszkali lub mają korzenie na Ziemi Tarnopolskiej, ale nie tylko, bo od 2017 zjazdy te przyjęły nazwę Tarnopolskich Zjazdów Kresowian i mają na celu integrowanie całego środowiska wygnańców z Kresów Południowo-Wschodnich. Zjazd odbył się w Głuchołazach u podnóża Gór Opawskich, uczestnicy, którzy zjechali z różnych zakątków Polski w liczbie ponad czterdziestu, zostali zakwaterowani w przytulnym hotelu „Sudety” w zdrojowej części miasta. Mieliśmy bliźniutko do zdrojowego parku, na początku czerwca w pełnym rozkwicie różnorodnych krzewów i kwiatów, gdzie w wolnych chwilach można było pospacerować czy w małych grupkach posiedzieć na ławeczkach i porozmawiać, powspominać.

Pierwszy dzień, poniedziałek, uczestnicy przyjeżdżają o różnych porach i są spontanicznie i z wielką serdecznością witani przez tych, którzy przyjechali przed nimi, oczywiście rozmowom nie ma końca!

Oficjalnie Zjazd rozpoczął się we wtorek mszą św. w parafialnym kościele św. Wawrzyńca, ale oczywiście przed tym zwiedziliśmy Głuchołazy. Miasto, na prawie flamandzkim, powstało prawdopodobnie dzięki odkryciu w okolicy złóż złota w XIII wieku i przez wiele lat nosiło niemiecką nazwę Ziegenhals (Kozia Szyja – ponoć od krętego biegu rzeki, obecnie zwanej Białą Głuchołaską). Po II wojnie światowej nazwa została zmieniona na Głuchołazy (z czeskiego „hluche lazne”, co znaczy „puste uzdrowisko” – niestety nie wiadomo dokładnie dlaczego właśnie taka nazwa, ale o dawnej nazwie przypomina herb Głuchołaz – Kozia Szyja). Złoto było wydobywane do końca XVII wieku, dzisiaj przechodząc Szlakiem Złotych Górników można jeszcze napotkać pozostałości sztolni, szybów i innego wyposażania górniczego. W Głuchołazach ciekawy jest Rynek z kamienicami o klasycystycznych fasadach (po pożarze z 1834 r.) i rosnąca tutaj podparta lipa (posadzona w 1648 r. jako „lipa pokoju”

na zakończenie wojny 30-letniej). Lipa runęła w 1992 r. ale udało się ją tak zabezpieczyć, że ciągle żyje. Głuchołazy były miastem przygranicznym, do dzisiaj zachowały się średniowieczne fortyfikacje z Bramą Górną i mury obronne. Kościół św. Wawrzyńca wzniesiony został po lokacji miasta przez właściciela tych ziem, biskupa wrocławskiego Wawrzyńca. Spalony przez husytów w 1428 roku, na bazie jednak zachowanych fragmentów (ściana zachodnia oraz wczesnogotycki portal z elementami romańskimi) odbudowany w 1442 r. W latach 1729–1731 kościół został przebudowany w stylu barokowym. Uwagę zwraca aż dziewięć ołtarzy, w tym neobarokowy ołtarz główny z figurą św. Wawrzyńca.

Po mszy św. sprawowanej w intencji zmarłych Tarnopolan przez przybyłego z Tarnopola ks. Andrzeja Maliga (tym razem przyjechał sam), udaliśmy się do głuchołaskiego Centrum Kultury, gdzie wpiery obejrzelśmy wystawę poświęconą historii zjazdów (główną „sprawczynią” tej wystawy była niezawodna Jasia Stadnik – organizatorka tegorocznego spotkania), następnie odbyła się okolicznościowa akademicka, na którą przyszli przedstawiciele władz lokalnych, wśród nich byli burmistrzowie Głuchołaz, Nysy i Brzegu nad Odrą. Każdy z nich w serdecznych słowach podzielił się z uczestnikami Zjazdu, a także miejscowymi kresowianami swoimi refleksjami na temat takich spotkań jak nasz Zjazd. Dla nas szczególnie radosną i ciekawą informację przekazał Jerzy Wrębiak – burmistrz Brzegu. Pan Burmistrz był gościem krakowskiego Zjazdu Tarnopolan w 2017 r. Wtedy opowiadał o staraniach władz Brzegu o utworzenie w tym mieście Muzeum Kresowego, którego zadaniem byłoby kultywowanie historii i kultury Kresów oraz dokumentowanie losów mieszkańców dawnych ziem Rzeczypospolitej. Uczestnicy tamtego Zjazdu gorąco poparli tę ideę, nie tylko oni, różne środowiska kresowe w kraju też potwierdzały potrzebę utworzenia takiej placówki. Niestety lata mijały, nic się w tej sprawie nie działo, ale kropla draży skałę... i na tegorocznym Zjeździe Pan Burmistrz mógł ogłosić, że 30 kwietnia 2021 podpisano

list intencyjny o przekazaniu gmachu dawnego gimnazjum piastowskiego (w pobliżu Zamku Piastów Śląskich) na działalność Muzeum Dziedzictwa i Kultury Kresów. Muzeum to byłoby oddziałem miejscowego Muzeum Piastów Śląskich, a finansowanie tego projektu zostało zagwarantowane przez rząd. Pan premier, minister kultury Piotr Gliński potwierdził to na piśmie!

Gdy skończyła się część oficjalna akademii, przyszedł czas na występy artystyczne. Polska powiatowa nie musiała się wstydzić swoich artystów amatorów czy to śpiewających czy tańczących. Miło było ich słuchać i oglądać, szczególnie urzekły nas „Stokrotki 50+” z Nysy. Tyle werwy i wdzięku w tych paniach po pięćdziesiątce! Zakończyliśmy to spotkanie wspólnym śpiewaniem kresowych piosenek i wspólnym zdjęciem. Wracając do hotelu, złożyliśmy jeszcze kwiaty pod pomnikiem wystawionym w 1998 r. przez społeczność Głucholaz Weteranom Walk o Niepodległość Rzeczypospolitej Polskiej.

Kolejny dzień Zjazdu upłynął pod znakiem wycieczek. Przed południem pojechaliśmy do Prudnika do klasztoru oo. Franciszkanów – miejsca uwięzienia ks. kardynała Stefana Wyszyńskiego. Z *Zapisków więziennych* ks. Kardynała wyłania się bardzo ponury obraz tego miejsca. Teraz, po remontach i uporządkowaniu terenu, jest to miejsce wyciszenia dla przychodzących tu pątników. Szczególnie ich tu dużo w tym roku – roku beatyfikacji Prymasa Tysiąclecia.

Wracając na obiad w naszym hotelu, dość pobieżnie obejrzelśmy centrum Prudnika, a po obiedzie ruszyliśmy do Nysy. Wydawałoby się, że podczas trzech zjazdów w Nysie zobaczyliśmy w tym mieście już wszystko. Niewielu z nas zdawało sobie sprawę, że Nysa, jako miasto przygraniczne, ma tak rozbudowany system fortyfikacji. Obiekty Twierdzy Nysa razem z Parkiem Kulturowo-Przyrodniczym zajmują obszar około 230 ha! Nawet ci, którzy nie interesują się takimi obiektami, byli pod wrażeniem.

Środa była bogata w atrakcje. Po powrocie z Twierdzy Nysa przeżyliśmy bardzo miły wieczór przy ognisku i pieczeniu kielbasek, oczywiście były rozmowy, żarty i wspólne śpiewanie. Mamy na naszych zjazdach taką własną „silną grupę śpiewaczą”, którzy i tym razem (wspomagani przez miejscowego gitarzystę) spisali się na medal. A że noc czerwcową długa i ciepła, nikt nie myślał o tym, że jutro ostatni dzień zjazdu, że trzeba będzie sobie powiedzieć: „Do widzenia, do miłego zobaczenia”. Niestety taka chwila nadeszła. Podsumowaliśmy Zjazd jako bardzo udany (mimo koronawirusowych obostrzeń i jednak najniższej frekwencji w historii naszych spotkań). Podziękowaliśmy dzielnej Jasi Stadnik, że w tak trudnych warunkach zdecydowała, że zjazd się odbędzie i go (prawie sama jedna) zorganizowała! No i nikt nie sprzeciwił się temu, żeby XXXV Tarnopolski Zjazd Kresowian odbył się w... Tarnopolu!



Lwowscy wolontariusze porządkują Cmentarz Janowski¹

Z Janem Sabadaszem, prezesem Zarządu Fundacji Dziedzictwo Kresowe, rozmawiała Anna Gordijewska

W ostatnim tygodniu sierpnia 2021 r. z inicjatywy Fundacji Dziedzictwo Kresowe odbyła się III edycja Obozu Wolontariackiego „Pamiętamy o historii”. Na Cmentarzu Janowskim we Lwowie zostały przeprowadzone prace porządkowe oraz drobne prace naprawcze. Obóz trwał tydzień. Efektem prac jest uporządkowanie około 100 nagrobków. Projekt jest realizowany dzięki dofinansowaniu z programu „Ochrona dziedzictwa kulturowego za granicą” Ministerstwa Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu, zarządzanego przez Narodowy Instytut Polskiego Dziedzictwa Kulturowego za Granicą „Polonika”.

Proszę opowiedzieć o tegorocznej edycji projektu „Pamiętamy o historii” realizowanego przez Fundację Dziedzictwo Kresowe.

Naszym priorytetem przy organizacji obozu wolontariackiego było przede wszystkim

uwrażliwienie polskojęzycznej młodzieży Lwowa na ochronę zabytków miasta, w którym mieszkają. Miasta, które szczyli się niezwykle bogatą historią, o którą warto i należy zadbać. Tradycją tego naszego przedsięwzięcia jest, że bierze w nim udział młodzież z dwóch polskich szkół we Lwowie – szkoły nr 24 im. Marii Konopnickiej i dziś już nie szkoły, a liceum nr 10 im. św. Marii Magdaleny. W tym roku dołączyła do nas spora grupa lwowiaków m.in. zrzeszonych w Stowarzyszeniu Rodzina Rodzin, Towarzystwie Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej oraz Strefie Młodzieży. Zatem nasz projekt to unikatowe wydarzenie łączące pokolenia, dla których pamięć o polskim dziedzictwie stanowi ważną część ich tożsamości. Jest to wydarzenie wyjątkowe, zasługujące na szczególną uwagę ze względu na jego potężny ładunek edukacyjny i nieocenioną wartość na przyszłość. Obserwujący tę współpracę ze wzruszeniem mówią, że „dobre ziarno zostało zasiane”. To daje nam ogromną satysfakcję i mobilizuje do tworzenia kolejnych inicjatyw dla utrzymania polskiego dziedzictwa kulturowego. Jesteśmy bardzo dumni z tych młodych ludzi, którzy z ogromnym zaangażowaniem porządkują polskie groby i ogromnie wdzięczni naszym kochanym lwowskim seniorom, którzy licznie dołączyli do naszego przedsięwzięcia, często mimo różnych przeciwności zmobilizowali się, by dać wspaniały przykład młodzieży i pokazać, jak należy traktować poczucie obowiązku.

¹ Przedruk z „Kuriera Galicyjskiego” z 29.08.2021 r.



Fot. Aleksander Kuśnierz („Kurier Galicyjski”)

Nasz obóz odbywa się po raz trzeci i stał się już tradycją, która wpisała się w harmonogram wakacji uczniów, którzy przez cały rok dopytują nas – czy na pewno w tym roku ten obóz się odbędzie. To jest dla nas bardzo budujące, że inicjatywa wychodzi od nich, mimo że mogliby być pochłonięci przez nowe technologie i wirtualny świat. Młodzież chce autentycznie brać w tej akcji udział i angażuje się. Najmłodszy uczestnik miał 8 lat, a najstarszy ponad siedemdziesiąt.



Fot. Aleksander Kuśnierz („Kurier Galicyjski“)

Mimo że pogoda nie dopisała, uczestnicy akcji dzielnie dawali sobie radę.

Wszyscy podziwialiśmy ten zapał ze strony młodzieży i innych uczestników. Mimo zmęczenia na ich twarzach widać było poczucie satysfakcji i spełnienia obowiązku. Zawsze jestem pełen podziwu dla naszych rodaków mieszkających na Kresach, dla ich oddania Ojczyźnie, wytrzymałości i zarazem skromności w tym, co robią. Przecież dziadkowie tej młodzieży z własnej woli w czasach komunistycznych szli i stawiali znicze na cmentarzach, w tym na Cmentarzu Łyczakowskim i Obróńców Lwowa. Ci ludzie nie bali się, ponieważ tak ich nauczono w domu, więc szli z potrzeby serca „bez krzyku i hałasu”. Szczególnie doceniamy ich zaangażowanie i bohaterski wkład w pamięć o polskim dziedzictwie kulturowym.

A w ostatnim dniu jednak pogoda się poprawiła!

Tak, było ciepło i słonecznie. To było jak nagroda za wspaniałą, mozolną pracę i zaskakujący, rekordowy rezultat naszego obozu, gdyż udało się uporządkować prawie 100 grobów. Na zakończenie przybyła pani konsul generalny RP we Lwowie Eliza Dzwonkiewicz, która podziękowała wolontariuszom w imieniu państwa polskiego, które pamięta o rodakach i wspiera ich inicjatywy. Słowa uznania padły również z ust prezesa Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej Emila Legowicza, szefowej Lwowskiej

Rodziny Rodzin Haliny Wencak, a także kierownictwa polskich szkół, a my wręczyliśmy wszystkim uczestnikom certyfikaty uczestnictwa w obozie wolontariackim.

Dlaczego został wybrany właśnie Cmentarz Janowski?

Ten Cmentarz jest wyjątkowo ważną nekropolią powojennej polskiej historii Lwowa. Tu spoczywają wybitne postacie pochowane po 1945 roku – ci, co nie zostali repatriowani do Polski albo później nie wyjechali do kraju. Tu znajdują się groby nauczycieli, duchownych, aktorów i po prostu lwowiaków, którzy swoją skromną pracą w wyjątkowo trudnych czasach kultywowali polską tradycję, wartości i nauczanie języka polskiego. Ponosili oni za to dotkliwe konsekwencje, ale nie poddawali się i zycząjnie – niezycząjnie byli. Paradoksalnie, mimo że nie piastowali żadnych ważnych funkcji, to oni „po cichu i skromnie”, acz skutecznie wnieśli ogromny wkład w zachowanie polskości i wiary na tych terenach. To dzięki nim język polski tutaj przetrwał. Potrzeby prac na Cmentarzu Janowskim są ogromne i mimo starań miejscowych Polaków większość polskich grobów pozostaje bez opieki, a przecież cmentarz znajduje się w jednym z najważniejszych dla polskiej kultury mieście, więc naszym celem jest uchronić go od zapomnienia i zadbać w należyty, profesjonalny sposób, co jest możliwe dzięki konserwatorom z Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie pod kierownictwem Anny Kudzi, która jest także głównym koordynatorem naszych obozów wolontariackich na Cmentarzu Janowskim. Dzięki ich wiedzy i doświadczeniu poddawane renowacji nagrobki są gotowe

do przetrwania kolejnych dziesięcioleci, by następne pokolenia mogły podziwiać spuściznę polskiej historii.

Czy są przez Fundację prowadzone prace konserwatorskie?

Nasza Fundacja realizuje profesjonalne prace konserwatorskie od już pięciu lat, których jak się okazało istotnym elementem stały się obozy wolontariackie, dzięki którym odkrywamy kolejne zapomniane miejsca pochówku i grobowce, które następnie poddawane są zawodowej konserwacji. Obiekty są bardzo różnorodne, zarówno pod względem materiału, stylistyki, jak i problematyki konserwatorskiej. W tym roku konserwatorzy odnawiają jeden z najstarszych nagrobków na cmentarzu – grób rodziny Zajączkowskich, na którym mieści się jedna z trzech zachowanych na cmentarzu figur Matki Boskiej. Następny to wapienny nagrobek, przybierający formę kapliczki z finezyjnymi ornamentami, bardzo zdestruowany, mieszczący się w sąsiedztwie grobu arcybiskupa Józefa Bilczewskiego. Odnawiamy również nagrobek rodziny dr. Henryka Rolińskiego, o konstrukcji modernistycznej, znajdujący się przy głównej alei cmentarza, niedaleko od wejścia. Następny to nagrobek kapitana armii austro-węgierskiej Władysława Ryznerskiego, wykonany z czerwonego piaskowca i usytuowany w bocznej alejce, trochę ukryty

w gąszczu cmentarnych krzewów. Trwają także prace nad odnowieniem nagrobka ukraińskiego malarza Modesta Sosenki. W latach ubiegłych odnowiliśmy m.in. jedno z najpiękniejszych grobowców należących do rodziny Machanów autorstwa Antoniego Schimslera z figurą żalobnicy, odrestaurowanej później przez słynnego rzeźbiarza Parysa Filippiego oraz grobowiec rodziny Dziegielowskich ze słynną płaskorzeźbą pn. *Droga do wieczności* Teobalda Orkasiewiczza. Cmentarz Janowski powstał pod koniec XIX wieku. Jest drugim pod względem wielkości zachowanym cmentarzem na terenie miasta po Łyczakowskim. Zostali na nim pochowani mniej zamożni lwowianie niż na słynnej nekropolii łyczakowskiej, jednak spoczywa na nim wiele zasłużonych dla miasta urzędników, rzemieślników, kupców, ludzi kultury, lekarzy, nauczycieli, przedsiębiorców, księży i innych osób duchownych. Na Cmentarzu Janowskim znajdują się nagrobki z XIX i XX wieku, są też w stylu art deco. Spoczywają tu również powstańcy styczniowi, żołnierze polegli podczas I wojny światowej, żołnierze polegli podczas wojny polsko-ukraińskiej, polsko-bolszewickiej, a także ukraińscy strzelcy siczowi. Niestety znaczna większość grobów z inskrypcjami polskimi została zlikwidowana, a w to miejsce powstały nowe, w których składano zmarłych.

Fot. Aleksander Kuśnierz („Kurier Galicyjski”)



KSIĄŻKI

Miasto-symbol naszej wielkiej kultury

Ta albumowa książka jest czymś znacznie więcej niż tylko historią miasta – to arras utkany z inspiracji i miłości. Składają się na nią osobiste refleksje autorów nad przeszłością, dziedzictwem, architekturą, społeczeństwem i kulturą Wilna. Ryszard Jan Czarnowski i Eugeniusz Wojdecki prześledzili transformację miasta na przestrzeni wieków, cofając się do pradziejów, czyli okresu panowania Mendoga, a następnie opisując kolejne epoki aż do czasów najnowszych. Znajdziemy w ich książce niemal każdy zaułek i każdą architektoniczną wspaniałość tego niezwykłego miasta. Wielkie zarazy, pożary i potopy, które nawiedzały Wilno kilkakrotnie, ukazane są przez pryzmat najznakomitszych i zwyczajnych mieszkańców. Do tego dochodzą doskonale dobrane anegdoty, cytaty z literatury naukowej i pięknej oraz prasy, celne komentarze na temat dawnych i współczesnych mieszkańców oraz odwiedzających miasto na przestrzeni epok. Dzięki wirtuozerii pióra oraz świetnie dobranej ikonografii niemal namacalnie obcujemy z duszą tego miasta. Na kartach tej książki Wilno żywcem ożywa.

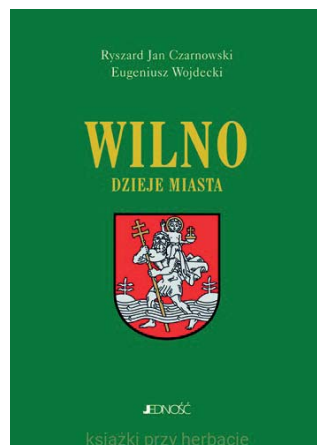
Opowiadając o tysiącach lat miłości, codzienności i dramatów ludzi, którzy zmienili niewielką osadę w miasto symbol, legendę i obiekt kultu, autorzy zapraszają do odbycia niezapomnianej wędrówki w czasie i przestrzeni. Stworzyli wielobarwny i wielowymiarowy obraz miasta będącego od 1323 roku stolicą Wielkiego Księstwa Litewskiego. Ze stworzonej przez Ryszarda J. Czarnowskiego i Eugeniusza Wojdeckiego księgi wyłania się Wilno jako miasto w pełnym rozkwicie i energiczne, momentami jako załężnione i mroczne, niekiedy jako tajemnicze i nostalgiczne w zależności od tła konkretnej epoki. Ryszard J. Czarnowski i Eugeniusz Wojdecki ani przez chwilę nie zanudzają faktami

i datami historycznymi czy typowymi dla przewodników turystycznych opisami. Owszem, prezentują historię miasta, sylwetki zapomnianych i zasłużonych dla jego rozwoju postaci oraz cenny zespół zabytków architektury i sztuki o charakterystycznych cechach przenikania się kultur: polskiej, litewskiej, białoruskiej, żydowskiej i niemieckiej,

ale czynią to bez wzniosłego patosu, czasami nawet w zawadiacki i humorystyczny sposób. Pozwalają czytelnikowi odpocząć od martyrologii, od której nie jest wolna historia naszej ojczyzny, i zanurzyć się w mniej dramatycznych opowieściach. Zadalili sobie dużo trudu, by znaleźć nieznane szerzej ciekawostki, zwłaszcza biograficzne, literackie czy bibliofilskie. Odkrywają wiele sekretów miasta lub po prostu odświeżają naszą pamięć. To szperactwo zaowocowało nietuzinkowym obrazem Wilna.

Narracja ma charakter gawędziarski, dzięki czemu czytelnik ma nieodparte wrażenie, że autorzy prowadzą z nim dialog, czasami nawet prowokując do dyskusji lub inspirując do zweryfikowania swojej wiedzy. Autorzy demaskują utarte schematy myślowe dotyczące Wilna. Wyraźnie widać, że pragną, aby Polacy na nowo ujrzeli i pokochali to miasto, ale z większą dawką wiedzy i z krytycyzmem wobec różnych przekazywanych na jego temat. Podają także przykłady zadziwiającego (żeby nie powiedzieć, iż absurdalnego) traktowania dziedzictwa miasta przez dzisiejszych Litwinów, którzy niestety za wszelką cenę chcą zamazać ślady polskości Wilna. Posuwają się nawet do przekręcania albo przekuwania nazwisk na płytach cmentarnych bądź wypędzania polskich turystów z kościołów. Świadczy to o małostkowości i krótkowzroczności Litwinów. Ale polska strona też nie jest bez winy.

Warto wspomnieć, że jeden z autorów, Ryszard Jan Czarnowski, jest praprawnikiem podchorążego Wojska Polskiego –



Barbary Bronisławy Czarnowskiej, która jako jedna z nielicznych kobiet walczyła w Powstaniu Listopadowym. Za bohaterską postawę w trakcie bitwy pod Sierpcem została odznaczona *Virtuti Militari*. Jak piszą autorzy obok zamieszczonego wizerunku tej dzielnej niewiasty, „była trzecią kobietą w historii Polski uhonorowaną tym odznaczeniem”.

Skomponowana z licznych grafik oraz napisana ze swadą i z miłości do Wilna księga pozwala w pełni zanurzyć się w jego specyficzny klimat, poczuć dramaturgię przedstawianych kolejno najważniejszych wydarzeń w dziejach miasta oraz poznać bliżej najwybitniejsze osobowości, które odcisnęły silne piętno na jego tkance kulturowej, naukowej i historycznej.

Autorzy zauważają optymistycznie, że „redivivus Kresów jest z roku na rok coraz mocniejszy w świadomości narodu”. Mają rację. I dodam jeszcze, że między innymi takie, jak wyżej zaprezentowana, książki przyczyniają się do owego odrodzenia.

Beata Bednarz

Ryszard Jan Czarnowski, Eugeniusz Wojdecki, *Wilno. Dzieje miasta, Jedność*, Warszawa 2016

LUDZKIE NAMIĘTNOŚCI I BOLĄCZKI W SCENERII SIEDMUNASTOWIECZNEGO WILNA W POWIEŚCI *SILVA RERUM*

W trakcie lektury *Silva rerum* można poczuć się jak jeden z bohaterów, Jonalis, który po wykonaniu nieulubianych obowiązków wsadzał nos w książkę, gdzie wrzało życie ciekawsze niż w rodzinnym domu. Jest to piękna powieść historyczna o ulotności życia w barokowym sztafażu. Kristina Sabaliauskaitė stworzyła utwór imponujący niewyszukaną prostotą kompozycyjną i zarazem głębią metafizycznego przesłania. Scenerią fabularnych wydarzeń uczyniła odradzające się z popiołów po niszczycielskim najeździe Rosjan (1655) Wilno, a głównymi bohaterami – polską rodzinę średniozamożnych szlachciców. Akcja rozpoczyna się typowym dla baroku wątkiem



– opisem śmierci kota Maurycego. Zgon zwierzęcia stanie się przedmiotem rozmów dzieci z ojcem o naturze śmierci. Pewnego dnia po uroczystym pogrzebie kota bliźniacze rodzeństwo postanawia sprawdzić na przykładzie zwierzęcia, czy prawdziwe jest często słyszane powiedzenie o przewracających się w grobie nieboszczykach. Dzieci przeżyją wstrząs, gdy zobaczą zaatakowane przez wszelkie robactwo zwłoki kota. Ten wybuch gejzeru śmierci i unicestwienia zaciąży na całym późniejszym życiu Urszuli i Kazimierza Narwojszów. Dziewczynka postanowi zostać świętą, żeby nie przeistoczyć się w zgniłą, zjadaną przez robaki padlinę, a jej brat wyrośnie na cynicznego i leniwego człowieka, przekonanego, że wszelkie ludzkie wysiłki są nic niewarte, bo kres życia zawsze i bezwzględnie kładzie śmierć. Rodziców Urszuli i Kazimierza także poznajemy w chwili, gdy pogrążona jest w żałobie po stracie kolejnego małego dziecka. Śmierć nawiedza rodzinę Narwojszów tak często, że nieomal staje się przyczyną jej rozpadu oraz utraty wiary w Boga. Jednak jej niszczycielską siłę uda się małżonkom pokonać. Ocalał siebie i swoją miłość. Bo skoro nie da się przewyciężyć świata rządzonego przez okrutny chaos, można próbować uporządkować przynajmniej niewielki jego skrawek.

Powieść eksponuje typowe dla baroku upodobanie do procesu rozkładu, śmierci, ostrych kontrastów, erotycznej zmysłowości

i silnie odczuwanej tożsamości religijnej. Głównym motywem – jak na nawiązanie do poprzedników z XVII wieku przystało – jest śmierć, przemijanie, a nawet samo umieranie i agonia, ukazywane dosadnie i bez patosu. W takiej specyficznie stylizowanej scenerii, bardzo zmysłowej, bliskiej parodystycznie turpizmowi, sytuuje autorka swoje owiane czarnym humorem rozważania o sensie ludzkiej egzystencji naznaczonej śmiertelnością. Zmieniają się władcy, ustroje, obyczaje, ale ludzkie namiętności, bóle, wzloty i upadki, związane z lękiem przed śmiercią, pozostają wciąż takie same.

Wyłaniający się z utworu obraz Wilna jest wielowymiarowy i fascynujący. W XVII wieku stolicę Wielkiego Księstwa Litewskiego tworzył konglomerat narodowościowo-religijny, ale dominowała spolonizowana szlachta. Jednak po lekturze *Silva rerum* przesadą byłoby stwierdzenie, że dziedzictwo architektoniczne, kulturalne, zabytki, kościoły, słynni mieszkańcy – wszystko, co stanowi o pięknie i duchu tego miasta, ma bardzo mało wspólnego z Litwinami i innymi narodami, a bardzo dużo z Polakami, bo nie tylko Polacy kształtowali *genius loci* Wilna. Pisarka usiłuje nam przekazać, że każda z zamieszkujących miasto przez stulecia nacji wniosła swój niepowtarzalny pierwiastek w oblicze Wilna.

Wilno było w XVII stuleciu małą plamką na skraju chrześcijańskiego świata; składało się z zaledwie czterech dzielnic i zielonych przypominających wioski przedmieść. Owe cztery dzielnice miały charakter wyraźnie wyznaniowy, bo zamieszkiwali je katolicy polsko-litewscy, protestanci niemieccy, rosyjscy starowiercy i żydzi. Do tych grup należy dodać przybyszy z całej Europy: włoskich i francuskich artystów, hiszpańskich prawników, Holendrów, Tatarów, Ormian i Karaimów. Po 1655 roku, mimo ogromnych zniszczeń i ogołoceń kozackich, miasto odradza się jak feniks z popiołów i przeżywa rozkwit: „Ale przecież to zniszczone, ograbione miasto, które nielubiący go ludzie nazywali wsią, było na swój sposób potężne, bo z takim piekielnym uporem zdołało się odrodzić i znów pięło się wzwyż, i znowu w kościołach zawieszano dzwony, i znów niesiono złote wota, i wilnianki znowu się stroiły, i półki uniwersyteckiej biblioteki, okradzione i spalone przez Moskwianów, znów

powoli zapełniały się książkami. [...] I Wilno nie zniknęło z mapy świata, lecz było na niej zapisane jako stolica europejska pośród innych większych lub mniejszych stolic i miast”.

Jeśli chodzi o przedstawione w książce realia historyczne, można zaufać autorce. Napisanie trytomowej sagi poprzedziła dekadą badań. Pasjonujące są ukazane w *Silva rerum* szczegóły dotyczące obyczajowości i życia szlachty, mieszczan, żeńskich klasztorów i żaków, a także statusu kobiet. Prawdziwe są postacie ksieni bernardynek Konstancji Sokolińskiej oraz Francuza Jeana de la Marsa, ludwisarza, który odlewał wileńskie dzwony. Trzeba też wspomnieć o pobocznie nakreślonych sylwetkach (w mało zresztą chwalebny świat) książąt Radziwiłłów: Dominika Mikołaja i Janusza. Są też nawiązania do twórczości Jana Kochanowskiego oraz wzmianki o *Dworzaninie polskim* Łukasza Górnickiego. Kristina Sabaliauskaitė tę całą badaną latami materię historyczną, obyczajową i społeczną dotyczącą epoki Rzeczypospolitej Obojga Narodów przefiltrowała przez swoją wyobraźnię i stworzyła prawdziwie urzekający utwór literacki o krótkotrwałości rzeczy świata ziemskiego. *Silva rerum* to porywający autentyzm postaci, realiów i rekwizytów połączony ze znakomitą kreacją świata fikcji.

Oprócz sienkiewiczowskiego tchnienia, wyraźnego w opisach palenia, gwałtów, grabienia i niszczenia Wilna przez Kozaków (z tą różnicą, że Sienkiewicz o Rosjanach pisał z konieczności językiem ezopowym), można dostrzec w *Silva rerum* elementy i cechy powieści lotrzykowskiej, inaczej określonej mianem szelmowskiej. Po części jest to romans awanturiczny, gdyż przedstawia losy przedsiębiorczego i przebiegłego Jana Kirdeja Birona, geniusza retoryki, na tle prawdziwego i do pewnego stopnia satyrycznego obrazu epoki Rzeczypospolitej Obojga Narodów. A trzeba tu podkreślić, że był to okres niesamowitej wspólnej potęgi.

Powieść ma wiele walorów. Zachwyca prostotą stylu, pięknym językiem, warstwą fabularną, społeczną i filozoficzną. Utwór wyraża niepokoje baroku: rozdwojenie między duszą i ciałem, przemijanie, strach nie tylko przed śmiercią, ale także ukrywającym się pod różnymi postaciami szatanem. A ukazana w *Silva rerum* miłość to naj-

szczęśliwsza odmiana szaleństwa, co wcale nie znaczy, że najmniej groźna. Barokowy sztafaż jednak nie przygnębia, gdyż powieść nie jest pozbawiona szczypty subtelnego humoru. W latach 2018 i 2021 Wydawnictwo Literackie opublikowało kolejne dwa tomy sagi. Czy poziomem dorównują pierwszemu? Warto się o tym samemu przekonać.

Beata Bednarz

Pierwszy tom sagi *Silva rerum* Kristiny Sabaliauskaitė, Znak, Kraków 2015

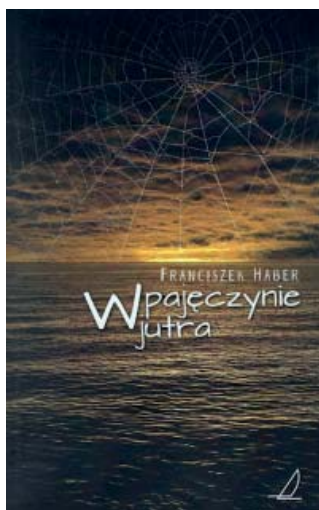
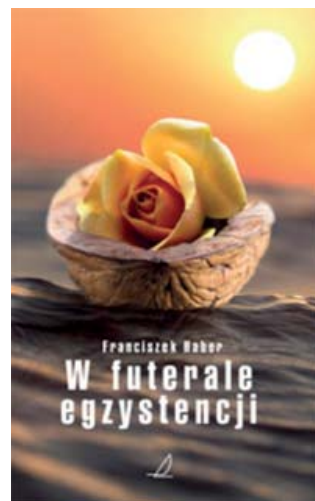
O wierszach Franciszka Habera

Opublikowane w tym roku dwa tomy, których autorem jest Franciszek Haber – urodzony w 1942 roku we Lwowie, wykształcony na Politechnice Śląskiej w Gliwicach, jachtowy i motorowy kapitan żeglugi wielkiej oraz płodny literat – tworzą niezwykle eleganckie w formie oraz głębokie w treści wiersze, pełne subtelnych nawiązań do morskiej scenerii, lwowskich korzeni oraz meandrów ludzkiego losu. Pięknie wydane własnym sumptem autora zbiory poezji pt. *W Pajęczynie jutra* i *W futerale egzystencji* to fascynująca podróż przez kolejne światy, zarówno zewnętrzne: natury, sztuki, kultury, jak i wewnętrzne doświadczenie człowieka. Te światy przenikają się, tworząc swo-

isty palimpsest. Uważny czytelnik odczyta z niego pieśń o niezłomnej nadziei oraz szukaniu wytchnienia i natchnienia w oceanie, szumie lasu, ptasim śpiewie, obłoku, w ciszy, malarstwie genialnych artystów, zabytkach, urokliwych zakątkach Lwowa (rodzinnego gniazda poety), Drohobycza i wołyńskich Aten, w maleńkiej

muszli wyrzuconej na plażę. Poeta penetruje także „krajobraz serca”, czyli pejzaż wewnętrzny człowieka, począwszy od jego obsesji, niepewności, tęsknot po zachwyty, ośnieniu, wzruszenia i heroizm codziennych wyborów. Z wirtuozerią opisuje jego „odcienie istnienia”, rozterki i zmagania z kruchością życia, jak również godzi zranienie z miłością, naturę z kulturą, gwałtowność pasji z powściągliwością, ironiczny dystans z dramatem życia i śmiercią. Te napięcia, które najpiękniej poeta wyraził w wierszu *Cechowanie busoli*, tak dobrze nam wszystkim znane z własnego doświadczenia, mimo wszystko prowadzą do harmonii oraz spokojnej i pełnej zaufania postawy egzystencjalnej.

Tym, co przemawia w poezji Franciszka Habera, jest skoncentrowanie się na sprawach zwyczajności i niezwykłości, odwoływanie się do własnej sfery wartości, do której należą poczucie bliskiej więzi z drugim człowiekiem i poczucie przynależności do świata przyrody. Wiersze pokazują, że jesteśmy w środku wszechświata zaledwie drobinką, ale ona ma zdolność widzenia wokół siebie wszystkich pięknych zjawisk i rzeczy. Po to jest poezja, by pomagała nam uchwycić chwile i to, co przemijające, żeby upewnić siebie i swoje otoczenie, że choć wszystko się wciąż zmienia, to jednak każdy z nas może znaleźć spokojną przystań. Jeżeli nie będziemy patrzeć z wrażliwością, mądrze i z empatią, to nasze życie przeminie bez żadnej wartości. Czytając poetów, „idziemy na przekór do źródeł czasu / w toń bezkresną za mirażem / widnokręgów światłem”. Dla Franciszka Habera słowo jest „przemianą, odmianą poznania myśli, nazywaniem wszechświata, krążeniem wokół siebie”, świat zaś – „eposem o nieskończonej ilości wersów / mitów o byciu w drodze cząstek wyobraźni / szlachetnego umysłu”. W obliczu kolejnych prób zrozumie-



nia świata, samotności i „wiecznych pytań o granicę, za którą każdy może trwać bez konfliktów racji”, autor szuka ratunku przede wszystkim w poezji, pomiędzy wersami dialogu ze sobą o „drodze znów rozpoczętej dniem nowym”.

W wierszach Franciszka Habera możemy odnaleźć ślady wpływu twórczości zmarłego w marcu Adama Zagajewskiego (również rodem ze Lwowa), „rosyjskiego czarodzieja głoski” Josifa A. Brodskiego czy Nelly Sachs na kształtowanie się jego poetyckiej wrażliwości, opisy wędrówek ze Stanisławem Dziedzicem (zmarłym 8 kwietnia 2021 roku) po Krzemieńcu, a także nawiązania do kresowej nostalgii, przyrody, miłości, cywilizacyjnego i duchowego dziedzictwa (z pewnością nieprzypadkowo autor poświęcił temu zagadnieniu dwa wiersze, nadając im taki sam tytuł) i historii, która „jest namacalna jak kropla dżdżu na miasta dłoni”. Wrażliwość i otwartość, kunszt słowa, a zarazem trafność diagnoz dotyczących kondycji człowieka i świata współczesnego sprawiają, że wiersze napisane przez Franciszka Habera mogą stanowić pewien drogowskaz w obliczu obecnie mocno relatywizowanych wartości, być pocieszeniem, a także uczyć przeżywania trudów codzienności i mierzenia się z przemijalnością życia w harmonii z naturą, kulturą oraz z samym sobą, „aby trwanie / między wodą i obłokiem / z niedosiężnym śladem / pokusy widnokręgu / było w nas”.

Beata Bednarz

Powrót do Buczacza

Książkę *Od Podola i Pokucia wieje wiatr* można dopisać jako kolejne potrzebne ogniwo do łańcucha historii o utraczonych Kresach. Ich lista nigdy nie była krótka i dopóki żyją jej świadkowie – można mieć nadzieję na wzbogacenie bibliografii. Po rozbiorach Polski i po obu wojnach światowych Kresy zaczynają żyć w pamięci odtwórczej i w nostalgicznej wyobraźni kreującej. Pamięć i tęsknota to gorące źródła kresowej literatury. Rodzi się ona z miłości do utraczonej ziemi ojczystej. W Polsce Ludowej przez wiele lat Kresy były tematem tabu. Dopiero w III Rzeczypospolitej ruch kresoznawczy

rozwinął się w publikacjach książkowych, w czasopiśmie, audycjach radiowych i widowiskach telewizyjnych, w filmach, reportażach itp. Zaczęto mówić pełnym głosem o sowieckiej, a potem niemieckiej okupacji, o mordach Ukraińców na Polakach, o powojennej ekspatriacji, o „małych ojczyznach” Kresowian. Do nurtu faktograficznego i pamiętnikarskiego tego ruchu można zaliczyć wspomnienia Polki mieszkającej od czasu zakończenia drugiej wojny światowej we Francji.

Jak informuje w *Przedmowie* redaktor książki, ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski, Rozalia Fernández swoje wspomnienia opracowała najpierw w latach 90. ubiegłego wieku, kiedy to spisała kalendarium najważniejszych wydarzeń ze swojego życia, a następnie w latach 2014–2015 nagrała na taśmę magnetofonową same wspomnienia. Uzupełniła je o wydarzenia z życia swoich krewnych i przyjaciół, a także o zarys historii Buczacza oraz słowniczek słów i zwrotów używanych przez Kresowian.

W trakcie lektury można mieć nieodparte wrażenie, że autorka opowiada nam gawędę, ale bez idealizacji i zbytnej gloryfikacji czasów minionych. Cechuje się ona elegancją i skrótością, czasami tak intrygującą, że pragnęłoby się z taką osobą przysiąść w kawiarni i usłyszeć coś więcej. Snute cicho i ostrożnie wspomnienia wzbudzają ciekawość i nostalgię oraz przemawiają do wyobraźni. Gdyby autorka podzieliła swoją biografię na dziesięć kobiet, każda z nich byłaby przekonana, że jej życie jest bogate w wydarzenia. Bo los – czasami okrutny, czasami łaskawy – obdarzył ją hojnie dobrem i złem, a ona przyjmowała te dary, jak umiała najlepiej. To wspomnienia o korzeniach rodzinnych, radościach i smutkach dzieciństwa spędzonego na Kresach Południowo-Wschodnich II Rzeczypospolitej, o dorastaniu w niepełnej rodzinie (matka



pracowała jako służąca i samotnie wychowywała dziecko), o młodzieńczej fascynacji poznawanymi miejscami, o szukaniu nowej drogi życia w emigracyjnej rzeczywistości powojennej, o dramatach typowych dla Polaków, których losy spłoty się nierozzerwalnie z dziejami naszego narodu. Autorka rozpoczyna je od barwnego opisu historii, architektury i mozaiki społecznej miasta niegdyś należącego do Buczackich i Potockich, a kończy słowami pobrzmiwającymi nutką goryczy: *Moi wszyscy krewni po wojnie rozpiechli się po całym świecie. Ja z mamą żyłyśmy we Francji, rodzina mamy w zachodniej Polsce, a rodzina ojca gdzieś na wschodniej Ukrainie. Tylko na pięknej ziemi buczackiej nad Strypą, poza mogiłami, nie mam już nikogo. Pomimo tego od Pokucia i Podola wciąż wieje wiatr... Wiatr wspomnień.* Rozalia Fernández urodziła się w 1932 roku w Stanisławowie, ale od trzeciego roku życia wychowywała się w Buczaczu – „malowniczo położonym w ogromnym jarze wyrzeźbionym przez Strypę”. Po osiedleniu się we Francji nigdy nie zdecydowała się na podróż do Buczacza, bojąc się ogromu przeżyć związanych z utratą rodzinnej i rozczarowania. Na wyjazd do swojej „małej ojczyzny” namówiła jedną z córek, obdarowując ją w tym celu mapą miasta narysowaną z pamięci.

Zadziwia doskonała pamięć autorki na temat folkloru Podola i Pokucia. Ujawnia się ona w opisach obyczajów, obrzędów religijnych i świeckich, potraw i pieśni, wreszcie w warstwie językowej wspomnień. Na tle licznych książek o tematyce kresowej publikacja wyróżnia się interesującą charakterystyką nie tylko zwyczajów różnych narodowości zamieszkujących Buczacz i okolice, lecz także społecznego i materialnego statusu kobiet samotnie wychowujących dzieci. W okresie międzywojennym matka autorki doświadczyła ostracyzmu – jako „panna z brzuchem” (takiego określenia wtedy używano) straciła pracę i nie mogła wrócić do rodzinnej wioski. Wtedy pomogły jej siostry zakonne, zwane popularnie służebniczkami. Dzieci nieślubne zaś wyzywano od „bajstruków” i „bachorów”. Nie były nawet dopuszczane do sypania kwiatków w trakcie procesji na Boże Ciało. Sytuacja rodzinna i materialna dziewczynki zmieniła się po zaadoptowaniu jej przez małżonka matki, która zaraz po wojnie po-

ślubiła pochodzącego z Alzacji niemieckiego wojskowego, współpracującego w trakcie okupacji Buczacza z niemiecką organizacją, która zarządzała majątkami ziemskimi na dawnych polskich Kresach. Gdy Rozalia po wielu latach zapytała Martina, kim się czuje: Niemcem czy Francuzem, odparł, że „wyłącznie Alzaczkiem”. Jak się dowiadujemy, został on przymusem wcielony do Wehrmachtu i w przeciwieństwie do innych żołnierzy był gorliwym katolikiem. Ciekawe są fragmenty opowiadające o losach Polki i Niemca w trakcie wojny i po jej zakończeniu. Oczywiście w czasie okupacji musieli swój związek ukrywać. Do równie intrygujących fragmentów należy opis wyjazdu matki i córki do Alzacji, do rodziny Martina, który w ten sposób chciał je zabezpieczyć przed wtargnięciem Sowietów do Lwowa, gdzie na pewien czas się schroniły za jego namową. Końca wojny doczekały się w Alzacji, w małej wiosce koło miasta Colmar nad Renem. Od spotkanej w Colmar grupy Polaków Rozalia dowiedziała się, że Buczacz, jak również całe Kresy Wschodnie już do Polski nie należą. Czytając kolejne stronicie wspomnień, podróżujemy wraz z autorką z Alzacji do Paryża, gdzie ukończyła szkołę średnią, następnie do Konga Belgijskiego, dokąd wyjechała po ekonomicznych studiach na roczny kontrakt (*nie po to Pan Bóg uratował mnie z opresji na polskich rubieżach, żebym teraz miała zginąć w Afryce od murzyńskiej kuli czy maczety*), a także do Hiszpanii – rodzinnego kraju męża, którego poznała w Paryżu.

Książkę *Od Podola i Pokucia wieje wiatr* można uznać za cenne świadectwo nie tylko wielkiego hartu ducha autorki i jej matki, ale i odrobiny sentymentu w pielęgnowaniu najwyższych wartości przez Kresowian, którzy z powodu wojennej zawieruchy zmuszeni byli opuścić domy, ale mimo to na emigracji pieczołowicie przechowują w sercu pamięć o rodzinnej ziemi jako ostoi polskości. Autorka udowadnia, że mają oni w sobie niezwykłą siłę, pozwalającą im wytrwać na obczyźnie we własnych tradycjach i przekonaniach.

Autorka doczekała się publikacji (zmarła w Paryżu na początku 2020 roku) i rzekła się doходу ze sprzedaży książki na rzecz budowy Domu Podolskiego w placówce macierzystej Fundacji im. Brata Alberta w Radwanowicach. Książkę (35 zł) można

nabyć, wysyłając zamówienie na adres mejlowy bądź pocztowy: fp@albert.krakow.pl – Fundacja im. Brata Alberta, Radwanowice 1, 32-064 Rudawa, lub dzwoniąc w dni robocze pod numer 12 283 90 80 w. 22 (w godz. 9.00–15.00).

Beata Bednarz

„Kresowa bałagułka” – lekkie wywiady o ważkich sprawach

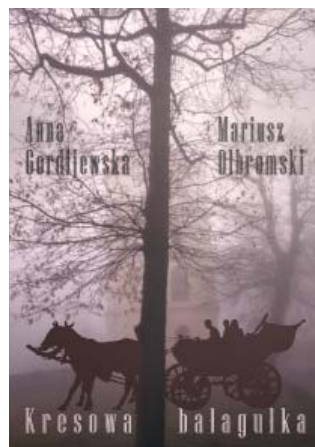
Nie wiem, kiedy Mariusz Olbromski, poeta, eseista, muzealnik i działacz kultury, był po raz pierwszy w życiu we Lwowie. Myślę, oczywiście, o obecności fizycznej, o jego pierwszej podróży do miasta nad Pełtwią, gdyż – co dyskretnie ujawnia w rozmowach z Anną Gordijewską – miasto to żyło w rodzinnej tradycji, a dom dziadków w Lubaczowie oraz obraz Matki Boskiej Łaskawej w lubaczowskiej konkatedrze nieustannie mu o nim przypominały. Takie ustawiczne *Memento Leopolis*. Przypuszczam – niech współautor *Kresowej bałagułki* sprostuje, jeśli moje przypuszczenia nie są trafne – że po raz pierwszy Olbromski przekroczył jeszcze polsko-radziecką granicę i stanął w grodzie Lwa (etymologicznie *Lwów* to przymiotnik dzierżawczy od imienia *Lew*, pol. *Leon*), gdy wstęp na Cmentarz Orłąt był wzbroniony, nekropolia tonęła pod zwalami śmieci, a rozdzielone Łyczakowskie lwy stały gdzieś na rogatkach miasta, jeden przed kliniką na Kulparkowie, drugi na drodze wylotowej do Winnik, wywiezione w 1971 r. po dewastacji cmentarza przez władze sowieckie. I zapewne wtedy nie wyobrażał sobie autor *Kresowej bałagułki*, że ta nekropola może zostać odbudowana, a lwy powrócą na Łyczaków. Nie wyobrażał sobie zapewne także, że kilkadziesiąt lat później wyda książkę w języku polskim w Tym Mieście i o Tym Mieście. Lwów bowiem jest książki Anny Gordijewskiej i Mariusza Olbromskiego osią konstrukcyjną...

Bałaguła (zdrobniale *bałagułka*) „we Lwowie, na Podolu, Wołyniu, Pokuciu czy Huculszczyźnie nazywano konne wozy, prymitywne bryczki na czterech okutych kołach” (*Od redakcji*, s. 5). Przewożono bałagułkami

mi podróżnych, najczęściej od dworca kolejowego do miejsc, gdzie nie sposób było się dostać w inny sposób. „Podróż, choć do celu nie zawsze było bardzo daleko, trwała dość długo, nie tylko ze względu na wertepy, nie najlepsze drogi. Ale przede wszystkim dlatego, że podróżnym się nie spieszyło.

Istotą bowiem tej podróży była kontemplacja mijanych miejsc, a przede wszystkim długa, spokojna i przyjazna rozmowa. Delektowanie się podróżą. Czasami robiono postoje dla odpoczynku, dla posilenia się, dla lepszego oglądu miejsca, widoku. Dzieleno się nawzajem informacjami, przeważnie o miejscach właśnie mijanych, o osobach je zamieszkujących, o wydarzeniach dawnych i najnowszych ze szlaku, którym wędrowała bałagułka” (ib.). Metonimicznie – przez styczność – proponuję nazwać *bałagułą* (*bałagułką*) także osobę podróżującą takim pojazdem, a nawet przenieść to słowo z człowieka, który podróżuje i w tej podróży gawędzi niezobowiązująco, na same rozmowy tego typu i tej urody. Ot, takie sobie *bałaguły!* W tym ostatnim wypadku *bałaguła* czy *bałagułka* byłaby więc tym, co za Michałem Bachtinem nazwano gatunkiem mowy. *Bałagułka* – jako gatunek mowy – może zostanie kiedyś opisana przez specjalistów od genologii lingwistycznej, a książka Gordijewskiej i Olbromskiego stanie się w tym opisie wzorcowym, prototypowym przedstawicielem nowej klasy tekstów. Już dziś jednak możemy napisać, że bałagułki Olbromskiego i Gordijewskiej są – jeśli wolno mi się posłużyć polonistycznym żargonem – „wzorowymi realizacjami tego gatunku”.

Kresowa bałagułka to – jak wyjaśnia podtytuł książki – wywiady Anny Gordijewskiej z Mariuszem Olbromskim dla „Kuriera Galicyjskiego”. Jest tych wywiadów-*bałagułek* w omawianej książce osiem. Ukazały się w większości w latach 2019–2020. Poświęcone są przeważnie wybranym polskim twór-



com wywodzącym się z Kresów. Niektóre nazwiska ujawnione są już w tytułach rozmów (Szymanowski i Iwaszkiewicz, Fredro, Wierzyński, Herbert). Bohaterem pierwszej rozmowy pt. *Alabastrowa szkatułka z Żurawna*, czego tytuł nie zdradza, jest Mikołaj Rej „z Nagłowic” (do cudzysłowu w tym miejscu jeszcze powrócimy). Nie znaczy to wcale, że lista wspomnianych twórców na tym się wyczerpuje, bo przecież pojawiają się tu inni, czasem tylko wzmiankowani, czasem (np. Andrzej Chciuk, Marian Hemar, Jan Lechoń i skamandryci, Henryk Sienkiewicz) omawiani szerzej, jak to w *bałagułce*. Czasami punktem wyjścia rozważań o literaturze, kulturze albo historii stają się ważne wydarzenia w dziejach Polski, np. lwowskie śluby króla Jana Kazimierza, albo ważne teksty kultury, jak np. kolędy.

Bohaterem tych *bałagułek* jest także sam współautor książki Mariusz Olbromski, bo mówi on najczęściej o artystach, których twórczość nie tylko poznawał poprzez lektury i studia, nie tylko poświęcił tym twórcom swoje własne utwory literackie, lecz także jako działacz kultury, m.in. dyrektor Muzeum Narodowego Ziemi Przemyskiej w Przemyśle oraz Muzeum im. Anny i Jarosława Iwaszkiewiczów w Stawisku (noty biograficzne autorów książki znajdziemy na s. 102–103), tę twórczość upowszechniał, organizując liczne imprezy (dni, festiwale, spotkania) czy – jakbyśmy dziś powiedzieli – wydarzenia albo nawet *iwenty*. Z tych wszystkich działań na pierwszym miejscu postawić trzeba dwadzieścia edycji „Dialogu Dwóch Kultur” w Krzemieńcu. Trwałym ich śladem pozostanie m.in. rocznik. pt. „Dialog Dwóch Kultur” (do 2021 r. ukazało się 14 tomów). Obecność Olbromskiego jest jednak dość dyskretna. W odpowiedzi na pytania Anny Gordijewskiej Olbromski-bałaguła nie epatuje opowieściami o swojej osobie, odśladania jednak, co w jego działalności i twórczości jest ważne oraz skąd czerpie swoje artystyczne inspiracje. Nie będzie przesadą, jeśli napiszę, że jedną z najważniejszych postaci w życiu i twórczości Mariusza Olbromskiego jest Święty Jan Paweł II. Nie dziwi więc, że święty z Wadowic, któremu Archidiecezja Lwowska była tak bliska, przewija się w tych bałagułkach.

Kresowa bałagułka pełna jest interesujących szczegółów historycznych, literackich

i nie wolna od smacznych anegdot. Powinni ją czytać przede wszystkim nauczyciele języka polskiego, którzy mają sporą wiedzę o literaturze polskiej i jej twórcach, ale wiedza ta została w znacznej mierze „odkresowiona”. Niech mi wolno będzie sięgnąć pamięcią do mojej własnej szkolnej edukacji – wśród znanych mi od szkoły średniej utworów Jana Kochanowskiego była fraszka tego poety pt. *Na sokalskie mogiły*. O jaki Sokal tu chodzi rozumiałem późno, już po studiach... Wiele innych utworów literackich tak w szkole średniej, jak i później podczas uniwersyteckich zajęć z historii literatury czytałem w oderwaniu od ich historycznego i geograficznego kontekstu. Myślę, że perełkowska szkoła w jakiś swoisty, pionierski – i szatański! – sposób realizowała program tzw. studiów postkolonialnych.

Wśród wielu pomysłów Mariusza Olbromskiego jest też idea otworzenia Muzeum Życia i Twórczości Mikołaja Reja („z Nagłowic”) w Żurawnie koło Lwowa. Tak się bowiem składa, że w świadomości współczesnych Polaków łączymy Reja z Nagłowicami (Kieleckie), choć przecież urodził się i poznawał świat na Rusi Czerwonej, w Żurawnie właśnie. Miałem to szczęście odwiedzić Żurawno dwukrotnie w towarzystwie autora książki oraz w gronie uczestników Dialogu Dwóch Kultur i podpisać deklarację o utworzeniu tego Muzeum. Od deklaracji, jak pokazuje życie, do realizacji projektu droga jeszcze daleka. To projekt wyrotowy, ale bardzo potrzebny, jeśli chcemy zachować ciągłość kultury polskiej. Piszę prowokacyjnie, ale wiem, co i dlaczego. Nie chodzi o pokolenie Olbromskich, nie chodzi o nas, którzyśmy maturę zdali jeszcze w PRL – w naszej mentalnej przestrzeni jest jeszcze miejsce na Kresy, na materialne i niematerialne dziedzictwo, które tam powstało i pozostało, gdyż mieliśmy szansę spotykać ludzi, którzy tam się urodzili i wychowali. Ale trzeba nam to dziedzictwo przekazać następnym pokoleniom. Możemy ten cel osiągnąć tylko wtedy, gdy będziemy to dziedzictwo poznawać, o tym dziedzictwie przypominać i o nim uczyć.

W ostatnich latach i w Polsce przyszła moda na studia postkolonialne. Wielu historyków i literaturoznawców próbuje interpretować dzieje I i II Rzeczypospolitej jako przejaw polskiej ekspansji kolonialnej na

wschód. Czytana w takiej perspektywie *Kresowa bałagutka* nie da się obronić. To wręcz wzorcowy przykład „melancholii dyskursu kresowego”, jak by powiedział prof. Dariusz Skórczewski, mój uniwersytecki kolega, autor znaczących prac z zakresu tzw. studiów postkolonialnych. Zdaję sobie sprawę, że wzajemne relacje narodów, klas społecznych i wyznań na terenie określanym Kresami nie były wzorcowe, że ani równości, ani sprawiedliwości w nich być nie mogło. Zanim jednak przystąpimy do „dekolonizacji”, musimy dokonać inwentaryzacji – nie chcemy, a nawet nie mamy prawa przepraszać za winy, o których nie wiemy i odżegnywać się choćby i od niewygodnego dziedzictwa, o którym z przyczyn politycznych po 1945 r. kazano nam zapomnieć. Mariusz Olbromski idzie w swoim pisaniu i działalności pod prąd, tak wtedy gdy nawołuje i namawia do porozumienia i współpracy ze środowiskami intelektualistów ukraińskich, jak i wtedy gdy przypomina niewygodne z perspektywy współczesnej poprawności politycznej fakty z polskiej przeszłości na Kresach. W tym drugim wypadku czyni to jednak z wdziękiem i bez politycznego zaciętrzewienia.

Mariusz Olbromski i Anna Gordijewska wiozą nas swoją kresową bałagutką przez drogi, a czasem i bezdroża kultury polskiej. Gdy czytałem te wywiady w internetowej wersji „Kuriera Galicyjskiego” – znaczącego dziś polskiego pisma kulturalnego, nie dostrzegłem ich uroku i wartości poznawczych. Zebrane w całość porywają czytelnika i każą oczekiwać na tej niespiesznej podróży szybką kontynuację.

Henryk Duda

Anna Gordijewska, Mariusz Olbromski, *Kresowa bałagutka. Wywiady Anny Gordijewskiej z Mariuszem Olbromskim dla „Kuriera Galicyjskiego”*, część pierwsza, Lwów 2020, 124 ss. (Biblioteka Kuriera Galicyjskiego)

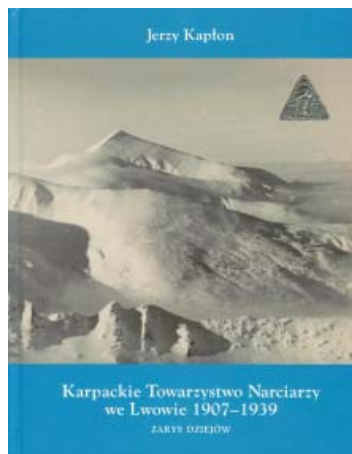
HENRYK DUDA, dr hab., polonista, slawista, profesor KUL. Pracownik naukowy Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II, obecnie kierownik Katedry Języka Polskiego w Instytucie Językoznawstwa na Wydziale Nauk Humanistycznym. Ponadto w latach 1992–2006 pracownik Nauczycielskiego Kolegium Języka Polskiego, a od 2006 do 2013 r. Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej im. Szymona Szymonowica w Zamościu.

W latach 1996 i 2001 *visiting professor* w University of Ottawa, w latach 2004–2006 w Tokyo University of Foreign Studies. Główny obszar badań: językoznawstwo (w szczególności historia języka polskiego, język autorów, polsko-ukraińskie kontakty językowe i kulturowe, kultura języka). Autor książki „*Każdą razą Biblią odmieniać...*”. *Moderнизacja języka przedruków Nowego Testamentu ks. Jakuba Wujka w XVII i XVIII wieku* (1998) oraz artykułów z powyższych dziedzin.

Karpackie Towarzystwo Narciarzy

Karpackie Towarzystwo Narciarzy we Lwowie 1907–1939. *Zarys dziejów* to książka autorstwa Jerzego Kapłona, wydana nakładem Oficyny Wydawniczej Wierchy Centralnego Ośrodka Turystyki Górskiej Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego w Krakowie oraz autora (pod datą 2020). Sam autor podkreśla, że jest to rozszerzona wersja jego książki z 2018 roku pt. *Początki narciarstwa polskiego. Karpackie Towarzystwo Narciarzy 1907–1939*, wydanej również przez „Wierchy”.

Autor Jerzy Kapłon to z wykształcenia inżynier-mechanik, a sercem i ciałem zagorzały turysta i działacz turystyczny od czterdziestu pięciu lat w PTTK. Nie kryję, że zaczęliśmy wspólnie działalność organizacyjną w latach siedemdziesiątych pod skrzydłami Edwarda Moskały, który zorganizował silną grupę w formie Podkomisji Kultury i Historii Turystyki Górskiej przy Komisji Turystyki Górskiej Zarządu Głównego PTTK. Działalność Podkomisji opierała się o jego biuro w suterynie Domu Turysty przy ul. Westerplatte oraz lokal PTTK przy Placu Wszystkich Świętych. Ech, łażą się w oku kręci na wspomnienie ludzi szczerze kochających góry i chcących, aby turystykę upra-



wiano ze świadomością jej historii oraz kulturalnie. Efektem niezamordowanej pracy Edwarda Moskały i ludzi z Podkomisji jest kilka niewielkich, ale świetnie działających muzeów przy schroniskach, a przede wszystkim działalność wydawnicza działaczy przy muzeach skupionych. W 2003 r. Jerzy Kapłon objął funkcję dyrektora Centralnego Ośrodka Turystyki Górskiej PTTK w Krakowie przy ul. Jagiellońskiej, a 6 lipca 2019 roku został prezesem zarządu głównego Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego. I dobrze się stało.

Ale Jurek Kapłon to może przede wszystkim lwowiak. Mieszkając w Krakowie, działając w setkach miejsc, pozostaje lwowiakiem! W jego publikacji zbiegają się zatem jego natura i pasja, a my mamy korzyść w postaci upowszechnienia wiedzy i fotografii z domowego archiwum Alicji i Jerzego Kapłonów i – w mniejszej ilości – z Muzeum Tatrzańskiego w Zakopanem oraz Muzeum Sportu i Turystyki w Warszawie. Niektóre z tych fotografii powinny zasilić nawet szkolne podręczniki, a wówczas wzrosłoby wśród młodzieży zainteresowanie historią, nieograniczoną do wojen i polityki, ale uświadamiającą np. fakt, że sto lat temu narciarski turysta, używający zamiast dwóch kijków jednego długiego kija, bardziej przypominał gondoliera niż współczesnego zjazdowca.

Piękna i elegancka edycja zachęcają do zakupu (również na prezent), a redaktor publikacji Wiesław Aleksander Wójcik to gwarancja wysokiego poziomu merytorycznego.

Przyznam, że moja uwaga skupiła się głównie na tabelarycznych ujęciach działaczy i skorowidzu nazwisk. Mam też wrażenie, że jeżeli krakowianie zerknęliby na książkę, tak jak ja uczyniłem to w pierwszym odruchu, to w krótkim czasie należałoby nakład powiększyć co najmniej dziesięciokrotnie...

Książka zawiera też bardzo cenne źródła (jak rachunki za wykonywane na rzecz Towarzystwa prace budowlane i projekty obiektów turystycznych). To cenne wiadomości dla odtworzenia wiedzy o tamtych czasach z zakresu architektury i ekonomii. Dobrze, że autor w swoim holistycznym podejściu do tematu użył takich źródeł jak „Księga noclegów” ze schroniska w Sławsku (ze zbiorów Ossolineum), bo tym samym pokazał, jakie bogactwo informacyjne tkwi w tego typu dokumentach, i umiał to wykorzystać.

Autor podkreśla, że to nie Kraków, ale Lwów był i pod tym względem pierwszym miastem, którego mieszkańcy docenili znaczenie turystyki narciarskiej.

Są w książce Jurka Kapłona również i piękne „kwiatuszki”. Za takie można uznać skan umowy, pieczętowanej odciskami palców przez dwóch ruskich chłopów-analfabetów i ogłoszenie w gazecie o kolejnej eskapadzie pt. *Brydż i narty*, polegającej na wyjeździe luksusowym pociągiem z wagonem restauracyjnym i trzema wagonami, dostosowanymi do gry w brydża, wyczynach na śniegu i powrót tymże samym pociągiem do Lwowa ok. godz. 21.00. To było tuż przed drugą wojną światową. To była niekoniecz-

Prośba z Bolesławca

Pan Władysław Olszewski (drohobyczanin) zwrócił się do nas z następującą prośbą: W Bolesławcu powstała nowa biblioteka publiczna, w której środowisko kresowe utworzyło „Kącik Kresowy”, a który w przyszłości ma być zamieniony na Dział Kresowy tejże biblioteki. Bardzo chcielibyśmy wzbogacić go we wszelkie publikacje (książki, czasopisma) dotyczące Kresów. Mamy komplet „Semper Fidelis” i „Głosów Podolan”, niestety nie mamy kwartalnika „Cracovia–Leopolis”. Dlatego zwracamy

się do Czytelników z prośbą o podarowanie naszej bibliotece roczników „Cracovia–Leopolis” od początku jego wydawania. Z pewnością w wielu kresowych domach takie roczniki się uchowały. Pokolenie wygnańców z Kresów odchodzi, młodzi nie zawsze interesują się przeszłością. Mamy nadzieję, że w naszej bibliotece te materiały będą bezpieczne i przysłużą się przekazaniu młodym czytelnikom wiedzy na tematy kresowe, tak ważne dla historii naszego kraju. Jeśli mogą Państwo podarować roczniki „Cracovia–Leopolis”, proszę skontaktować się z panem Władysławem Olszewskim. Tel. **661 163 370**

nie największa lwowska elita intelektualna, ale po prostu zwykli lwowiaczy, którzy łączyli pasje: narciarską i brydżową... Przyznam, że czytając to ogłoszenie wezbrała we mnie – jako w Polaku i historyku – fala złości na myśl o ocenie agresji oraz okupacji dwóch totalitaryzmów, które przy różnych interesach zjednoczyły się właśnie szczególnie przeciw Polakom. Gdy dziś mówimy o hitlerowskich i sowieckich zbrodniach wojennych, to pamiętajmy przy tym jeszcze o zazwyczaj przemilczanych zbrodniach przeciw osiągnięciom cywilizacyjnym. Bo oto owi brydżyści i miłośnicy sportów zimowych stali się zapewne ofiarami prymitywnych żołdaków, wrpęgniętych w systemy totalitarne. Tak przedstawiają się losy przedwojenne i wojenne Lwowa, który istnieje w takich książkach jak *Karpackie Towarzystwo Narciarzy we Lwowie 1907–1939. Zarys dziejów* jako wyrzut sumienia dla patrzących na dzieje przez pryzmat siły lub cyfr.

W polskiej polityce historycznej najbardziej dotkliwym mankamentem jest notoryczny brak specjalnego ośrodka badań i muzeum, ukazującego dzieje Polaków na całym obszarze ich zamieszkiwania przez kilka setek lat, ze szczególnym uwzględnieniem pamięci o rozległych terenach na wschód od naszej obecnej granicy. Książka pt. *Karpackie Towarzystwo Narciarzy we Lwowie 1907–1939. Zarys dziejów* miałaby w takim muzeum prawdziwie godne miejsce.

Gratulując Jerzemu Kapłonowi publikacji, żywię nadzieję, że dane mi będzie urządzić z nim spotkanie historyczne o pozornie wąskim, ale ważnym, a przede wszystkim reprezentatywnym dla Polaków z tak zwanych Kresów, wycinku dziejów ojczystych.

Piotr Boroń

Zostali na wschodzie

Kazimierz Lutostawski, Sybirak, mieszkaniec Drohobycza, zapytany kiedyś, dlaczego nie wyjechał do nowej Polski, odpowiedział: *gdybyśmy wszyscy odjechali, cały świat powiedziałby z przekonaniem, że tutaj nigdy nie było Polski.*

Wg badań Jana Czerniakiewicza w latach 1944–48 z terenów polskich włączo-

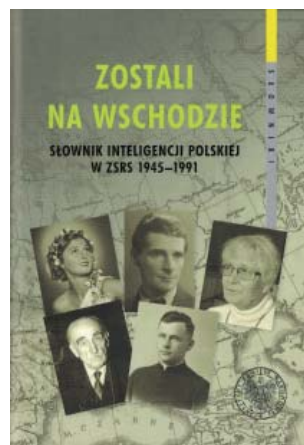
nych do ZSRR zmuszonych zostało do wyjazdu 1 517 983 osób. Najwięcej w granice powojennej Polski przybyło z Kresów Południowo-Wschodnich, bo aż 787 674 osób.

Zostali na wschodzie. Słownik inteligencji polskiej w ZSRS 1945–1991, tom 1, pod redakcją Adama Hlebowicza, wydany przez Instytut Pamięci Narodowej

w 2021 roku, jest pierwszym tomem szerzej zakrojonej publikacji, chyba pierwszej tego rodzaju. Szykują się zatem kolejne tomy, ukazujące biografie „ludzi nadziei”, którzy jako strażnicy polskości pozostali w swych ukochanych miastach na Kresach.

Tom opatrzony został *Przedmową* przez prezesa IPN dra Jarosława Szarka. Rekomendując książkę stwierdził, że prezentowany *Słownik... to nie tylko nazwiska, daty i miejsca, ale nade wszystko poruszające świadectwo wierności polskiej i chrześcijańskiej tradycji w czasie, który nie dawał żadnej nadziei.* A obszerny wstęp, będący ważnym przewodnikiem po *Słowniku*, jak i tematach poruszanych w zamieszczonych biogramach, napisał Adam Hlebowicz – redaktor naukowy *Słownika...* i autor wielu biogramów tam zamieszczonych.

Omawiany tom zawiera 78 biogramów Polaków, którzy po 1945 roku pozostali w granicach Związku Radzieckiego nie tylko na Kresach, ale także w innych śródowniskach Polaków. Hasła w książce pogrupowane zostały z uwzględnieniem współczesnych państwowości, które po 1989 roku wyodrębniły się z komunistycznego Związku Radzieckiego: Białoruś (17 biogramów), Kazachstan (2 biogramy), Litwa (14 biogramów), Łotwa (10 biogramów), Rosja (6 biogramów) i Ukraina (29 biogramów). Czytelników naszego pisma bez wątpienia najbardziej interesować będzie część hasel związanych z Ukrainą, wszak „Cracovia–Leopolis” w głównej mierze zwrócona jest ku Kresom Południowo-Wschodnim, ale w myśl starej zasady, że nic co z Kresami



związane nie jest nam obce, z zainteresowaniem przeczytamy biogramy Polaków z innych rejonów. Tym bardziej, że przecież zarówno Lwów ubogacał specjalistami całą Polskę – szczególnie po I wojnie światowej, gdy Polskość stwarzała się po 150-letniej niewoli. Ale i do Lwowa przybywali Polacy z różnych stron, wiążąc się z tym miastem do grobowej deski – choćby wybitny historyk sztuki prof. Mieczysław Gębarowicz pochodzący z Jarosławia czy prof. Adam Kuryłło z Potoczka koło Janowa Lubelskiego – związany z Politechniką Lwowską specjalista z zakresu statyki budowli i budownictwa żelazobetonowego.

Jestem przekonany, że redaktor naukowy, dobierając do tego tomu biogramy, kierował się znaczeniem opisywanych postaci działających w określonych środowiskach. Dlatego też większość z nich interesującym się Kresami nie jest obca. Z niektórymi wielu z naszych Czytelników być może nawet się spotykało, choć ta grupa osób jest też coraz węższa. Tym bardziej powstanie i obecność takiego *Słownika...* jest wskazana, a nawet obowiązkowa. Czy czekając na kolejne, zapowiadane tomy *Słownika...* można podpowiadać wydawcom postaci, które według czytelników powinny się znaleźć w takiej publikacji – nie wiem. Pewnie redaktor naukowy dokonał kwerendy i ma już gotowy plan kolejnego tomu, żal jednak byłoby, gdyby ktoś ważny dla Kresów został pominięty...

Janusz M. Paluch

Zostali na wschodzie. Słownik inteligencji polskiej w ZSRS 1945–1991, tom 1, redakcja naukowa Adam Hlebowicz, Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa 2021

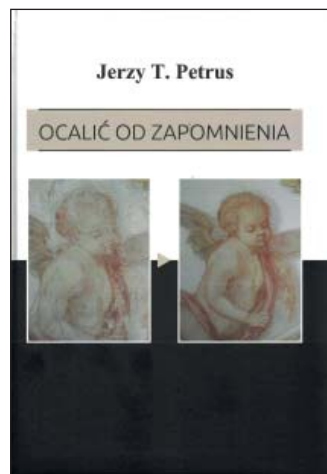
Ocalić od zapomnienia

Któż nie pamięta serii książek redagowanych przez prof. Ryszarda Brykowskiego (1931–2017), które rozchodziły się wśród czytelników jak przysłówowe „ciepłe bułeczki”... *Żółkiew, Kołomyja* czy *Drohobycz* czytało się z zapartym tchem, czekając na następne tomy. Nie każdego obchodził fakt, iż ta seria była pokłosiem jednego z nurtów działalności Ośrodka ds.

Polskiego Dziedzictwa Kulturowego poza Granicami Kraju. Ośrodek powstał 22 kwietnia 1993 roku w ramach Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”. Była to odpowiedź na apel Zjazdu Polonii i Polaków z Zagranicy, który odbył się w 1992 roku w Krakowie.

Ośrodek, na czele którego stanął jego inicjator prof. Ryszard Brykowski (kierował nim do 2008 roku), przez lata podejmował wiele cennych inicjatyw. W 2009 roku w miejsce warszawskiego Ośrodka powołano Ośrodek Ochrony Polskiego Dziedzictwa za Granicą, który osadzony został w krakowskim „Domu Polonii”, a na jego szefa powołano Jerzego T. Petrusa, wówczas wicedyrektora Zamku na Wawelu. Właśnie działalności tych dwóch organów poświęcona jest książka Jerzego T. Petrusa *Ocalić od zapomnienia*, wydana przez Oddział Krakowski Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”. Działaniami objęte zostały tereny wielu państw, w których pozostały materialne ślady polskości. Jest wchód – Litwa, Łotwa, Białoruś, Ukraina, Mołdawia, Rumunia i Rosja. Jest zachód – Belgia, Francja. Ale jest też Chile. Największym beneficjentem działalności ośrodków była Ukraina, jest to bowiem największy obszar dawnych kresów Rzeczypospolitej – zarówno I jak i II. Lektura tej książki, zawierającej katalog prac wykonywanych na przestrzeni 1993–2014, ukazuje troskę Polaków, nie tylko państwa, ale tych setek ludzi zaangażowanych w prace ośrodków, o dziedzictwo kulturowe. W wielu przypadkach była to walka o utwalenie ruiny, która przecież jest wciąż reliktem polskości i niemym świadkiem ważnych historycznych wydarzeń.

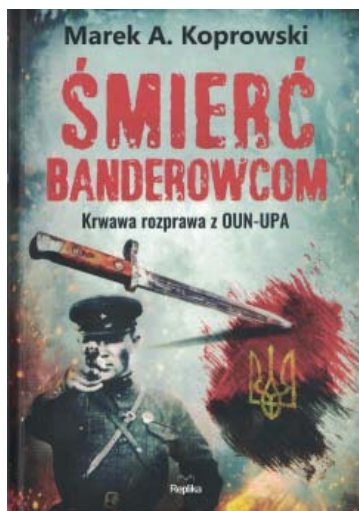
Jerzy T. Petrus, *Ocalić od zapomnienia*, Oddział Krakowski Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”, Kraków 2020



Śmierć banderowcom!

Osobom interesującym się Kresami – Marka Koprowskiego, pisarza, publicyście i dokumentalisty od lat zajmującego się Kresami, przedstawiać nie trzeba. Jest autorem kilkudziesięciu książek będących wynikiem ponad 120 podróży po Kresach, ale też po Rosji, aż po Sachalin i Kamczatkę, wszędzie tam, gdzie historia, dramatyczne losy rzucili Polaków.

W ostatnim czasie ukazała się jego nowa książka zatytułowana *Śmierć banderowcom. Krwawa rozprawa z OUN-UPA* będąca trzecią częścią cyklu poświęconego tej zbrodniczej organizacji. Poświęcona jest wydarzeniom, jakie miały miejsce w latach 1944–1954, które doprowadziły do likwidacji ukraińskiego podziemia OUN-UPA, prowadzącego partyzancką walkę z Rosjanami. Na czele nacjonalistycznego podziemia ukraińskiego stali ci sami przywódcy, którzy mordowali wcześniej Polaków. Liczyli na wybuch III wojny światowej, które miało przynieść stworzenie państwowości ukraińskiej. Dwie wcześniejsze książki to *Narodziny ukraińskiego nacjonalizmu. Bandera. Szeptycki. OUN* – książka poświęcona czasom przedwojennym oraz *Rzeźnicy z OUN-UPA. Bandera, Szeptycki i ludobójstwo Polaków* – opisująca wydarzenia w czasie II wojny światowej na terenie zachodniej Ukrainy. Marek Koprowski w swej pracy pisarskiej od lat podejmuje trudne tematy, starając się wyjaśnić je jak najdokładniej, obiektywnie przedstawić opisywane wydarzenia. W książce ukazującej koniec OUN-UPA, okazuje się pozorny, bo nacjonalizm na Ukrainie, ale nie tylko, przecież przeżywa wielki renesans, autor opiera się na literaturze polskiej, rosyjskiej i ukraińskiej z uwzględnieniem wydanych



na Ukrainie dokumentów sowieckich służb bezpieczeństwa. Do likwidacji partyzantki wykorzystano wszystkie możliwe oddziały wojskowe, miejscowa ludność także identyfikowała się z siłami rosyjskimi, wspomagając ich w wyłapywaniu ukrywających się nacjonalistów.

Koprowski dość wyraziście pokazuje stanowisko arcybiskupa cerkwi grekokatolickiej Andrzeja Szeptyckiego wobec poczynań UPA. Metropolita u kresu życia potępił banderowców, uznając ich postępowanie za nieszczęście dla Ukraińców. Dostrzegając zagrożenia, usiłował doprowadzić do porozumienia z Rosjanami, by przede wszystkim ratować Cerkiew grekokatolicką. Dwuznaczna jej postawa, która pokładała wcześniej nadzieje w agresji na Rosję przez Hitlera, a później na wyczekiwanie III wojny światowej, doprowadziła do uznania jej za przybudówkę banderowców. Doprowadziło to do likwidacji Kościoła grekokatolickiego, co spowodowało, że część duchownych przeszła do cerkwi prawosławnej, reszta zaś znalazła się w podziemiu. Śmierć metropolity Szeptyckiego, choć nie była na rękę Rosjanom, nie zmieniła w żaden sposób biegu historii. Koprowski sugeruje jednak: *Gdyby żył jeszcze rok lub chociaż kilka miesięcy, jego jednoznaczne potępienie „banderowszczyzny” sprawiłoby, że dziś Banderze nikt by we Lwowie nie stawiał pomników, a „banderowszczyzna” zostałaby uznana za nieszczęście ukraińskiego narodu.*

Książka, jak wszystkie inne Marka Koprowskiego, napisana jest sprawnie. Czyta się ją z zainteresowaniem. Można ją potraktować jak wykład historyczny, swoisty wstęp do dalszej, naukowej lektury na temat dziejów nacjonalizmu ukraińskiego.

Janusz M. Paluch

Marek Koprowski, *Śmierć banderowcom. Krwawa rozprawa z OUN-UPA*, Wydawnictwo Replika, Poznań 2020

Nie żyje Emilia Chmielowa

27 kwietnia 2021

Emilia Chmielowa, wieloletnia prezes Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie, zmarła w wieku 72 lat. Odeszła we wtorek 27 kwietnia po długiej i ciężkiej chorobie. Urodzona we Lwowie całe życie była wierna naszemu miastu. Z jej odejściem skończyła się pewna epoka.

We Lwowie ukończyła studia w Akademii Wychowania Fizycznego, była zawodniczką w pływaniu i trenerką. Później zaangażowała się na rzecz zachowania i odrodzenia polskości na terenie całej Ukrainy. Była współzałożycielką i prezesem Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie powstałej w 1991 roku, zrzeszającej 18 tysięcy Polaków i osób polskiego pochodzenia w 134 organizacjach. Emilia Chmielowa odegrała ogromną rolę w procesie odrodzenia i krzewienia polskości na Ukrainie. Była osobą wyjątkową – słynęła z energii i charyzmy. Jak sama twierdziła, zahartował ją właśnie sport. Nie skupiała się na sobie, zawsze mówiła o innych. Wielu osobom pomagała, choć sama mieszkała w skromnych warunkach. Lubiła młodzież, starała się promować młode i zdolne osoby.

Emilia Chmielowa w ciągu wielu lat pełniła funkcję członka Rady Konsultacyjnej Domu Polskiego we Lwowie, sekretarza Europejskiej Unii Wspólnot Polonijnych oraz wiceprzewodniczącej Rady Polonii Świata. Była również członkiem Polonijnej Rady Konsultacyjnej przy Marszałku Senatu RP.

Promowała kulturę polską, m.in. zainicjowała Festiwal Kultury Polskiej na Ukrainie. Działała na rzecz szkolnictwa polskiego na tych terenach. Była współzałożycielką Zjednoczenia Nauczycieli Polskich na Ukrainie i członkiem zarządu Ogólnoukraińskiego Koordynacyjno-Metodycznego Centrum Nauczania Języka i Kultury Polskiej na Ukrainie.

Stałym obszarem jej działania była promocja kultury polskiej. Znaczącym przykładem tego jest m.in. organizowanie Festiwali Kultury Polskiej na Ukrainie. Szczególnie cennym dorobkiem Emilii Chmielowej są



Emilia Chmielowa, styczeń 2021, fot. Alina Wozi-Jan / Nowy Kurier Galicyjski

międzynarodowe konferencje naukowe, zainicjowane i realizowane wyprawy badawcze po Ukrainie. Wielką wagę przywiązywała do pracy z młodzieżą, organizując konkursy recytatorskie, młodzieżowe rajdy turystyczne, zawody sportowe. Dzięki jej staraniom powstały Domy Polskie w Żytomierzu i Kijowie.

Promowała polskie zespoły teatralne i folklorystyczne z Ukrainy, szczególnym sentymentem darzyła Festiwal Kultury Kresowej w Mrągowie. Dzięki jej inicjatywie powstało Polsko-Krymskotatarsko-Żydowsko-Ukraińskie Międzyreligijne Seminarium Młodzieży „Arka” oraz wiele innych inicjatyw służących dialogowi między Polakami i Ukraińcami. Wiele trudu włożyła wraz z Zarządem FOPNu w walkę o przyjęcie ustawy RP o Karcie Polaka.

W uznaniu zasług za Jej działalność Emilia Chmielowa została odznaczona m.in. Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Oficerskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej, Krzyżem Kawalerskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej oraz wieloma medalami i odznakami honorowymi.

Msza święta w intencji zmarłej Emilii Chmielowej odbyła się w Katedrze Lwowskiej. Prezes FOP na Ukrainie została pochowana na Cmentarzu Łyczakowskim.

Cześć Jej pamięci!

Anna Gordijewska

Wspomnienie o śp. Annie Madej (1948–2021)

10 listopada 2021 roku odeszła z naszego grona Ania Madej, która od roku 2002 pełniła funkcję prezesa Klubu Tarnopolan w obrębie Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Jako osoba sumienna i odpowiedzialna wspaniale prowadziła działalność klubu. Polegało to na organizowaniu comiesięcznych zebrań, współpracy z Towarzystwem Kulturalno-Oświatowym w Tarnopolu. Nawiązano bliskie kontakty z nauczycielami języka polskiego w Tarnopolu, dostarczając książki i podręczniki dla młodzieży. Od wielu lat odbywają się ogólnopolskie Zjazdy Tarnopolan, w których Ania brała czynny udział, także uczestnicząc w ich organizacji. Każdego roku po kolejnym Zjeździe w kwartalniku „Cracovia–Leopolis”, jako wieloletni członek redakcji, ale także uczestniczka Zjazdów umieszczała swoje relacje i komentarze.

Zatem aktywność Ani z myślą o Tarnopolu była wielostronna.

Zastanawiałam się nad motywacją Jej tak intensywnych działań na rzecz Tarnopola. Wiedziałam, że nie urodziła się w Tarnopolu, wobec tego skąd u Niej tyle serca i zapału? Wyjaśnia to historia Jej rodziny. Rodzice mieszkali w Czortkowie, brat mamy dziadka (Eugeniusz Spittal) był profesorem w gimnazjum w Tarnopolu. Tu też mieszkała bliska rodzina dziadka. I oto jest wzór dla potomnych pokazujący, jak należy pielęgnować pamięć o bliskich i miejscach, w których żyli, których nie można zapomnieć, zwłaszcza w przypadku ziem utraconych.

Teraz, kiedy wspominam Anię, uświadamiam sobie coraz bardziej, ile spraw, działań, inicjatyw było Jej zasługą i wszystko było dla Niej ważne. Nade wszystko dbała o stały kontakt „z Tarnopolem” (ks. Andrzej Malig, prezes Towarzystwa Kulturalno-Oświatowego w Tarnopolu i indywidualnie mieszkający tam do dziś Polacy).

Dopóki żył Czesław Blicharski, dbała o stały z Nim kontakt, a podczas Zjazdu Tarnopolan w Krakowie, dzięki Ani, uczest-

nicy mogli odwiedzić Archiwum Tarnopolskie Rodziny Blicharskich.

W dniu Wszystkich Świętych kwestowała na rzecz cmentarza w Tarnopolu; podczas mszy św. w intencji Obrońców Lwowa w Bazylice Mariackiej 22 listopada każdego roku nagrywała treść homilii, którą potem zamieszczała w kwartalniku „Cracovia–Leopolis”. Gdy zmarła Basia Szumska, od razu zajęła się dystrybucją kolejnych kwartalników CL do stałych odbiorców. Projektowała kartki świąteczne, które wysyłała do znajomych naszego Oddziału. Organizowała opłatki dla członków Koła Tarnopolan, które zwykle swą obecnością zaszczycał ks. Tadeusz Isakowicz-Zalewski.

Ania była dobrym, serdecznym Człowiekiem, cicha, bezkonfliktowa, bardzo pracowita, w trudnych sytuacjach, które przez ostatnie lata zdarzały się z różnych powodów, zawsze można było na Nią liczyć – szczególnie doceniał to nasz były prezes Stanisław Czerny.

Była też bardzo niewymagająca, mimo niełatwego życia pogodna, a to, co lubiła i miała od czasu do czasu dla siebie, to wybieczki, organizowane w różne strony przez Romę Żukową. Na wieczornych „posiadach” cieszyła się, że jest w gronie, w którym czuła się szczęśliwa.

Ania odeszła otoczona modlitwą wielu, wielu osób, którym była bliska. A dla nas nastał czas, żeby pomyśleć o Ani, uzmysłowić sobie, kim była, jaka była i kogo tak bardzo w różnych chwilach nam zabraknie.

Spozycywaj, Aniu, w pokoju... Zostajesz w naszych sercach i pamięci!

*Anna Stengl
w imieniu Zarządu i Przyjaciół
z Towarzystwa Miłośników Lwowa
i Kresów Południowo-Wschodnich oraz
Zespołu Redakcyjnego „Cracovia–Leopolis”*



Nowy Zarząd Oddziału Krakowskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

28 września 2021 w Sali Fontany w Klubie Dziennikarzy „Pod Gruszką” odbyło się Zebranie Sprawozdawczo-Wyborcze TMLiKP-W Oddział Kraków. Kadencja 2016–2020 upłynęła w grudniu 2020, ale z powodu pandemii nie można było zwołać zebrania wcześniej. Możliwe to było dopiero we wrześniu br. Zebranie pod przewodnictwem Czesława Wilczyńskiego przebiegło sprawnie i zgodnie z regulaminem. Nowym prezesem został wybrany Lesław Popławski, a w skład siedmioosobowego zarządu weszli: Anna Madej i Czesław Wilczyński jako wiceprezesi, Barbara Olasińska – sekretarz, Kasper Bednarek – skarbnik, oraz Marian Bielecki i Krystyna Stafińska jako członkowie i Romana Krzemień jako zastępca członka.

Wybrano też dwoje delegatów: Lesława Popławskiego i Krystynę Stafińską na Krajowy Zjazd Sprawozdawczo-Wyborczy Delegatów TMLiKPW we Wrocławiu, który odbył się w dniach 22–24 października 2021 r.

W trakcie Zjazdu we Wrocławiu, w wyniku tajnego głosowania, prezesem Zarządu Głównego TMLiKPW wybrany został Adam Kiwacki – prezes Oddziału TMLiKPW w Częstochowie. Znaczej zmianie uległ też 13-osobowy dotychczasowy skład członków Zarządu Głównego. Delegacja krakowska złożyła m.in. wnioski o nadanie godności Honorowego Członkostwa TMLiKPW Stanisławowi Czernemu, byłemu prezesowi Krakowskiego Oddziału TMLiKPW.

Nowo wybrany Prezes przedstawił główne kierunki działania Oddziału. Zostały one uzupełnione przez wnioski zgłoszone przez członków-mandatariuszy. Podsumowując, w kadencji 2021–2025 Oddział Krakowski TMLiKP-W kupi się na:

1. Kontynuowaniu prac remontowo-porządkowych na Cmentarzu Łyczakowskim, z równoczesnym prowadzeniem dokumentacji opisowo-fotograficzno-finansowej. Rozważy też możliwość takich prac

na Cmentarzu Janowskim czy innych nekropoliach.

2. Organizowaniu dorocznej kwesty na cmentarzach krakowskich na rzecz ratowania polskich grobów na Cmentarzu Łyczakowskim (biorąc pod uwagę możliwości wynikające z restrykcji pandemicznych). Wykorzystanie dla zbiórki nowych technologii (Internetu).
3. Usilnym kontynuowaniu ze strony Oddziału inicjatywy powstania pomnika Obrońców Lwowa (Orląt Lwowskich) poprzez popieranie działań istniejącego Komitetu Honorowego budowy pomnika, a także utworzenie petycji (z podpisami), jej rozpropagowanie (również przez Internet) i przedłożenie w Urzędzie Rady Miasta Krakowa.
4. Wystąpieniu do władz miasta z wnioskiem o nazwanie jednej z ulic ku czci Ofiar rzezi wołyńskiej, przy czym należy zastanowić się nad sprecyzowaniem nazwy.
5. Podjęciu działań organizacyjnych w kierunku stworzenia internetowej listy wybitnych zasłużonych Polaków z Ziemi Lwowskiej i Kresów Południowo-Wschodnich (ewentualnie towarzyszącej tej liście wystawy).
6. Kontynuowaniu starań o pozyskanie osobowości prawnej poprzez uzyskanie przez Oddział wpisu do Krajowego Rejestru Sądowego (KRS).
7. Rozważeniu przez Zarząd sposobu na utworzenie fundacji w miejsce Organizacji Pożytku Publicznego celem uniknięcia biurokratycznych formalności i bardzo drobiazgowych rozliczeń z pozyskanych funduszy.
8. Zobligowaniu Członków Towarzystwa do aktywnego działania na rzecz pozyskania funduszy dla bieżącej działalności, jak również pozyskanie sponsorów, a także zastanowienie się nad zwiększeniem kwoty rocznej składki Członków Towarzystwa.

9. Wydawaniu kwartalnika „Cracovia–Leopolis”, popularyzującego pamięć historyczną, polskość i dziedzictwo utraconych ziem południowo-wschodnich II RP.
10. Zamieszczaniu i uaktualnianiu informacji i korespondencji za pośrednictwem Internetu z Zarządem Głównym, innymi oddziałami i Członkami Krakowskiego Towarzystwa.
11. Zacieśnianiu współpracy z polskimi organizacjami we Lwowie i szerzej na Kresach Pd.-Wsch., udzielaniu pomocy, pozostawiając Oddziałom i Kołom dowolność w sposobie jej przekazywania.
12. Szukaniu dróg do pozyskiwania młodego pokolenia w szeregi TMLiKP-W.
13. Wznowieniu starań o możliwość odprawiania mszy św. w Katedrze na Wawelu, z wystawieniem obrazu Matki Bożej Łaskawej z Katedry we Lwowie (przechowywanym w katedralnym Skarbcu).
14. Korzystając z rysującej się możliwości utworzenia Muzeum Dziedzictwa i Kultury Kresów w Brzegu, należy poprzeć inicjatywę i w miarę potrzeb włączyć się do opracowania wspólnej koncepcji muzeum, uwzględniając nowoczesną i atrakcyjną aranżację ekspozycji.

Ufamy, że jeśli szeregowi Członkowie aktywnie włączą się w nasze działania, to zdołamy zrealizować program na kadencję 2021–2025.

Podziękowania dla Stanisława Czernego

Szanownemu Panu Stanisławowi Czernemu, ustępującemu Prezesowi Krakowskiego Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, pragniemy złożyć serdeczne podziękowania za wieloletnią, pełną oddania działalność na rzecz upamiętnienia kulturowego utraconych ziem II Rzeczypospolitej wraz z pięknym, nieodżałowanym Lwowem.

Jako aktywnie działający członek, wiceprezes, następnie Prezes Krakowskiego Oddziału TMLiKP-W dał się poznać jako człowiek niezwykle pracowity, przedsiębiorczy, odpowiedzialny, a przy tym bardzo skromny. Jego troska o każdą dziedzinę naszej tożsamości przejawiała się we wszystkich działaniach, również staraniach o ciągłość wydawania kwartalnika „Cracovia–Leopolis”, a także dochowanie tradycji odbywających się mszy św. w Bazylice Mariackiej w kolejne rocznice Obrony Lwowa 22 listopada każdego roku.

Szczególnie należy podkreślić i docenić Jego dbałość o mogiły Polaków na Cmentarzu Łyczakowskim. Organizowanie kwest, wyjazdy do Lwowa w celu typowania kolejnych grobów do renowacji, uzgodnienia z wykonawcami, podczas każdego pobytu pokonywanie kilometrów w obrębie cmentarza, wszystkie te działania wymagały wiele trudu, ale nie dla Stanisława Czernego.



Stanisław Czerny, przewodniczący Zarządu OK TMLiKPR poprzedniej kadencji

Zapewne, w miarę możliwości, będzie te starania kontynuował.

Dziękując za wieloletnią pracę, oddanie wielkiej sprawie, z nadzieją, że doświadczenie, odpowiedzialność i miłość do Lwowa pozostaną w sercu naszego dotychczasowego Prezesa, życzymy dobrego zdrowia i długich lat życia dla naszej Ojczyzny, dla społeczeństwa i dla naszego Towarzystwa.

Pozostajemy z wielkim szacunkiem i serdecznością

wdzięczni
Prezes Lesław Popławski
oraz Zarząd i Członkowie
Krakowskiego Oddziału Towarzystwa
Miłośników Lwowa
i Kresów Południowo-Wschodnich

Jarosław Gowin

Leoś i smuga cienia

W conocnej magii lwowskich uliczek
niewiarygodne rzeczy się dzieją –
ludziom się zdarza gadać z księżycem.
Doświadczył tego nasz drogi Leoś.

Błądził przymglony splinem wrześnieowym
gdy z obłoków ktoś nagle wychynął
i z akcentem w sam raz księżycowym
zabąkał: – Hej ty! Poecino!

Nie raz tego zaznają batiary
gdy dwie gęby się zejną w potrzebie.
I tak Leoś z księżycem do pary
nagle w lwowskim odnalazł się niebie.

Patrzy wokół – i kogóż tam nie ma?
Hrabia Fredro i Henio Zbierchowski,
dalej Włada Majewska i Hemar.
W kącie szepczą coś Staff z Parandowskim.

Ma się wi, że i Tońko i Szczepko
pędzą wieczność w batiarskich szlagierach,
które w niebie znudziły się ździebko,
ćwiczą więc nowy tekst od Szlechtera.

I Janicki! I Tolu Szolginia!
Na gitarze im ciuchra Michotek,
a Bogdańska im śpiewa – cud binia –
że do Lwowa powrócą z powrotem.

Aromatem minionym zasnutę
wszystko wokół, bo siedzą w kawiarni.
Lwowska kawa zaś niesie ten skutek,
że trwa spór – lepsza „Pogoń” czy „Czarni”?

Na ten widok rzekł Leoś: – Zostaję!
Z błyskiem w oku zawołał kelnerkę,
lwowskim tangiem już witał go grajek,
już mu nieśli schłodzoną kwaterkę...

Gdy wtem księżyc powiada: – Wolnego!
Nie tak łatwo zaznaje się chwały,
nie rozsiadaj się tutaj kolego,
póki co, jesteś trochę za mały...

Nie martw się, jeszcze zdązysz tu wrócić
i „na ty” z każdym z nich sztof wypijesz.
A tymczasem cię muszę zasmucić,
że ty wciąż, chcesz czy nie, ale żyjesz.

I cóż robić miał Leoś, powrócił.
Ziemiem luftem we Lwowie oddycha,
czasem spojrzy gdzieś w niebo i rzuci,
jakby widział tam kogoś: – Co słyhać?

Na głos z nieba już jednak nie czeka.
Doskonale zna stamtąd odpowiedź:
– Trzeba żyć, póki czas, nie narzekać.
W niebie dobrze. Lecz lepiej we Lwowie.



Na I stronie okładki:
Cukiernia Zalewskich we Lwowie przy ul. Akademickiej 22

Wydawca:

Oddział Krakowski Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

Prezes Zarządu:

Lesław Popławski

Rada Programowa:

Stanisław Czerny – Oddział Krakowski TMLiKPW, [dr Stanisław Dziedzic](#) – dyrektor Biblioteki Kraków, dr Karolina Grodziska – dyrektor Biblioteki PAN i PAU, ks. prof. dr hab. Józef Wołczański – Uniwersytet Papieski Jana Pawła II, Katedra Historii XIX i XX wieku, dr Tadeusz Skoczek – dyrektor Muzeum Niepodległości w Warszawie, Janusz Paluch – kierownik Działu Animacji i Wydawnictw Biblioteki Kraków, Lesław Popławski – prezes zarządu Krakowskiego Oddziału TMLiKPW

Redakcja:

Piotr Boroń, Paweł Brzegowy, Jarosław Krasnodębski (Warszawa), [Anna Madej](#), Janusz M. Paluch (redaktor naczelny), Michał Piekarski (Warszawa), Krystyna Stafińska, Anna Stengl, Natalia Tarkowska, Aleksandra Solarewicz, Marta Walczewska

Strona internetowa CL: www.cracovia-leopolis.pl
oraz www.facebook.com/Kwartalnik-Cracovia-Leopolis-306168136114769/

Adres redakcji:

Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27, e-mail: cracovialeopolis@gmail.com

Informacje o kwartalniku CL: cracovialeopolis@gmail.com, tel. 608 155 693

Konto bankowe Oddziału TMLiKPW w Krakowie:
53 1020 2892 0000 5002 0121 7918

Przygotowanie do druku: FALL, Kraków, tel. (12) 413 35 00, fall@fall.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiustacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania śródtytułów. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja nie odpowiada za opinie, stwierdzenia i reklamy, które stanowią wyraz poglądów ich autorów.

Copyright © Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

Spis treści

Janusz Kuciński WSPOMNIENIA	93
Antoni Wilgusiewicz OBRAZ LWOWA WE WSPOMNIENIACH STANISŁAWA LEMA. W SETNĄ ROCZNICĘ URODZIN PISARZA	1
Danuta Nespiaik LWÓW W OPTYCE STANISŁAWA LEMA	8
Stanisław Dziedzic JAK JAN HENRYK ROSEN ZDOBIŁ ORMIAŃSKĄ KATEDRĘ	11
Rafał Żebrowski BRZUCHOWICE I DOM HERBERTÓW	18
Sławomir Gowin W OBJĘCIACH Z DUCHAMI	24
Musica Leopolis	
Michał Piekarski COSI FAN TUTTE	34
Dominik Dorosz NIEZNANY BOHATER OBRONY LWOWA – JERZY GRODYŃSKI	37
Franciszek Haber ULICA ZIELONA	43
Anna Stengl ALBUM O ZALEWSKICH – TYCH ZE LWOWA...	52
Proza	
Paweł Zalewski LWÓW, AKADEMICKA 22...	57
Paweł Stachnik UMIERANIE POLSKICH KRESÓW	70
Katarzyna Frankowiak „PORTRET AKTORKI. MOJE DZIECIŃSTWO ZA KULISAMI TEATRU”. ZNANE POSTACI KULTURY POLSKIEJ	77
Danuta Kaczyńska KRÓTKA HISTORIA TEATRÓW LWOWSKICH	85
Aleksandra Solarewicz KRESY W BEZKRESACH SIĘCI	89
Poezja	
Marcin Hałasz	
Michał Kawęcki PIŁKARSKA WIZYTA LWOWIAN NA GÓRNYM ŚLĄSKU W 1920 ROKU	94
Pożegnania	
PROF. ANNA CZEKANOWSKA NIE ŻYJE EMILIA CHMIELOWA WSPOMNIENIE O ŚP. ANNIE MADEJ (1948–2021)	94 118 119
Adam Rafał Kaczyński WALKA KGB Z PRZEMYTEM WE LWOWIE NA POCZĄTKU LAT 90. XX W.	97
Anna Madej XXXIV TARNOPOLSKI ZJAZD KRESOWIAN	100
Rozmowa	
LWOWSCY WOLONTARIUSZE PORZĄDKUJĄ CMENTARZ JANOWSKI Z Janem Sabadaszem, prezesem Zarządu Fundacji Dziedzictwo Kresowe, rozmawiała Anna Gordijewska	102
Książki	
WILNO. DZIEJE MIASTA ♦ SILVA RERUM ♦ PAJĘCZYNIE JUTRA ♦ W FUTERALE EGZYSTENCJI ♦ OD PODOLA I POKUCIA WIEJE WIATR ♦ KRESOWA BAŁAGUŁKA ♦ KARPACKIE TOWARZYSTWO NARCIA- RZY WE LWOWIE 1907–1939. ZARYS DZIEJÓW ♦ ZOSTALI NA WSCHODZIE. SŁOWNIK INTELIGENCJI POLSKIEJ W ZSR 1945–1991. TOM 1 ♦ OCALIĆ OD ZAPOMNIENIA ♦ ŚMIERĆ BANDEROWCOM!	105–117
NOWY ZARZĄD ODDZIAŁU KRAKOWSKIE- GO TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO-WSCHODNICH	120
PODZIĘKOWANIA	
DLA STANISŁAWA CZERNEGO	121
Na wesoło	
Jarosław Gowin LEOŚ I SMUGA CIENIA	122